Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!

NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1 zł — 12 stron | Warszawa, 26 października 1952 r. | Nr 43 (135) Rok III

Z materiałów XIX Zjazdu Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego

PRZEMÓWIENIE JÓZEFA STALINA



TOWARZYSZE!

Niech mi wolno będzie wyrazić wdzięczność w imieniu naszego Zjazdu wszystkim bratnim partiom i grupom, których przedstawiciele zaszczycili nasz Zjazd swą obecnością, lub które nadesłały Zjazdowi orędzia powitalne — za przyjacielskie pozdrowienia, za życzenia sukcesów, za zaufanie. **(Burzliwe, długotrwałe oklaski, przechodzące w owację).**

Szczególnie cenne jest dla nas to zaufanie, które oznacza gotowość poparcia naszej partii w jej walce o promienną przyszłość narodów, w jej walce przeciwko wojnie, w jej walce o zachowanie pokoju **(Burzliwe, długotrwałe oklaski).**

Byłoby błędem sądzić, że partia nasza, która stała się potężną siłą, nie potrzebuje już poparcia. Jest to niesłuszne. Nasza partia i nasz kraj zawsze potrzebowały i będą potrzebowały zaufania, sympatii i poparcia bratnich narodów za granicą.

Cecha charakterystyczna tego poparcia polega na tym, że wszelkie poparcie pokojowych dążeń naszej partii przez jakąkolwiek bratnią partię oznacza jednocześnie poparcie jej własnego narodu w jego walce o utrzymanie pokoju. Gdy w latach 1918 — 1919, w czasie zbrojnej napaści burżuazji angielskiej na Związek Radziecki, robotnicy angielscy organizowali walkę przeciwko wojnie pod hasłem „ręce precz od Rosji", było to poparcie, poparcie przede wszystkim walki własnego narodu o pokój, a następnie również poparcie Związku Radzieckiego. Gdy towarzysz Thorez lub towarzysz Togliatti oświadczają, że ich narody nie będą walczyły przeciwko narodom Związku Radzieckiego **(burzliwe oklaski),** to jest to poparcie, przede wszystkim poparcie dla robotników i chłopów Francji i Włoch, walczących o pokój, a następnie również poparcie pokojowych dążeń Związku Radzieckiego. Ta właściwość wzajemnego poparcia tłumaczy się tym, że interesy naszej partii nie tylko nie są sprzeczne, lecz, przeciwnie, są zbieżne z interesami miłujących pokój narodów. **(Burzliwe oklaski).** Co się tyczy Związku Radzieckiego, to jego interesy są w ogóle nieodłączne od sprawy pokoju na całym świecie.

Rzecz zrozumiała, że nasza partia nie może pozostawać dłużna wobec bratnich partii i sama ona powinna ze swej strony udzielać im poparcia, a także popierać ich narody w ich walce o wyzwolenie, w ich walce o zachowanie pokoju. Jak wiadomo, postępuje ona właśnie w ten sposób. **(Burzliwe oklaski).**

Po wzięciu władzy przez naszą partię w 1917 roku i potem, gdy partia podjęła realne środki dla zlikwidowania ucisku kapitalistycznego i obszarniczego, przedstawiciele bratnich partii, podziwiając odwagę i sukcesy naszej partii, nadali jej miano „brygady szturmowej" światowego ruchu rewolucyjnego i robotniczego. Wyrażali oni przez to nadzieję, że sukcesy „brygady szturmowej" ulżą sytuacji narodów jęczących pod jarzmem kapitalizmu. Sądzę, że nasza partia usprawiedliwiła te nadzieje, zwłaszcza w okresie drugiej wojny światowej, kiedy Związek Radziecki, rozgromiwszy niemiecką i japońską tyranię faszystowską, wybawił narody Europy i Azji od groźby niewoli faszystowskiej. **(Burzliwe oklaski).**

Było oczywiście bardzo trudno spełniać tę zaszczytną rolę, dopóki istniała tylko jedna jedyna „brygada szturmowa" i dopóki musiała spełniać tę awangardową rolę niemal w osamotnieniu. Ale tak było. Obecnie sprawy mają się zupełnie inaczej.

Obecnie, gdy na obszarze od Chin i Korei do Czechosłowacji i Węgier pojawiły się nowe „szturmowe brygady" w postaci krajów ludowo-demokratycznych — obecnie naszej partii łatwiej jest walczyć, a i praca poszła raźniej **(Burzliwe, długotrwałe oklaski).**

Na szczególną uwagę zasługują te partie komunistyczne, demokratyczne, czy też robotniczo-chłopskie, które nie doszły jeszcze do władzy i które nadal pracują pod butem drakońskich ustaw burżuazyjnych. Im, oczywiście, trudniej jest pracować. Ale nie jest im tak trudno pracować, jak było trudno nam, komunistom rosyjskim, w okresie caratu, gdy najmniejszy ruch naprzód uznawano za najcięższą zbrodnię. Jednakże komuniści rosyjscy wytrwali, nie zlękli się trudności i wywalczyli zwycięstwo. To samo będzie z tymi partiami.

Dlaczego jednak partiom tym w porównaniu z komunistami rosyjskimi z okresu caratu nie będzie tak trudno pracować?

Dlatego, po pierwsze, że mają one przed oczyma takie przykłady walki i sukcesów, jakie istnieją w Związku Radzieckim i w krajach ludowo-demokratycznych. Mogą one zatem uczyć się na błędach i sukcesach tych krajów i w ten sposób ułatwić sobie pracę.

Dlatego, po wtóre, że sama burżuazja — główny wróg ruchu wyzwoleńczego — stała się inna, poważnie się zmieniła, stała się bardziej reakcyjna, straciła więź z ludem i osłabiła się w ten sposób. Zrozumiałe jest, że okoliczność ta musi również ułatwić pracę partii rewolucyjnych i demokratycznych. **(Burzliwe oklaski).**

Dawniej burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broniła swobód burżuazyjno-demokratycznych i przez to stwarzała sobie popularność w masach. Obecnie z liberalizmu nie pozostało ani śladu. Nie ma już tzw. „wolności indywidualnej" — prawa indywidualne przyznawane są obecnie tylko tym, którzy posiadają kapitał, a wszyscy pozostali obywatele uważani są za surowy materiał ludzki, zdatny jedynie do wyzysku. Podeptana została zasada równości praw ludzi i narodów, zastąpiono ją zasadą pełni praw wyzyskującej mniejszości i pozbawienia wszelkich praw wyzyskiwanej większości obywateli. Sztandar swobód burżuazyjno-demokratycznych wyrzucony został za burtę. Sądzę, że sztandar ten wypadnie podnieść wam, przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych, i ponieść go naprzód, jeżeli chcecie skupić przy sobie większość narodu. Nie ma poza tym nikogo, kto mógłby go podnieść. **(Burzliwe oklaski).**

Dawniej burżuazja uchodziła za głowę narodu, broniła ona praw i niezawisłości narodu, stawiając je „ponad wszystko". Obecnie ani śladu nie pozostało po „zasadzie narodowej". Obecnie burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niezawisłość narodu. Sztandar niezawisłości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę. Nie ulega wątpliwości, że sztandar ten wypadnie podnieść wam, przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych, i ponieść go naprzód, jeżeli chcecie być patriotami swego kraju, jeżeli chcecie się stać kierowniczą siłą narodu. Nie ma poza tym nikogo, kto mógłby go podnieść. **(Burzliwe oklaski).**

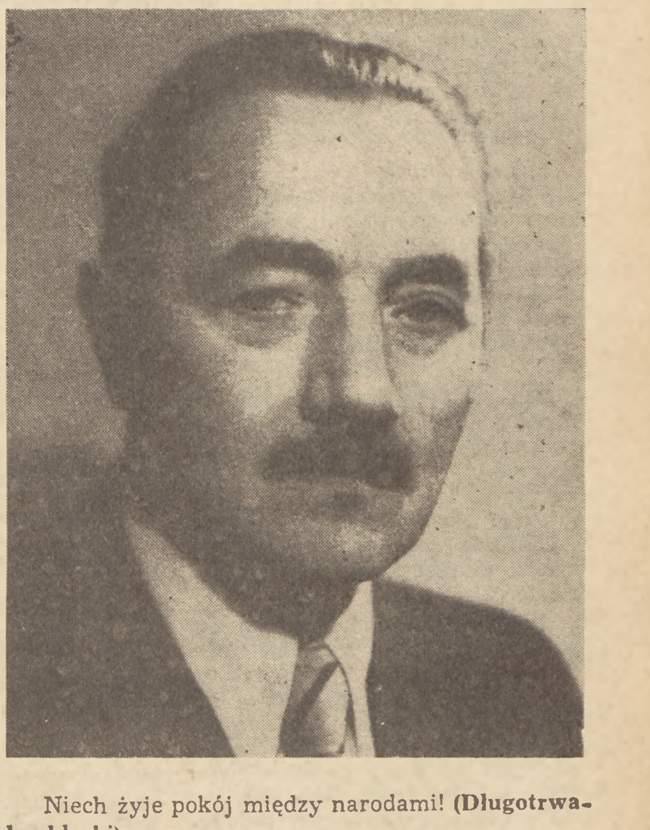
Tak mają się sprawy w chwili obecnej.

Rzecz zrozumiała, że wszystkie te okoliczności muszą ułatwić pracę partii komunistycznych i demokratycznych, które nie doszły jeszcze do władzy.

A zatem, istnieją wszelkie podstawy, by liczyć na sukcesy i zwycięstwo bratnich partii w krajach, w których panuje kapitał. **(Burzliwe oklaski).**

Niech żyją nasze bratnie partie! **(Długotrwałe oklaski).**

Niech żyją przywódcy bratnich partii! **(Długotrwałe oklaski).**



Niech żyje pokój między narodami! **(Długotrwałe oklaski).**

Precz z podżegaczami wojennymi! **(Wszyscy powstają z miejsc. Burzliwe, długo niemilknące oklaski, przechodzące w owację. Okrzyki: „Niech żyje towarzysz Stalin!", „Towarzyszowi Stalinowi — hurra!", „Niech żyje wielki wódz mas pracujących całego świata towarzysz Stalin!", „Wielkiemu Stalinowi — hurra!", „Niech żyje pokój między narodami!". Okrzyki: „Hurra").**

JERZY PUTRAMENT

O NASZEJ DUMIE NARODOWEJ

Parę lat temu odwiedziła mnie w Paryżu wdowa po znanym w kraju literacie. Ponieważ nazwisko jej męża niewiele mówiło Francuzom, chciała ona wydać coś z jego rzeczy po francusku. Byłem ciekaw — co uważa za najlepsze w spuściźnie swego męża. Może powieść z czasów rewolucji 1905 roku? Może coś z cyklu o pierwszej wojnie światowej?

— Nie — oświadczyła mi. — To są utwory lokalne, mowa w nich przede wszystkim o Polsce. Kogo to w Paryżu interesuje? Nie, wpadłam na lepszy pomysł. Mąż mój często w swoich dziełach wspominał o Francji, o Paryżu. Wybrałam właśnie te fragmenty. Myślę, że Francuzi będą ciekawi, jak widział Paryż znakomity polski literat.

Myślałem coś wręcz przeciwnego. Próbowałem jej wytłumaczyć, że Paryżan nic a nic nie obchodzi, co tam bliżej im nieznany polski pisarz wypisywał o ich mieście. Że jeśli co może ich zafrapować — to właśnie dobra książka z ojczyzny tegoż pisarza. Uśmiechnęła się z poczuciem swej wyższości i poszła szukać wydawcy owych fragmentów. Szuka go do dzisiaj.

Opowiadano mi o pewnym młodym pisarzu i myślicielu, który już po wojnie spacerując po Paryżu te oto słowa wyrzekł w zadumie: „jaka szkoda, że nie urodziłem się Francuzem, czytałby mnie dzisiaj cały świat!"

Uśmiechnijmy się nad fantazją młodego myśliciela: gdyby się urodził Francuzem i napisał to, co napisał—dopieroby nikogo we Francji to nie zainteresowało. Przecież cały wdzięk jego twórczości polega na inteligentnym referowaniu naszemu czytelnikowi tego, co we Francji powiedział kto inny.

Uśmiechnijmy się tedy nad meritum sprawy, ale zauważmy intencję naszego myśliciela. Świadczy ona, że wdowa po tamtym pisarzu nie jest u nas odosobniona, że w pewnych środowiskach trwa jeszcze schorzenie prowincjonalne, które natchnęło Słowackiego do gorzkich słów:

Polsko, lecz ciebie błyskotkami łudzą,
Pawiem narodów byłaś i papugą...

*

...a teraz jesteś służebnicą cudzą...

dorzuci obeznany w literaturze czytelnik. Otóż to są dziwne losy tego nadużytego w naszej publicystyce cytatu. Gdy pierwotny sens metaforyczny tego wiersza zdawałoby się zdeaktualizował się, po pierwszej wojnie światowej, po powstaniu Polski burżuazyjnej — wtedy właśnie zaczął brzmieć on ze szczególną doniosłością, nabrał sensu dosłownego i dopiero wtedy jego metafora zyskała niebywałą, zaiste proroczą trafność.

Jest taka sobie francuska piosenka kabaretowa o knajpie pod „Trzema kapitanami", gdzie personel pochodzi z najrozmaitszych krajów. Więc właścicielka jest Neapolitanką, jej mąż — to Peruwiańczyk, pianista — Portugalczyk, tancerka — Kreolka. Nie zapomniano i o nas: „służąca urodziła się w Polsce".

Jest jakaś kryminalna powieść amerykańska. Rzecz dzieje się w Chicago. Jest upalne popołudnie, bohater, detektyw prywatny siedzi w swoim biurze i w półdrzemce słyszy, jak w sąsiednim domu sprzątaczki kłócą się ze sobą — po polsku.

W ogóle Polacy (czy inaczej Amerykanie polskiego pochodzenia, tak brzmi dziś ich nazwa oficjalna) — dosyć często trafiają do współczesnych dzieł literatury amerykańskiej. W klasycznie degeneracyjnej, „psychoanalitycznej" sztuce: „Tramwaj, zwany pożądaniem", która przeszła przez wszystkie ważniejsze miasta zachodniej Europy — bohaterem jest Polak, ukazany jako ostatnie bydlę. Znęca się on nad biedną Amerykanką, mimo że ta jest umysłowo chora. Gdy inna postać ze sztuki chce go obrazić, mówi nań „Polack!"

Powie ktoś: też mi dowody! Francuska kabaretowa piosenka i amerykańska powieść kryminalna! Gdyby tak jakieś poważne rozprawy naukowe, statystyka czy filozofia...

O nie, przepraszam! Właśnie takie dowody są ważne. Właśnie marginesowe, nieistotne dla głównego tematu danego utworu wzmianki mają szczególną wymowę. Wielkie rozprawy mogą mieć swoje specyficzne przeznaczenie, swój polityczny „wydźwięk", swoje względy kurtuazyjne. W takich rozprawach mówi się to, co się chce powiedzieć. A w marginesowych wzmiankach mówi się to, co jest powszechnie wiadome.

Jeśli w kabaretowej piosence mimochodem się wspomina, że służąca pochodzi akurat z Polski — znaczy to, że wypadek ten jest „typowy" w tym statystycznym słowa tego znaczeniu.

Gdy się chce znaleźć we Francji skupisko Polaków, wystarczy wypatrywać czy pięknego pejzażu francuskiego nie szpeci piramida hałdy lub ażurowe wieże wyciągów. Byle jaka kopalnia — czy węgla, czy rudy żelaznej, czy fosforytów — i już macie pewność, że trochę rodaków tu się gnieździ. Widzicie wzmiankę o katastrofie górniczej. Przeczytajcie nazwiska ofiar, nie zabraknie w nich polskiego.

*

Zaraza kosmopolityzmu, która zdziesiątkowała polską szlachtę, tym łatwiej poraziła polską burżuazję, że ta, jak niedonoszone dziecko, przyszła na świat cherlawa, skrofuliczna, z wyraźnymi skłonnościami do choroby angielskiej. I choć myśliciel, o którym wspominałem, nie pieczętuje się herbem rodowym — jego także choroba ta nie mogła oszczędzić: nie łatwo inteligentowi mieszczańskiego pochodzenia wyzwolić się ze wszystkich przywar swojej klasy społecznej.

Czy można nazwać przypadkiem to nagminne u naszego mieszczaństwa płaszczenie się przed kapitalistycznym Zachodem?

Oczywiście, przypadku jest w tym tyle, ile w pękaniu glinianego garnka, gdy się zderzy z żelaznym.

Polska, należąca do świata kapitalistycznego, była z góry skazana na pozycję kraju zależnego, podrzędnego. Gospodarczo zależna od wielkiego kapitału belgijskiego, francuskiego, niemieckiego — potem także od angielskiego i amerykańskiego — nie mogła ona pretendować do samodzielnej roli politycznej. To, co sanacja usiłowała ukazać naszemu narodowi, jako „politykę mocarstwową" — było przecież tylko mozolnym procesem przechodzenia od jednego pana do drugiego, od kapitalistycznej Francji do hitlerowskich Niemiec.

W dziedzinie kultury ta zależność przybierała formy różnorodne. Hałaśliwe małpowanie formalistycznych prądzików i kieruneczków zachodnioeuropejskich ciężko się odbiło na naszej literaturze okresu międzywojennego i np. na malarstwie. Jednym z najdotkliwszym tego skutków było oddalenie się naszych twórców — czasem nawet wybitnych — od rzeczywistości naszego kraju, od naszego ludu. Antyrealistyczna twórczość nie miała szans trafienia do masowego,

(Dokończenie na str. 2-ej)



rys. Henryk Tomaszewski

W numerze

O NASZEJ DUMIE NARODOWEJ

(Dokończenie ze str. 2-ej)

ludowego odbiorcy — nawet choćby samych twórców ożywiały jak najlepsze intencje.

Niemniej groźnym skutkiem tej kulturalnej zależności od silniejszych krajów kapitalistycznych było zaniedbanie narodowej spuścizny kulturalnej na rzecz importowanej z zagranicy tandety. Byłoby cenne zbadanie, jak przedstawiały się cyfrowo w okresie międzywojennym nakłady klasyków polskich i tłumaczonej tandety kryminalno-sentymentalnej. Z góry jednak można powiedzieć, że zalew naszego rynku księgarskiego przez „produkcję" typu Wallace'a, czy Courts-Mahler przybrał w tym czasie rozmiary klęski żywiołowej.

„Pięknoduchy" czytały Valery'ego i usiłowały go naśladować. Masowy czytelnik nie czytał Valery'ego ani własnych pięknoduchów, nie czytał klasyków polskich, czytał Wallace'a i Courts Mahler.

Ten sam proces trwa i potęguje się dzisiaj w krajach kapitalistycznych. Wszystkie Danie, Szwecje, Norwegie, Belgie, Szwajcarie są zalane amerykańską bzdurą najgorszego rodzaju. Zresztą nie tylko Szwajcarie. Nawet takie mocarstwo kulturalne jak Francja cierpi to samo.

Byli tacy Francuzi, którym się marzyła rola Aten w imperium rzymskim: Ameryka jest silniejsza gospodarczo i wojskowo, ale przecież to są ciemne chamy, ci Amerykanie! Niech stolicą gospodarczą Atlantydów będzie Nowy Jork, Paryż za to pozostanie stolicą kulturalną.

Rzeczywistość nader szybko odpowiada na te marzenia. Nie tylko w filmie, ale i w literaturze amerykański dumping czyni z roku na rok większe spustoszenia. Ba, nawet balet amerykański wtargnął na sceny paryskie. Jest lichy, ale ma bogatą wystawę.

Cocteau w czasie klęski 1940 roku rzekł podobno: Francja, ojczyzna osiemdziesięciu gatunków sera, nie może zginąć!

Nie wiem, czy dziś odważyłby się ten wątpliwy dowcip powtórzyć. Nawet w tak wąziutkiej dziedzinie prymatu światowego, jak wina, Ameryka nie pozostawia Francji w spokoju: Kalifornia zaczyna lansować swoje Pommard'y i Chateau Yquem'y.

SILNE ROLNICTWO, POTĘŻNY PRZEMYSŁ — ZA TAKĄ POLSKĄ DZIS GŁOSUJEMY

„Wolne narody" atlantyckie są bowiem całkiem wolne w tym właśnie sensie. Silniejszemu wolno pożreć słabszego. Słabszy ma pełną swobodę dać się pożreć.

✻

Nim gruby schudnie, chudego diabli wezmą. W okresie międzywojennym Polska należała do tych chudych. I w każdym wariancie układu państw kapitalistycznych — pozostałaby chuda, skazana na pożarcie w pierwszej kolejce.

Tak, jak wygnani z kraju przez niedołęstwo rządzących polskich kapitalistów musieli się imać za granicą prac najcięższych i najgorzej płatnych — tak i cały nasz naród, nasz kraj był przeznaczony do spełniania ciężkich i brudnych posług na rzecz swego kapitalistycznego pana.

Cudzą służebnicą była Polska Piłsudskiego i Becka. W imię francuskich akcjonariuszy kaukaskiej nafty, uralskiego żelaza, donieckiego węgla i swoich własnych obszarników — ruszała ona na Kijów, a potem tworzyła środkowy odcinek „sanitarnego kordonu". Szczuta przez Hitlera napadła na bratnią Czechosłowację. I wreszcie, opuszczona przez Anglię i Francję, niewymiernym upustem krwi zapłaciła za swoich zbrodniczych rządców.

Kapitalizm polski pozostawił w naszej historii stronice, których niesposób czytać bez oburzenia i wstydu. Nie potrafił zapewnić pracy i chleba dla Polaków, nie umiał Polsce zapewnić niepodległości.

✻

Warszawo,
Kochałem pokój i przyszedłem
zobaczyć Twoje oczy.
Nie jesteśmy już sobie obcy.
Jak siostra, podbiegnij do mnie,
i podaj mi dłonie, Warszawo.

— mówi poeta pakistański, Munib-Ur-Rahman, przybyły na Kongres Pokoju, w listopadzie 1950 roku.

Śnieżna róża w śniegach Warszawy
zakwitła, a białe ptaki
płyną w niebo białym orszakiem...
Pęk róży białej i róży krwawej
w śniegach Warszawy

— tak kończy się wiersz poety francuskiego, Pierre Gamarra, wiersz, nazwany: „Kolory Polski".

Poeta włoski Salvatore di Benedetto w wierszu „Rosnącej Warszawie" mówi tak:

Dla tego, kto cię ujrzał choć
raz jeden
tak jak ja cię ujrzałem,
Warszawo,
kto wyczuł rytm Twego serca...
ten zawsze będzie Cię uwielbiał
miłością nową i wielką,
miasto zrujnowane
i wielokrotnie spalone,
które pnie się w górę
i odrasta w oddechach całego
świata.

Poeta argentyński Efraim Huerta napisał poemat „Gołębie nad Warszawą":

Tak oto widzę Warszawę, piękną
syrenę zranioną,
Warszawę, co wyglądała jak
ogród morderstw.
Warszawę, co wydarte serce
rzuca w nurty rzeki...
Warszawę socjalistyczną, którą
przodownicy tworzą, jak kryształ.
Warszawę młodzieńczą, co się
pokonać nie dała.
Warszawę, odrąbaną od korzeni.
Warszawę, co była posągiem
dymu.
Warszawę, co zakasała rękawy,
by się odrodzić,
by żyć tańcząc i znowu
przeglądać się w Wiśle.

Największy żyjący poeta języka hiszpańskiego, jeden z najlepszych poetów świata, Pablo Neruda, stworzył wielki poemat o Polsce: „Tan umarła śmierć".

O Polsko, o miłości moja,
o wiosno,
idziesz wraz ze mną,
abym cię pokazał
opowiadając i opiewając
że w głębokościach
głębiej niż leżą zmarli
gada i śpiewa życie...

Polsko, ty nauczyłaś mnie istnieć
od nowa
i śpiewać od nowa...

Dobry ci dzień, Polsko!
Dobranoc, Polsko.
Śpij spokojnie, kocham cię!
Dobre ci dnie i noce!
Dobre lata i wieki!

Oto kilka pierwszych z brzega głosów poetyckich, nie wyczerpujących bynajmniej listy twórców, których natchnieniem stała się dzisiaj nasza ojczyzna.

I chociaż pierwszym wstrząsem, który poruszył serca tych poetów, jest ogrom zniszczeń naszej stolicy — nie miłosierne współczucie gra w tych wierszach. Przestaliśmy być narodem nieszczęśliwców, nad którymi *należało* litować się, których widok żenował cudzą pomyślność.

Poeci Azji, Europy, Ameryki przychodzą uczyć się u nas woli życia i wiary w jego wszechpotęgę. Poeci narodów degradowanych przez imperializm uczą się w naszym kraju, że nie ma ceny zbyt wielkiej za uwolnienie się ze zgniłego systemu stosunków społecznych. Że siły, które wyzwala w narodzie rewolucja socjalistyczna, potrafią zdumiewająco szybko naprawić najcięższe szkody materialne.

✻

Synowie naszego narodu bili się wszędzie, gdzie walczono o wolność krajów i ludzi. Udział Polaków w rewolucjach, które targały w zeszłym wieku feudalną Europą, udział Polaków w rewolucjach, zwiastujących nową erę historyczną, w Komunie Paryskiej, w Wielkiej Rewolucji Październikowej, w obronie Hiszpańskiej Republiki — daje nam słuszne prawo do dumy narodowej.

Ale — poza Październikiem — bohaterstwo i ofiarność tych bojowników pozostały w historii jako przykłady dla potomnych, nie zmieniły jednak jej biegu. Były to bohaterskie klęski, po których generałowie Galliffet i Franco po barbarzyńsku srożyli się na pobojowiskach.

I dlatego nowa jest teraz nasza duma narodowa: żeśmy nie tylko po bohatersku walczyli o słuszną sprawę, ale i że zwyciężyliśmy w tej walce. Żeśmy nie tylko potrafili walczyć, ale i umiemy budować.

Co sprawiło, że odwrócił się nieżyczliwy los, który dziesiątkował nasz naród przez ubiegłe dwa wieki?

Powstanie w naszym sąsiedztwie wielkiego państwa, należącego do nowej epoki historycznej.

Wszelka inna Rosja, wszystko co by mogło istnieć na miejscu Związku Radzieckiego — wcześniej czy później musiałoby zdegradować nasz kraj do rzędu półkolonii czy prowincji.

Tylko ustrój socjalistyczny, usuwając zwierzęce prawo kapitalizmu pogoni za zyskiem, likwidując klasę, zainteresowaną w podbojach innych krajów — stworzył warunki, w których nasz wielki sąsiad rozwijając się i rosnąc z niebywałą szybkością, nie tylko nie przytłacza nas swym ogromem, ale pomaga nam, przyśpiesza nasz rozwój, bo dla niego silna, socjalistyczna Polska jest niezbędnym warunkiem własnego rozwoju i bezpieczeństwa.

Mówi się, że stosunki między państwami obozu demokracji i pokoju są z gruntu inne niż między państwami kapitalistycznymi.

Nie trudno udowodnić to twierdzenie w dziedzinie stosunków gospodarczych i politycznych. W świecie kapitalistycznym stosunki zależności układają się tak, że państwo silniejsze, bardziej uprzemysłowione, będzie miało coraz większą przewagę przemysłową nad słabszym, którego przemysł będzie zwalniał tempo rozwoju, zatrzyma się w miejscu, zacznie zwolna się cofać. Porównajcie współczynniki produkcji przemysłowej Ameryki i Francji w ciągu ostatniego pół wieku.

Gdyby panowały w naszym obozie stosunki podobne — Związek Radziecki czyniłby wszystko, by nasz rozwój przemysłowy zahamować. A tymczasem najzacieklejszy wróg Związku Radzieckiego nie zdobędzie się dziś na takie twierdzenie, wprost przeciwnie, musi przyznać, że sąsiad nasz czyni wszystko, by dopomóc rozwojowi naszego przemysłu, by ten rozwój maksymalnie przyśpieszyć.

✻

Ale niemniej znamienne są stosunki w dziedzinie kulturalnej. Widzieliśmy już, że w warunkach kapitalistycznych następuje proces zalewu słabszego państwa przez tandetę nie tylko przemysłową, ale i kulturalną, „wyprodukowaną" przez państwo silniejsze.

Skutki tego procesu dają się zauważyć już dzisiaj i niewątpliwie będą się potęgowały w przyszłości.

„Bieżąca" literatura narodowa, grzęznąc w formalizmie i psychologizmie, odcięta od mas ludowych swego kraju, będzie stawać się coraz bardziej cherlawa i skarłowaciała, będzie się usuwać na margines narodowego życia kulturalnego.

Klasyczna literatura narodowa, wydawana w niedużych, więc drogich nakładach, nie propagowana należycie, nie chroniona przez państwo przed zalewem obcej tandety, nie trafiając do rąk szerokiego czytelnika, przestanie stopniowo być żywą współtwórczynią świadomości narodowej, stanie się zabytkiem muzealnym, materiałem dla przyczynkarstwa historyków literatury.

A naprawdę czytaną, naprawdę kupowaną stanie się kryminalna czy pornograficzna tandeta rzucana w ogromnych nakładach na rynek, kosztująca grosze, wydawana w byle jakich przekładach przez filie amerykańskich firm wydawniczych.

Wystarczy zrozumieć, że upowszechnianie dóbr kulturalnych w kraju kapitalistycznym podlega tym samym prawom gospodarczym, co obieg wszelkiego innego towaru, aby oczywistość i nieuchronność tego procesu stała się jasna dla każdego.

Ale przecież skutkiem tego procesu stanie się stopniowo zanik kultury narodowej państwa słabszego. I zanik ten nie nastąpi na rzecz najwyższej kultury państwa silniejszego. To nie Whitman, nie Longfellow, nie A. E. Poe, nawet nie obaj Sinclair'zy, nie Dreiser wypierają z Francji Balzaka, Stendhala, Wiktora Hugo. Wypiera ich ponury pornograf Henry Miller (dla tych „pięknoduchów"), wypierają autorzy powieścideł „Nie trzeba orchidei dla Miss Blandish", „Chwileczkę, grabarze!", „Koszmar", „Nie przyznawajcie się nigdy" i tak dalej.

W warunkach kapitalistycznych prawo wypychania lepszej produkcji przez gorszą działa także w upowszechnianiu dóbr kulturalnych.

✻

Jakże inne są stosunki w naszym obozie. Owszem, tłumaczymy dużo. Wydajemy dużo utworów klasyków rosyjskich, dużo utworów literatury radzieckiej.

Ale najzacieklejszy wróg Związku Radzieckiego nie może powiedzieć, że literatura ta działa rozkładowo na naszą młodzież, na nasze społeczeństwo. Że propaguje opilstwo, rozpustę, przestępstwo. Że uczy pogardy dla swego narodu, nieróbstwa, cwaniactwa.

Wprost przeciwnie, literatura ta spełnia ogromną rolę wychowawczą i poznawczą, pomaga naszej literaturze współczesnej, która nie zdążyła jeszcze w pełni się rozwinąć, w likwidowaniu przeklętych skutków zacofania kulturalnego Polski przedwrześniowej, czy świadomej deprawacji hitlerowskiego okupanta.

My tłumaczymy rzeczy najlepsze i najbardziej potrzebne. U nas nie działa prawo wypychania rzeczy lepszych przez gorsze. U nas działa inne prawo: coraz szerszego zaspokajania rosnących potrzeb kulturalnych naszego narodu.

Ale nie tylko z gruntu inna rola tłumaczeń z literatury radzieckiej jest typowa dla naszego ustroju.

Zamiast procesu wypychania kultury narodowej państwa słabszego przez „kulturę" silniejszego działa u nas proces najzupełniej odmienny, proces wzajemnej wymiany kulturalnej.

Przed paru tygodniami prasa nasza podała krótką wzmiankę, tak pełną treści, że szkoda, iż nie doczekała się ona obszerniejszej analizy.

Oto mianowicie nakłady książek polskich tłumaczonych w ZSRR osiągnęły wysokość *siedmiu milionów*.

Wybór tych książek jest niesłychanie szeroki: od Mickiewicza po naszą literaturę najmłodszą. Oczywiście, klasycy są w nim uwzględnieni w pierwszym rzędzie.

Literaturę polską tłumaczono w ZSRR nie tylko po wojnie. To wcale nie koniunkturalny gest grzecznościowy ze strony naszego obecnego sojusznika. Tłumaczono ją i w okresie, gdy Polska sanacyjna wysilała się nad zmontowaniem antyradzieckiej krucjaty, kiedy jej stosunki ze Związkiem Radzieckim były jak najgorsze.

Bo państwo socjalistyczne odnosi się z szacunkiem do spuścizny kulturalnej ludzkości i do współczesnej postępowej kultury innych narodów. To nie jest propaganda, to jest sama istota społeczeństwa socjalistycznego: miłość do własnej kultury narodowej, szacunek do kultury innych narodów.

Porównajmy te siedem milionów książek polskich autorów, wydanych w Związku Radzieckim, z przekładami z naszej literatury, wydanymi w krajach kapitalistycznych. Ile wysiłku i pieniędzy w okresie międzywojennym kosztowały poszukiwania wydawców, którzy by się zgodzili opublikować jakieś dzieło polskiego autora. Jakie były nakłady tych książek? Co wiedzą o naszej literaturze kulturalni ludzie Anglii, Francji?

A w Związku Radzieckim wydano niedawno dwutomową historię literatury polskiej *po polsku* — na użytek radzieckich studentów polonistyki.

Niemądry Eisenhower w przedwyborczym zapale rzucił hasło „uwolnienia" narodów Europy wschodniej. W dziedzinie kulturalnej oznaczałoby to „uwolnienie" tych narodów od ich własnej kultury, „wyzwolenie" Polaków od przemocy Mickiewicza, Prusa, Żeromskiego, podarowanie im oszałamiającej swobody czytania takich arcydzieł jak: „Wszystkie drogi wiodą na cmentarz", „Młody trup", „Słowo ma nieboszczyk".

✻

Na XIX Zjeździe Partii bolszewickiej Stalin powiedział:

Obecnie burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niezawisłość narodu. Sztandar niezawisłości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę. Nie ulega wątpliwości, że sztandar ten wypadnie podnieść wam, przedstawicielom Partii komunistycznych i demokratycznych, i ponieść go naprzód...

Słuszność tych słów jest oczywista — nie tylko w dziedzinie politycznej czy gospodarczej. Sprawa narodowej kultury, zdradzonej przez burżuazję, podjęta została przez klasę robotniczą, przez naszą Partię, przez Front Narodowy.

Władza ludowa uchroniła wielką kulturę polską przed chorobą kosmopolitycznej zgnilizny. Szanując klasyków zachodu, ucząc się u pierwszej na świecie kultury socjalistycznej — nie małpujemy nikogo, rozwijamy własne tradycje postępowe, tworzymy Polskę, która nie jest cudzą służebnicą, która natchnęła Nerudę do słów:

„Polsko, ty nauczyłaś mnie istnieć od nowa..."

Idziemy do urn głosować na Kochanowskiego i Mickiewicza, Chopina i Szymanowskiego, Bogusławskiego, Matejkę.

Jerzy Putrament

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

VOX POPULI

Głos narodu — ramię i piorun:
piorun, co bije we wroga
i ramię, co wznosi dom!
W czas pożogi, głodu i moru,
kiedy w chmurach narodu droga —
błyskawica nad światem i grom!

Głos narodu — to boga głos.
Słowo staje się ciałem:
vox populi — vox dei!
W czas, gdy waży się ludu los,
nieugięte, żarliwe i śmiałe
słowo-przyszłość, żołnierz nadziei.

Głos narodu — tęsknoty kształt:
jutro — w sercu puls młodych marzeń,
będzie, jak chcemy!
Głos narodu — to wolność i gwałt,
przemoc myśli nad krwią i żelazem,
pokój na ziemi!

ZOFIA NAŁKOWSKA

WARSZAWA — OPOLE

*Dla pisarza, którego przeznaczeniem jest porozumiewanie się z bliźnimi za pomocą słowa drukowanego, spotkania osobiste mają duży urok — nawet wówczas, gdy jak ja — nie posiada on daru przemawiania inaczej, niż trzymając przed sobą zapisane ołówkiem kartki papieru *).*

Miałam tylko wątpliwości, czy jest to w porządku, skoro miejscem, gdzie wysunięto moją kandydaturę, jest odległe stąd miasto Opole na Ziemiach Odzyskanych.

Z Warszawą związana jestem od najdalszych głębin dzieciństwa. Tutaj się urodziłam, tu napisałam większość mych książek, tu obchodziłam niedawno wstydliwą uroczystość półwiecza mej pracy zawodowej i tutaj zamierzam dopełnić nieuniknionej ceremonii, wyznaczającej zwykle koniec wszelkiej biografii.

Toteż zjawiam się dzisiaj nie w charakterze kandydata, tylko jako warszawski wyborca, miłujący to miasto, nazwane przez mego młodego kolegę „niepokonanym". Miasto, którego dzieje bohaterskie i straszliwe czynią je nieodpartym świadectwem zbrodni wojennej, miejscem ziemi, z którego ogromne wołanie o pokój rozbrzmiewa na cały świat.

Mnóstwo naszych dawnych adresów warszawskich stało się pustym miejscem powietrza. Odtwarzanie dużym wysiłkiem pamięci tych wnętrz, niegdyś całkowicie wysłanych życiem, tych nieistniejących schodów i drzwi, tych okien i bram jest częstym motywem dzisiejszych naszych przechadzek.

Ostatnie moje w czasie wojny schronienie znajdowało się na czwartym piętrze przy zbiegu ulicy Foksal i Nowego Światu, w pracowni rzeźbiarskiej mej siostry. Dziś miejsce, gdzie uległy doszczętnie zniszczeniu jej rzeźby i wszystkie papiery mego życia, jest zawieszone w powietrzu na wysokości dwóch pięter ponad dachem niedużej, jasnej kamienicy, stanowiącej fragment całej tak pięknie odbudowanej trasy Nowego Świata i Krakowskiego Przedmieścia.

Tak wciąż spośród mrocznych zaułków wczorajszego zniszczenia i zbrodni, tuż obok zarosłych trawą ziemi i cmentarzysk, oznaczonych jeszcze niekiedy wymownym napisem: „Min nie ma" dźwigają się dziś potężne, jasne ściany, otwierają rozległe perspektywy odmienionego do głębi życia.

Tak przypominamy sobie ten dzień z niedawnych lat, w którym doszła nas wiadomość, że Ziemie Zachodnie i zamieszkujący je Polacy powracają po mrokach długiej rozłąki do wspólnej ojczyzny. Że ci utraceni najdawniej, odcięci od nas w ciągu stuleci, stają się znowu braćmi, związanymi z nami odzyskaną, po męczarniach i okrucieństwach straszliwej wojny ostatniej przywróconą ojczyzną.

Powracają do nas w tym czasie zmagania się i walki, gdy do głębin odmienione życie wymaga od nas mocy i wytrwania. Nie tylko bowiem tworzy ono nowe metody walki z przyrodą i wdziera się wciąż głębiej w jej prawa, nie tylko tworzy nowy ład człowieczy oparty na sprawiedliwości. Nakłada ponadto na nasze pokolenie obowiązek całym wysiłkiem ramion i mózgów naprawić straszliwe krzywdy i zbrodnie wojny i nieustanną pracą wydźwignąć kraj z jej zniszczenia.

Łączymy się w chwili ciężkiej, ale jakże pięknej i nowej w naszych dziejach. Łączymy się, urzeczywistniając pragnienia stuleci. Goimy rozdarcia, z którymi nie pogodziły się nigdy pokolenia, żyjące w ciemnościach zaborów, niewoli, ucisku i krzywdy.

Mocni wiedzą doświadczenia, czym jest wojna, zjednoczeni we wspólnym Froncie Narodowym, otoczeni granicami sojuszników, powiązani węzłami porozumienia z ludem pracującym całego świata — uczynimy wszystko, by do straszliwego zła wojny nie dopuścić.

Zofia Nałkowska

*) Tekst Zofii Nałkowskiej, który tu drukujemy, został wygłoszony przez nią na zebraniu przedwyborczym w dn. 19 X 1952 r.

A N T O N I S Ł O N I M S K I

FRONT NARODOWY I FRONT ANTYNARODOWY

Konstytucja Polski Ludowej i Program Frontu Narodowego to wydarzenia w całym tego słowa znaczeniu przełomowe. Nigdy jeszcze bowiem słowo „przełom" nie miało pełniejszego zastosowania i nie brzmiało prawdziwiej niż dziś w obliczu tych wielkich dni naszej historii.

Orszak królów i książąt, władztwo magnaterii i panowanie kapitału odchodzi w mrok niepowrotnej przeszłości. Kończy się czas wyzysku, czas walk i konkurencji drapieżnej między jednostkami i państwami. Rodzi się na naszych oczach czas nowy, czas współdziałania ludzkiego i pełnego wyzwolenia człowieka.

Jakże wobec tych wielkich zdarzeń dzisiejszych błaho i groteskowo wyglądają spory naszego dwudziestolecia, owe bez powodu zmieniające się gabinety, owe programy polityczne stronnictw, hasła i walki wyborcze, rachuby i przewidywania burżuazyjnych polityków. W księdze dziejów polskich historia dwudziestolecia kurczy się do paru wstydliwych linijek. Pozostało jednak wśród nas sporo nawyków myślowych tego okresu pomieszania i zamętu, i te nawyki do nowej epoki budującego się socjalizmu wnoszą szkodliwe urazy i uprzedzenia starego świata.

Jednym z najbardziej typowych urazów jest stosunek do Europy i Zachodu. Ludzie, którzy zasadniczo zgadzają się z programem Frontu Narodowego, boleją jednak nad naszym rzekomym odseparowaniem się od Europy. Od jakiej to Europy oddziela się Polska Ludowa? Jakim nurtem płynie tradycja myśli europejskiej i kto jest jej reprezentantem? Europy nie reprezentował Hitler ani Mussolini, jak nie reprezentuje jej dzisiaj generał Franco czy neohitleryzm organizowany przez bankierów amerykańskich. Związek Radziecki obronił Europę przed zalewem barbarzyństwa hitlerowskiego, a w dziele Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina odnaleźć można jedyną dziś obronę postępowej myśli europejskiej. Żołnierz armii czerwonej idąc na Berlin niósł w tornistrze tomy pisarzy rosyjskich, angielskich i francuskich. Żołnierz amerykański przyniósł do Europy pończochy nylonowe, comic stripsy i gangsteryzm.

Jeśli chodzi o stosunek Zachodu do Polski, to nareszcie przestaliśmy być kłopotliwą ubogą krewną z prowincji. Już słowo Polska nie budzi w burżuazyjnych paniusiach francuskich czy angielskich ckliwego współczucia dla „dzielnych i nieszczęśliwych Polaków". Słowo „Pologne" czy „Poland" budzi niepokój i lęk wśród mieszczaństwa europejskiego, ale to słowo dla dokerów londyńskich czy górników francuskich brzmi jak hasło wiary i nadziei. Należymy bowiem do wielkiego obozu socjalizmu i pokoju, któremu przewodzi potężny Związek Radziecki.

Stolica naszego kraju już nie jest nazywana „Paryżem Północy", nie jest już ową wesołą Warszawką, gdzie mógł się dobrze zabawić przyjezdny kupiec odwiedzający Polskę — to jedno z najuboższych wówczas państw europejskich. Warszawa brzmi dzisiaj dumnie. Weszło to słowo do leksykonów wszystkich języków świata i jest synonimem zwycięstwa myśli socjalistycznej, zwycięstwa polskiego ludu, który z ruin podźwignął swą stolicę.

Pozycja Polski w świecie dzisiejszym leczy nas z kompleksu niższości, a przecież nie popadamy w groteskowe pozy mocarstwowości Polski sanacyjnej, wiemy bowiem, że naszą siłę i nasz rozwój zawdzięczamy przynależności do obozu pokoju i budownictwa socjalistycznego, że pozbawieni oparcia Związku Radzieckiego nie utrzymamy się na ziemiach naszych, tracimy wszystkie szanse rozwojowe i stać się możemy co najwyżej kolonią imperializmu, lub popaść w wasalstwo odrodzonego nacjonalizmu pruskiego.

Tu dochodzimy do jednego jeszcze i może najniebezpieczniejszego nawyku myślowego, do zrodzonej ze złudzeń dwudziestolecia wiary w istnienie trzeciej siły. Należałem sam do tej grupy radykalizującej inteligencji, która wierzyła, że przebudowa świata i odebranie środków produkcji z rąk kapitalistów możliwe jest przy pomocy perswazji. Odpowiedzią na te złudzenia liberalistyczne były kominy krematoriów w Belsen i Dachau. Historia nauczyła nas, Polaków, że przebudowa świata, zwycięstwo sprawiedliwości społecznej i nawet samo istnienie narodu polskiego możliwe jest tylko w oparciu o naukę marksistowską i siłę Związku Radzieckiego.

Ci wszyscy, którzy nie rozumieją, dlaczego w obecnych wyborach mamy jedną tylko listę — tu znajdą odpowiedź. Mamy tylko jedną listę Frontu Narodowego, bo mamy jedną tylko przed sobą drogę. Są bowiem tylko dwie siły: Front Narodowy i front antynarodowy. Ci, którzy wierzyli w trzecią siłę, jakże szybko znaleźli się w szeregach frontu antynarodowego, ramię w ramię z katami narodu polskiego, z oprawcami hitlerowskimi i mordercami amerykańskimi. Zrozumiały to masy ludowe i zrozumiała to inteligencja polska. Dlatego wierzymy, że obecne wybory do sejmu Polski Ludowej staną się wielką manifestacją patriotyczną narodu, który wybrał już swoją drogę.

Antoni Słonimski

JAKUB BERMAN

Inteligencja polska a Front Narodowy*)

Okres przedwyborczy stał się bodźcem do licznych wypowiedzi pisarzy i uczonych, artystów i nauczycieli, lekarzy i inżynierów. Jaki obraz zarysowuje się na podstawie wypowiedzi szeregowych inteligentów i działaczy kulturalnych? Zarówno z tych wypowiedzi jak też z niezliczonych faktów naszego codziennego życia wynika, jako fakt bezsporny, duży wzrost aktywności naszej inteligencji, jej coraz ściślejszy związek z klasą robotniczą — przodującą siłą narodu — a co za tym idzie, coraz wybitniejsza rola inteligencji w rozwoju Polski Ludowej, w budowaniu socjalizmu.

A trzeba pamiętać, że liczne rzesze naszej inteligencji, jeśli nie liczyć najmłodszych jej roczników miały na tej drodze nie lada dystans do przebycia Kiedy polska klasa robotnicza na przestrzeni dziesięcioleci torowała sobie drogę do nowych, rewolucyjnych rozwiązań, do nowych form życia społecznego i narodowego w braterskim sojuszu przede wszystkim z rosyjskim ruchem robotniczym, a potem w oparciu o Wielką Październikową Rewolucję Socjalistyczną, towarzyszyły jej w tej twardej walce grupy radykalnej inteligencji, znaczne zaś rzesze inteligencji, ulegając obcym wpływom i wahaniom pozostawały w tyle, odruchowo tylko ujawniając swe sympatie w okresach wzniesienia fali rewolucyjnej Nie mówię, rzecz jasna, o tych którzy utonęli po uszy w bagnie burżuazyjnego rozkładu, stali się gorliwymi rzecznikami i chwalcami reakcyjnych rządów i faszystowskich metod

Część ludzi, często bardzo cennych, nie chcąc dostrzec zachodzących w życiu zmian, trwała uparcie na 19-wiecznych pozycjach społecznikostwa i kulturnictwa z okresu wczesnego kapitalizmu Na przestrzeni 50-lecia, które poprzedziło wyzwolenie i powstanie Polski Ludowej a więc w epoce upadku kapitalizmu, w jego fazie imperialistycznej życie dawało tym inteligentom - samotnikom twardą szkołę rozbijając brutalnie ich złudzenia, odsłaniając ich wewnętrzne rozdarcie i naiwną donkiszoterię.

Nie mało też inteligentów sądziło, że można skutecznie szerzyć oświatę, rozwijać naukę, podnosić zdrowotność krzewić kulturę jak gdyby *„niezależnie"* od ustroju, bez walki z kapitalistycznym systemem wyzysku, bez walki z reżimem faszystowskim. Niemało inteligentów łudziło się, że można liczyć na zachowanie niepodległości i na jej skuteczną obronę w ramach takiego ustroju Zatruwaniu i obezwładnianiu świadomości tych odłamów inteligencji sprzyjały różne krzykliwie reklamowane i uzyskujące dzięki temu rozgłos „teoryjki" — stanowiące nawrót do irracjonalizmu, półmistycyzmu, fideizmu. Nie jest przecież przypadkiem, iż w okresie międzywojennym tyle uwagi poświęcano ideologii mistyczno-mesjanistycznej, którą mianowano *„polską filozofią narodową"*, przemilczając i fałszując najcenniejszy racjonalistyczny i materialistyczny nurt w dziejach polskiej myśli filozoficznej.

Postawa ta została zachwiana, gdy przyszła katastrofa wrześniowa, gdy rozsypał się cały gmach utkany ze złudzeń i błędnych przesłanek. Lecz proces rzetelnego karczowania gruntu zachwaszczonego błędnymi poglądami i upartymi nawykami myślowymi rozpoczął się na dobre po wyzwoleniu.

Z każdym rokiem po wyzwoleniu stawało się u nas dla tysięcy inteligentów coraz bardziej jasne, że istnieje ścisły związek i współzależność między ustrojem społecznym a rozwojem kultury, nauki, zdrowotności i wszystkich dziedzin życia ludzkiego, że losy ludzkie decydują się w wyniku walk społecznych, w wyniku słusznej, postępowej, rewolucyjnej postawy społeczno - politycznej milionów ludzi, w wyniku ich rosnącej aktywności społecznej.

8 lat Polski Ludowej to lata szybkiego wzrostu liczebnego i ideowego naszej inteligencji, to lata przezwyciężania wahań, to lata zbliżania się i zespalania inteligencji z ludem, z klasą robotniczą. Ostatnie zaś lata przynoszą zasilanie inteligencji naszymi już wychowankami wywodzącymi się z klasy robotniczej i pracującego chłopstwa.

Można by powtórzyć pod adresem całej inteligencji słowa wypowiedziane przez Prezydenta Bolesława Bieruta na II Kongresie Inżynierów i Techników:

„Głęboki szacunek dla starej, zasłużonej kadry inteligencji technicznej, która włączyła się do twórczej pracy narodu na jego nowej wspaniałej drodze rozwoju, łączymy z troską o najkorzystniejszy wzrost naszej młodej kadry, dla której wszystkie drogi stoją otworem".

Nasza inteligencja twórcza zdaje sobie sprawę, że rewolucja kulturalna jest nieodłączna od tych głębokich rewolucyjnych przeobrażeń, które zachodzą w Polsce od 8 lat, zmieniając oblicze kraju, ludzi i ich losy.

Na naradzie pracowników służby zdrowia, która odbyła się ostatnio w Warszawie, stwierdzono, że w wyniku walki z chorobami, a w szczególności ze śmiertelnością wśród dzieci n przestrzeni ostatnich lat 8, średnią długość życia ludzkiego w Polsce udało się przedłużyć o 5 lat

Czyż nie warto sobie uprzytomnić, że dzięki władzy ludowej Polacy wydarli ze szponów śmierci jakże drogie i radosne lata życia dla milionów ludzi, lata, które byłyby beznadziejnie stracone pod rządami kapitalistów.

Przeszło milion ludzi starszych dzięki władzy ludowej zdjęło z oczu bielmo analfabetyzmu, przyłączyło się do rzeszy umiejących korzystać z dobrodziejstw kultury, przedtem dla nich niedostępnych.

Zlikwidowaliśmy hańbę wiejskich jednoklasówek — hodowlę powrotnego analfabetyzmu. Również chłopskie dzieci opuszczają dziś szkołę z coraz większym zasobem wiedzy.

7 milionów ludzi zwiedziło w roku ubiegłym nasze muzea Około 130 tysięcy studentów kształci się w tym roku na wyższych uczelniach 25 tysięcy zespołów amatorskich robotniczych i wiejskich doskonali się w sztuce dramatycznej, w śpiewie, muzyce i tańcu. W ubiegłym roku na przedstawieniach zespołów amatorskich obecnych było 10 milionów ludzi.

W ciągu 8 lat zrobiliśmy niemało, aby nasz wielki dorobek kulturalny stał się własnością nie wąskiej elity, lecz całego narodu, aby Kochanowski i Mickiewicz, Szopen i Słowacki, Moniuszko i Konopnicka, Prus i Żeromski stali się bliscy milionom ludzi, aby ich twórczość wzruszała i kształciła nie wybrańców losu i smakoszów, lecz każdego robotnika i chłopa.

Pielęgnujemy pieśń ludową i sztukę ludową, która dopiero teraz wyszła poza szranki regionalizmu.

Przed milionami ludzi otwarła się droga do awansu kulturalnego — awans kulturalny jest przecież nieodłączny od awansu społecznego.

Ten oszałamiający wzrost zasięgu, poziomu i tętna życia kulturalnego nie jest dla inteligencji twórczej jedynym sprawdzianem dokonywających się przemian. Nie mniej istotnym i przełomowym jest fakt, że po zerwaniu raz na zawsze ze swą służebną, w stosunku do warstw pasożytniczych, i poniżającą funkcją w ustroju kapitalistycznym, stała się ona współtwórcą naszej rewolucji kulturalnej i uczestniczy w pełni w twórczym przeobrażaniu życia i człowieka w Polsce.

Nowe książki i filmy, nowe dzielnice i nowe miasta, nowe sztuki teatralne i nowe pieśni, nowe obrazy i utwory muzyczne, nowa technika i rozpowszechnienie wiedzy, kształtują dziś świadomość milionów ludzi, torują drogę nowemu życiu. Mamy w tej dziedzinie pewne osiągnięcia, o wiele więcej jest jeszcze do zrobienia. Wielkie są możliwości, wielkie też winno być poczucie odpowiedzialności za słuszną ich realizację, za celność broni ideowej i artystycznej w toczącej się walce.

Wśród naszej inteligencji nie wszyscy jeszcze uświadomili sobie do głębi związek i współzależność, jaka zachodzi między rozwojem kultury a ustrojem społecznym. Nie wszyscy jeszcze rozumieją z całą jasnością prawa rządzące rozwojem kultury, które należą do zakresu praw rządzących rozwojem społeczeństwa, nie wszyscy jeszcze zdają sobie sprawę, że klucz do odkrycia tych praw daje marksizm-leninizm. Ale każdy, kto ma oczy otwarte, kto nie chce sam siebie okłamywać, nie może zaprzeczyć tym oczywistym faktom, nie może nie wysnuć z nich wniosków dla siebie. Dla tych wszystkich jest miejsce we Froncie Narodowym, jeśli wnoszą uczciwie swój wkład do budowy nowego, lepszego życia, jeśli nie szczędzą sił dla umocnienia i rozkwitu Polski nawiązującej do najpiękniejszych tradycyj polskiej myśli i polskiej kultury.

Czujnie śledzimy to wszystko, co się dzieje w krajach kapitalistycznych. Nie powinny ujść naszej uwagi ani ich zbrojenia, ani używana przez imperialistów zatruta broń ideologiczna. Naszą inteligencję szczególnie interesują zjawiska zachodzące w życiu kulturalnym tych krajów.

Co jest szczególnie charakterystyczne dla dominującego w metropolii amerykańskiego imperializmu nurtu życia kulturalnego?

Daleko posunięte wyjałowienie literatury i sztuki. Ubóstwo życia kulturalnego i wtłoczenie go w ramki najlichszych standartów, żerowanie na najbardziej niewybrednych gustach i na najgorszych instynktach, doprowadzenie histerii antykomunistycznej i wojennej do granic obłędu.

Co jest charakterystyczne dla życia kulturalnego w Europie Zachodniej?

Niemoc własnej twórczości jest tam jeszcze potęgowana przez zalew amerykańskiej szmiry i tandety korzystającej ze szczególnych przywilejów. W ślad za „marshalizacją" ekonomiki przyszła kolej na „atlantyzację" kultury. Odbywa się to na przykład w dziedzinie filmu w formach tak brutalnych, że nie może nie budzić sprzeciwu.

Głęboki upadek, który zagraża kulturze w tych krajach, jest odbiciem ich ogólnej sytuacji, co z genialną prostotą scharakteryzował Towarzysz Stalin w następujących słowach:

„Dawniej burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broniła swobód burżuazyjno-demokratycznych i przez to stwarzała sobie popularność w masach Obecnie z liberalizmu nie pozostało ani śladu. Nie ma już t.zw. „wolności indywidualnej" — prawa indywidualne przyznawane są obecnie tylko tym, którzy posiadają kapitał, a wszyscy pozostali obywatele uważani są za surowy materiał ludzki, zdatny jedynie do wyzysku. Podeptana została zasada równości praw ludzi i narodów, zastąpiono ją zasadą pełni praw wyzyskującej mniejszości i pozbawienia wszelkich praw wyzyskiwanej większości obywateli. Sztandar swobód burżuazyjno - demokratycznych wyrzucony został za burtę".

i dalej:

„Dawniej burżuazja uchodziła za głowę narodu, broniła ona praw i niezawisłości narodu, stawiając je „ponad wszystko". Obecnie ani śladu nie pozostało po „zasadzie narodowej". Obecnie burżuazja sprzedaje za dolary prawa i niezawisłość narodu. Sztandar niezawisłości narodowej i suwerenności narodowej wyrzucony został za burtę".

A co mówią fakty o wynikach wielkiej rewolucji kulturalnej, która objęła olbrzymie obszary Związku Radzieckiego?

Obecnie pracuje w Związku Radzieckim 5,5 miliona specjalistów z wyższym i średnim wykształceniem zawodowym, czyli 2,2 raza więcej niż w roku 1940. Tow. Beria w swym referacie na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego przytoczył m.in. następujące bardzo charakterystyczne liczby:

W chwili obecnej jest w ZSRR 887 wyższych uczelni, w których studiuje 1.400.000 osób. Pod względem rozwoju szkolnictwa wyższego nawet bardzo dawniej zacofane republiki radzieckie dokonały olbrzymiego skoku, dziś znacznie wyprzedziły nie tylko zagraniczne kraje wschodu, lecz i kraje Europy Zachodniej.

Tak np. w Uzbeckiej Republice na 10 000 mieszkańców przypada 71 studiujących na wyższych uczelniach, w Azerbejdżańskiej — 93 osoby.

Tymczasem w Iranie na 10 000 mieszkańców studiują na wyższych uczelniach 3 osoby, w Indiach — 9, w Egipcie i Turcji — 12, we Włoszech — 32, we Francji — 36.

Niewyczerpane siły twórcze wyzwoliła rewolucja socjalistyczna. Dlatego tak nieocenioną wartość ma dla nas dorobek kulturalny bratnich narodów radzieckich. Dlatego czerpiemy pełną garścią z ich doświadczeń.

A jakie są dalsze perspektywy rozwoju na tej drodze? Do końca obecnej 5-latki zrealizuje się powszechne nauczanie w zakresie szkoły średniej (10 latki) w większych miastach aby w następnej pięciolatce objąć tym powszechnym nauczaniem wszystkie miasteczka i wsie Jakie możliwości rozwoju kulturalnego otwiera przejście od socjalizmu do komunizmu?

Daje na to odpowiedź w swej ostatniej epokowej pracy „Ekonomiczne problemy socjalizmu w ZSRR" Towarzysz Stalin, formułując w następujących słowach jeden z istotnych warunków przejścia do komunizmu:

„Trzeba osiągnąć taki poziom kulturalny społeczeństwa, który zapewniłby wszystkim członkom społeczeństwa wszechstronny rozwój ich zdolności fizycznych i umysłowych, ażeby członkowie społeczeństwa mieli możność uzyskania takiego wykształcenia, które mogłoby uczynić z nich aktywnych działaczy rozwoju społecznego ażeby mieli oni możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie, wskutek istniejącego podziału pracy, do jakiegoś jednego zawodu.

Co jest do tego potrzebne?

Byłoby rzeczą niesłuszną sądzić że można osiągnąć tak poważne podniesienie poziomu kulturalnego członków społeczeństwa bez poważnych zmian w obecnej sytuacji pracy W tym celu trzeba przede wszystkim skrócić dzień roboczy co najmniej do sześciu, a potem nawet do pięciu godzin. Jest to niezbędne po to, by członkowie społeczeństwa uzyskali dość wolnego czasu na zdobycie wszechstronnego wykształcenia. Trzeba dalej w tym celu wprowadzić powszechny obowiązek nauczania politechnicznego, co niezbędne jest po to, by członkowie społeczeństwa mieli możność swobodnego wyboru zawodu, a nie byli przykuci na całe życie do jakiegoś jednego zawodu. Trzeba dalej w tym celu radykalnie polepszyć warunki mieszkaniowe i podnieść realne płace robotników i urzędników co najmniej dwukrotnie, jeśli nie więcej, zarówno w drodze bezpośredniego podnoszenia płac pieniężnych, jak i w szczególności w drodze dalszego systematycznego obniżania cen artykułów masowego spożycia."

Oto porywająca wizja, która jest wyrazem ścisłego naukowego przewidywania Wbrew oszczercom i ignorantom burżuazyjnym dalszy rozwój rewolucji kulturalnej prowadzi zarówno do najpełniejszego rozwoju kultury narodowej jak i do najpełniejszego rozwoju każdej jednostki, do najbardziej wszechstronnego rozwoju indywidualnego, do coraz bogatszego życia kulturalnego.

Taka a nie inna jest również droga rozwoju naszej rewolucji, droga bujnego, wszechstronnego rozkwitu polskiej kultury socjalistycznej.

Droga ta prowadzi też do tak głębokich przeobrażeń jak zniesienie istotnych różnic między pracą umysłową a fizyczną.

Jesteśmy dopiero na pierwszym etapie tej zwycięskiej drogi, ale odsłonięcie dalszych perspektyw dodaje nam sił w walce, pozwala skuteczniej przezwyciężać trudności, nieuniknione trudności na niełatwej drodze przeobrażania życia i przeobrażania człowieka, karczowania wielowiekowych nawarstwień ciemnoty i przesądów wyzwalania nowych sił wytwórczych i kształtowania nowej, coraz szlachetniejszej moralności.

Program Wyborczy Frontu Narodowego wytycza plan działania na najbliższe lata W akcji wyborczej program Frontu Narodowego, program dalszej rozbudowy gospodarczej i umacniania naszego państwa, program pogłębiania naszej rewolucji kulturalnej, program obrony pokoju niepodległości i naszych granic — ściera się z wpływami tych ciemnych sił, które prą do wojny chcą nowej niewoli — tym razem hitlerowsko - amerykańskiej chcą powrotu obszarników i kapitalistów, chcą wszechwładztwa ciemnoty i zabobonu.

Nie chcemy bynajmniej bagatelizować trudności i kłopotów dnia codziennego, będziemy je z całą pasją przełamywać i usuwać, ale gdyby one komukolwiek przesłoniły naszą drogę i naszą rację, byłoby to dowodem małoduszności.

Nie wolno nam zamykać oczu na fakt, że wróg ma jeszcze oparcie w niedobitkach obszarniczo-kapitalistycznych, w resztkach klas pasożytniczych, w ciemnocie i zacofaniu w sile bezwładności i konserwatyzmu.

Dlatego przebieg i wynik walki wyborczej ma takie istotne znaczenie. Im więcej zdobędziemy w toku tej akcji świadomych i czynnych bojowników Frontu Narodowego, im skuteczniej potrafimy izolować i obezwładnić wroga, tym szybciej pokonamy trudności, tym mniej ofiar będzie wymagała nasza walka, tym lepsze i radośniejsze będzie życie prostego człowieka w naszym kraju.

Skupiajmy się więc wszyscy w szeregach Frontu Narodowego pod przewodem naszego Prezydenta Bolesława Bieruta w imię twórczej pokojowej pracy, w imię szczęścia wszystkich prostych ludzi, w imię rozkwitu naszej Ojczyzny

Jakub Berman

*) Pełny tekst przemówienia wygłoszonego na spotkaniu z wyborcami w Uniwersytecie Warszawskim w dn. 21 X 52.

FRONT NARODOWY POLAKÓW SCALIŁ POZA NIM TYLKO ZDRAJCY ZOSTALI

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

FN



I

Gdy matka dzieciom
chleb rozkrawa,
kiedy światłami
lśni Warszawa,
ta myśl, że tobie
żyć przypadło
tu, gdzie dla wszystkich
chleb i światło,
że się dokładasz
do budowy —
to jest właśnie
Front Narodowy.

II

Gdy ciebie żaden
trud nie zraża,
gdy widzę wielkość
w zwykłych twarzach,
gdyś bliski młodym,
idziesz z nimi,
gdy z pracy płynie
twój optymizm
i w pracy każdy
dzień twój nowy —
to jest także
Front Narodowy.

III

Kiedy przez Wrocław
i przez Szczecin
jadą w wózeczkach
małe dzieci,
nad dzieci snami
listek lata,
a w oczach matek
tyle światła,
bo dzieciom włos
nie spadnie z głowy —
to wszystko jest
Front Narodowy.

IV

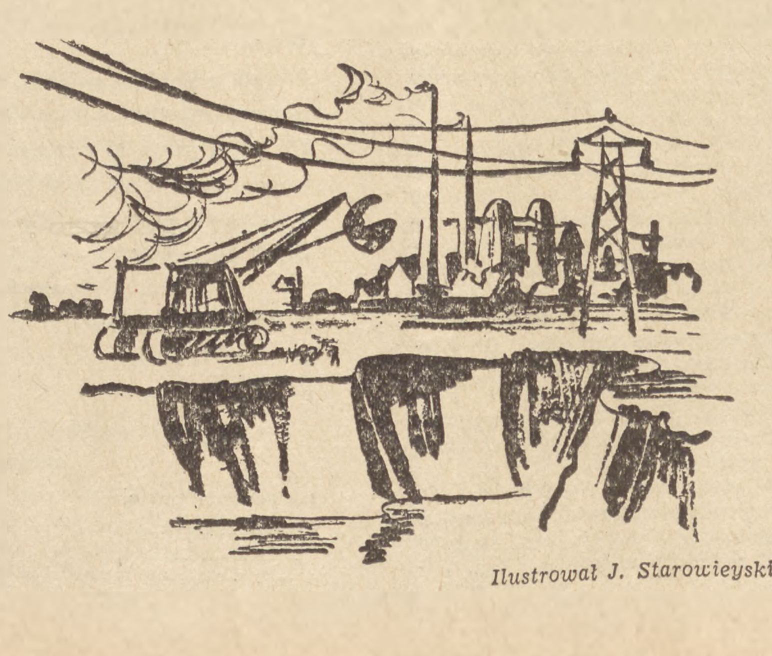
Nas nie zastraszy
zbir przy zbirze,
my kraj dźwigniemy
jeszcze wyżej.
Pójdziemy w przyszłość
rok za rokiem
nieustępliwym
naszym krokiem,
niezmordowanym,
siedmiomilowym —
zespół zwycięski —
Front Narodowy.

V

Ty spójrz, jak rośnie
i rozkwita
Ludowa nam
Rzeczpospolita;
gdzie świstał wiatr
ulicą ciemną
dziś kandelabry
M D M-u;
na kraj potężnych
hut i kopalń
zdumiona patrzy
Europa...



jesień... a cały kraj jak nowy —
to co to jest?
Front Narodowy.



Ilustrował J. Starowieyski

Z HUT, SPÓŁDZIELNI, Z MIASTA, ZE WSI WYBIERANI SĄ NAJLEPSI

LEONARD BORKOWICZ

POD LENINO

W MARSZU

6 października wiedzieliśmy już, że w najbliższym czasie weźmiemy udział w walce. W tym dniu dowódca dywizji wyjechał do sztabu armii i otrzymał tam rozkaz bojowy dla naszej dywizji. Wiele znaków na niebie i ziemi wskazywało zresztą na bliskość walki. Na niebie coraz częściej pojawiały się niemieckie samoloty, a na drogach mniej było cywilów, raz po raz wyprzedzały nas kolumny ciężkich dział, a łuny pożarow i głuchy odgłos kanonady stwarzały obraz typowy dla obszaru przyfrontowego przed ofensywą.

Od 6 października posuwaliśmy się też znacznie szybciej naprzód. A marsz był trudny. Październik 1943 roku na Białorusi był ponury: w dzień siekł nas deszczem, a w nocy męczył przymrozkami. Wyziewy ziemi coraz częściej zamieniały się w jesienną mgłę. O paleniu ognisk nie było mowy, ba, w nocy nawet papierosa nie wolno było zapalić. Tego ostatniego przestrzegałem szczególnie skrupulatnie -- choć naprawdę nie przychodziło mi to łatwo. Ale w świeżej pamięci miałem jeszcze solidną reprymendę, jaką usłyszałem od Gen. Karola Świerczewskiego, który na moje nieszczęście złapał jednego z oficerów 2 pułku ćmiącego w najlepsze papierosa w kolumnie marszowej. Było to wprawdzie jeszcze w czasie ćwiczeń w obozie sieleckim, ale Generał nie uznał żadnych okoliczności łagodzących. Nie po to są ćwiczenia, żeby robić to, za co na froncie można drogo zapłacić. No i „obsztorcował" przede wszystkim mnie...

ROZKAZ 014.

Dywizja maszerowała szlakiem wielkiej smoleńskiej operacji Armii Radzieckiej. 25 września wyzwolony został Smoleńsk, a na początku października Armia Radziecka podeszła pod Mohylów i Rogaczów. Przy końcu września oddziały kalininowskiego frontu doszły do Witebska. W wyniku zwycięskiego marszu Armii Radzieckiej na 100—130 km w kierunku na Witebsk i Mozyr oskrzydlona została niemiecka armia „Centrum".

Za Smoleńskiem i Krasnym doszliśmy do rejonu miasteczka Lenino, w którym kościuszkowska dywizja miała wziąć udział w walce. Wojska hitlerowskie okopały się nad rzeką Miereją i szeroko rozbudowały swoją obronę. Wiedzieliśmy, że nieprzyjaciel rozporządzał dużą ilością artylerii, a stany liczebne jego oddziałów były poważne.

11 października jadę z dowódcą 2 pułku majorem Czerwińskim do wsi Mikołajewka, gdzie rozlokował się sztab dywizji. W pomieszczeniu sztabu panuje niezwykłe ożywienie. Wyczuwamy od razu, że decyzja zapadła i że właśnie o tym będą dziś mówić z nami w sztabie. Ale rozmów było mało. Szef sztabu wręcza nam rozkaz bojowy Nr 014. Szukamy wolnego miejsca przy stole i pochylamy się nad rozkazem.

„1 PDP przerywa pozycję npla na linii Półzuchy, k. 215,5". Następują szczegółowe zadania dla pułków piechoty: „Złamać obronę nieprzyjaciela na przednim skraju..."

Do rozkazu bojowego dołączony jest załącznik stanowiący planową tablicę walki, w której szczegółowo określono rolę oddziałów bojowych w toku bitwy:

„Piechota I rzutu do świtu dnia 12.X wychodzi na podstawy wyjściowe wszystkimi oddziałami... piechota szturmuje przedni skraj nieprzyjaciela za wałem ogniowym — posuwa się za wałem ogniowym artylerii na głębokość 1,5 km".

Rzucamy jeszcze okiem na część rozkazu omawiającą zadania artylerii i innych rodzajów broni i obaj jednocześnie patrzymy na zegarki kiedy czytamy:

„każdy dowódca plutonu ma znać swoje zadania do godz. 14.00".

W tej chwili jest godz. 9.00. Czasu pozostało niewiele. Zbieramy dokumenty i wracamy do siedziby dowództwa pułku w Słobódce. Zastajemy sztab w pełnej gotowości, tak że już o godz. 11.00 major Czerwiński komunikuje dowódcom batalionów swój rozkaz bojowy: *„zdecydowałem przeprowadzić szturm w trzech rzutach..."*. Jednocześnie wychodzi rozkaz przeprowadzenia zwiadu: *„Zwiad przeprowadzić dwiema grupami. Grupa pieszego zwiadu pułku przeprowadzi zwiad w kierunku wsi Półzuchy. Grupa pierwszego baonu przeprowadzi zwiad w kierunku — drugi wąwóz na południe od Półzuch. Ustalić obecność npla i jego środków ogniowych."*

Zbieramy oficerów politycznych i omawiamy szczegółowo ich zadania w związku z rozkazem bojowym.

Przed wyjściem oddziału na przedni skraj, co miało nastąpić z nastaniem ciemności, mam chwilę wytchnienia. Szukam teraz samotności, chcę pomyśleć o tym, co nas czeka. Czuję tę potrzebę, bo nie mogę opanować nurtującego mnie niepokoju. Przecież to jest pierwsza bitwa naszej dywizji. Nie chodzi mi o to, że dywizja jest młoda. Dłużej i lepiej nie były szkolone dywizje radzieckie, a walczyły przecież znakomicie. Ekwipunek nasz również nie pozostawia nic do życzenia.

Ale jaka będzie postawa żołnierza? Teraz przecież każdy rzuci na szalę to, co ma najcenniejsze — życie. Czy będzie wiedział w imię czego to robi, czy nie stchórzy, nie załamie się? Czy zwycięży wiekowe uprzedzenie wobec Rosji, nieufność i masa przesądów, z którymi nasi chłopcy przyszli do dywizji, czy też nowa myśl, zaszczepiona w obozie sieleckim i w marszu na front?

To nie była małoduszność. W takiej chwili każdego chyba nachodzą podobne myśli. Tylu ludzi zawierzyło nam młodość, zdrowie, życie. W ludziach tych my z kolei ulokowaliśmy tyle nadziei, z ich losem łączymy tyle planów! Co będzie jutro?

NATARCIE

Na przełaj przez pola ruszam o świcie do 1 batalionu. Nie mogę nadziwić się ciszy, która w tym polu panuje. Przecież za każdym krzakiem ukrywa się stanowisko



rys. S. Kobyliński

artylerii, teren posiekany jest rowami strzeleckimi i okopami. Wszędzie pełno żołnierzy i sprzętu. A za kilka godzin rozpocznie się bitwa.

Kiedy zbliżam się do rowów 1 batalionu jest już całkiem jasno. Podchodzę bliżej i zaskoczony jestem tym co widzę. Żołnierze powyłazili z okopów, wielu rozebrało się do pasa, nabierają z menażek wodę do ust, wypluwają ją na ręce, polewają sobie szyje, prychają, podskakują — poranne mycie całkiem jak na koszarowym podwórzu, a nie na 500 metrów od nieprzyjaciela.

Wsiadam z pyskiem na oficerów za dopuszczenie do takiego lekkomyślnego zachowania się żołnierzy, ale wypada to blado, bez przekonania. Jestem szczęśliwy. Chłopcy pogardliwie ruszają ramionami, kiedy mówię im o nieprzyjacielu. Więc nie boją się! Właściwie to jest dobry początek.

Do punktu dowództwa pułku docieram dosłownie w ostatniej chwili. Zaledwie mam czas, aby wskoczyć do okopu, a już rozlega się salwa „katiusz", a w ślad za nią grzmieć zaczyna cały potężny zespół artylerii radzieckiej, wspierającej nasze działania. Oprócz naszej artylerii dywizyjnej i pułkowej do akcji wstąpiły dwa pułki moździerzy, dwa pułki artylerii lekkiej, oraz złożona z trzech pułków brygada haubic. Stanowiło to razem 452 luf. A wszystko to w pasie 1,5 km!

Mija dobra chwila zanim oswajam się jako tako z potężnym hukiem dział. Wytrzeszczam oczy na pozycje Niemców i stwierdzam, że artyleria ich zaczyna odgryzać się. Czerwone języki ognia, wybuchające w niemieckich okopach, mieszają się z wystrzałami nieprzyjacielskich dział. Nie trwa to jednak długo. Zdławione morzem naszych pocisków milkną niemieckie działa i moździerze.

Raz po raz rzucam okiem na zegarek: boję się, że przegapię moment podniesienia piechoty do ataku. Wiem, że ma to nastąpić 15 minut przed końcem przygotowania artyleryjskiego.

Pozostało jeszcze pół godziny, czyli 15 minut do początku szturmu. Nagle zapada cisza. Gwałtownie szarpię kogoś stojącego obok mnie za rękę i sprawdzam godzinę. Zegarek mój chodzi dobrze. Kurczowo przyciskam do ucha słuchawkę polowego telefonu i ryczę coś o bałaganie i skandalu. W tej chwili widzę, że z okopów podnosi się część naszych chłopców, słyszę okrzyki „hurra", widzę, że biegną w stronę Niemców, skąd sypać się zaczynają strzały. Żołnierze gwałtownie zawracają i znów kryją się w okopach. W tej chwili nasza artyleria wznawia kanonadę.

Teraz dopiero zauważam, że Czerwiński spokojnie odejmuje lornetkę od oczu i nie wygląda na to, aby był zaniepokojony tym, co się stało. I nagle przypominam sobie, że manewr ten był przecież w planie bitwy. Chodzi o to, aby przy pomocy pozornego natarcia wywołać ogień nieprzyjacielskiej artylerii i ustalić w ten sposób pozostałe jeszcze niemieckie stanowiska ogniowe.

Nie ma czasu na rozważania. Piechota wyskakuje z okopów i idzie do ataku. Na czele pierwszy batalion. Chłopcy idą wyprostowani i otwierają ogień z własnej broni. Odzywa się niemiecka ciężka broń. Padają pierwsi zabici i ranni.

Zaczynają grać niemieckie karabiny maszynowe. Nasza tyraliera biegnie teraz skokami, a w pewnym momencie pada na ziemię i trwa tak bez ruchu. Koło mnie szaleje Czerwiński: *„wstać i kontynuować natarcie"*. Sytuacja jest trudna. Z Półzuch i Trygubowa niemieckie karabiny maszynowe ostrzeliwują pole, które musi przejść nasza piechota w drodze do nieprzyjacielskich okopów. Ale wszystko to trwa zaledwie kilka minut. Już znowu podnoszą się kompanie i nagłym, potężnym skokiem przebiegają pole i wdzierają się do niemieckich okopów. Zaczyna się walka wręcz.

ATAK NA PÓŁZUCHY

Tymczasem 2 i 3 batalion wyrywają się spod ognia niemieckich dział i śpieszą na pomoc pierwszemu batalionowi.

Teraz trzeba zdobyć wieś Półzuchy, którą hitlerowcy zamienili w silnie umocniony punkt oporu. Nadchodzi meldunek od dowódcy 1 baonu, Sławińskiego: *„godzina 12.10 na wschód od Półzuch 300 m. Proszę obezwładnić punkty ogniowe obok pojedynczych drzew i baterię moździerzy na płn. zach. od Półzuch. Jeżeli można przyślijcie pluton czołgów"*. Łączę się z dowódcą artylerii dywizji pułkownikiem Bewziukiem i proszę o ogień artylerii w kierunku wskazanym przez Sławińskiego. Piechota nasza zaległa. Znowu meldunek od Sławińskiego: *„nieprzyjaciel na prawym skrzydle zatrzymał 1 i 9 kompanię. Radiostacja nieczynna. Oczekuję pomocy czołgów, chociażby pluton"*.

Nareszcie czołgi podchodzą do Mierei, a na stanowiska niemieckie w Półzuchach sypać się zaczyna grad pocisków naszej artylerii. Widzę jeszcze, jak podnoszą się chłopcy i ruszają do szturmu na wieś.

Musimy i my zmienić punkt dowodzenia. Przeskakuję do rowu, leżącego bliżej walczących batalionów. W tej chwili nad polem zjawiają się niemieckie samoloty. Sypią się bomby, a jednocześnie rozlega się stukot radzieckich dział przeciwlotniczych. Teraz samoloty zniżają lot i ostrzeliwują pole z broni pokładowej. Doskakuję do kompanii rusznic przeciwpancernych i wskazuję jako cel samoloty. Jeden ze strzelców wyjmuje z ust jarzący się niedopałek, odkłada go na stojącej obok skrzynce po amunicji: nie wyrzuca, zostawia na potem, kiedy załatwi się z samolotem. Uderza mnie spokój naszych chłopców.

Nadchodzi meldunek z drugiego batalionu: *„2 batalion zajął wieś Półzuchy. Nie prowadźcie ognia art. po południ.zach. od Półzuch. Dajcie ogień na północ od Półzuch. Proszę o łączność z wami. Dowódca 2 batalionu Jakimionok"*.

Jednocześnie wraca z Półzuch dowódca zwiadu, chorąży Zawadka, który uzupełnia meldunek dowódcy batalionu.

Walka o Półzuchy nie zatrzymała natarcia dalszych kompanii. Poszły naprzód na szturm 2 i 3 linii niemieckich okopów. Z tymi kompaniami jest Edward Ochab. Ani na chwilę nie opuszczał on walczącej tyraliery, aż przyszedł moment kiedy obecność jego zadecydowała o naszym sukcesie na tym ważnym odcinku.

Pod osłoną samolotów nieprzyjaciel przechodzi do zaciekłych kontrataków na zajęte przez nas pozycje. Grupy hitlerowców docierają do Lenino i zagrażają naszym od tyłu. Zawodzą próby otrzymania pomocy od dowództwa. Nie bacząc na to porucznik Ochab organizuje szturm następnej linii okopów. Znów podnoszą się nasi żołnierze, teraz już zmęczeni śmiertelnie całodziennym bojem, ale zapaleni przykładem Ochaba nie ustępują pod huraganowym ogniem nieprzyjaciela i wybijają go z okopów. Równocześnie nasi fizylierzy oczyszczają Lenino.

W toku walki nasi żołnierze natknęli się na grupę około 30 hitlerowców. Nasi wzywają ich do poddania się. Hitlerowcy niechętnie podnoszą ręce, a kiedy wyczuwają niepewność naszego młodego żołnierza, chwytają wymierzone w ich piersi karabiny, wyrywają je i nacierają na naszych żołnierzy. Sytuacja staje się groźna. W tej chwili podbiega porucznik Ochab, strzałem z rewolweru kładzie trupem jednego hitlerowca i prowadzi naszych chłopców do ataku na resztę. Hitlerowcom przychodzą z pomocą ich fizylierzy. Wywiązuje się walka, z której nasi wychodzą zwycięsko.

ZADANIE WYKONANO

Noc mija na porządkowaniu oddziałów, wywożeniu rannych i dostarczaniu żywności.

Przez cały 13 października znajdujemy się w ciężkich walkach. Stado za stadem nadlatują Fokke-Wulfy i Messerschmidty, z którymi walczy jednak już teraz nie tylko artyleria przeciwlotnicza, ale i piechota. Mimo oporu nieprzyjaciel wydatnie poprawiamy w tym dniu swoje pozycje.

W tym trudnym dniu wyzbywam się resztek wątpliwości. Nasz żołnierz walczył wspaniale. Wystawiony już w pierwszej swojej bitwie na ciężką próbę, zdał chlubnie egzamin.

W archiwum bitwy pod Lenino zawarta jest korespondencja prowadzona po bitwie między naszymi dowódcami i dowódcami wspierających nas jednostek radzieckich. W jednym z tych listów jest ocena naszej walki nadesłana na ręce dowódcy artylerii dywizji przez 67 brygadę artylerii haubicznej. Czytamy tam:

„Niemieccy najeźdźcy faszystowscy, usiłujący umocnić się na linii Dniepru, stworzyli na wschodnim jej brzegu silnie umocnione przedmoście o głębokości 50 km. Przedni skraj pozycji na linii rzeki Miereja w okolicy wsi Półzuchy posiadał dobrze zorganizowany system ognia przez potężne umocnienia saperskie w postaci rowów ciągłych, schronów, przeszkód z drutu kolczastego i pól minowych.

Na dowódcę artylerii 1 PDP pułkownika Bewziuka oraz szefa sztabu majora Krzysztofowicza spadło odpowiedzialne zadanie przełamania silnie zorganizowanej obrony nieprzyjaciela.

12 października 1943 roku intensywne jednogodzinne przygotowanie artyleryjskie objęło przedni skraj pozycji nieprzyjaciela, niszcząc i dławiąc wszelkie punkty ogniowe w systemie niemieckiej obrony. Bezpośrednio potem 1 i 2 pułk piechoty ruszyły dzielnie do natarcia i posuwając się za potężnym wałem ogniowym artylerii zmusiły przeciwnika do opuszczenia zajmowanych pozycji.

Obrona nieprzyjaciela została złamana.

W czasie walki dowódca artylerii dywizji i jego sztab kierowali działaniem grup w sposób dokładny i planowy.

Dowództwo 67 Brygady Haubic wyraża zadowolenie z działalności artylerii 1 polskiej Dywizji i życzy jej dalszych sukcesów rozbicia niemieckich najeźdźców oraz całkowitego wypędzenia ich z granic waszej i naszej Ojczyzny".

List podpisali ppłk Dmitrenko, dowódca brygady i mjr Azarow, szef sztabu. List jest datowany: 15 października 1943 r.

Gdzie leży tajemnica powodzenia 1 dywizji? Czym się tłumaczy ufność, z jaką młody żołnierz kościuszkowskiej dywizji poszedł za swoimi dowódcami, dając dowody nieustraszonego męstwa?

Zdaje mi się, że jest tak, bo żołnierz wiedział, iż walczy o słuszną i wielką sprawę. To było inne wojsko, jakiego Polska dotąd nie znała. W jedną całość sprzęgła się sprawa Polski i sprawa człowieka pracy. Komuniści polscy, którzy dywizję organizowali i wychowali, potrafili skupić wokół siebie wszystkich patriotów, którym droga była sprawa niepodległości i wolności. Komuniści wierzyli w człowieka i dlatego żołnierz zaufał komunistom. Żołnierz wiedział, że u komunistów czyny nigdy nie odbiegają od słów.

Leonard Borkowicz

WYJAŚNIENIE

Wskutek zmian przeprowadzonych w graficznym układzie kol. 5-ej w 41 numerze „Nowej Kultury" przy tekście opowiadania Granina „Wariant drugi" opuszczone zostało nazwisko autora rysunku. Aby naprawić po części to przykre przeoczenie, wyjaśniamy, że opowiadanie Granina ilustrowała H. CYGAŃSKA-WALICKA. (Red.)

STEFAN ZAWADZKI

BITWA*)

**Ledwie
stalowa ucichła burza,
jeszcze ranione chwiały się sosny,
jeszcze od ognia dymiły wzgórza
i mgły znad bagien się nie uniosły,
gdy tęczą błysnął na nieboskłonie
jasnoróżowej
rakiety płomień...**

**Atak —
Już myślom zabrakło czasu —**

**Z leśnej ziemianki,
okopem krętym,
na stanowiska na skraju lasu
wybiegł dowódca w płaszczu rozpiętym;
wyjął pistolet, do nas twarz zwrócił:**

**— Za mną!
I pierwszy naprzód się rzucił.
I zanim okrzyk w powietrzu stężał,
z okopów,
skokiem,
poprzez zarośla,
poprzez splątanych zasieków węże
nasza kompania do szturmu poszła...**

**Szliśmy —
A wokół zapadła cisza —
Własnego serca łomot żeś słyszał.**

**Wtem —
Ziemia z hukiem uciekła spod nóg,
niebo przez chwilę zawisło skośnie —
Do ziemi przygiął nas wiatru podmuch
i ogień zerwał się śmiercionośny.
Drzewa się gięły w ognia zygzakach.
Błysk świadomości —
zaczął się atak!
Z chrzęstem gąsienic,
w kurzu tumanie,
prowadząc
ostry ogień
wprost z marszu,
na pełnym gazie,
niepowstrzymanie,
radzieckie czołgi runęły
naprzód.
W ślad za ogniowym czołgów nalotem,
rozkaz
do szturmu
podniósł piechotę.
Na dół,
w dolinę,
pod ogniem wroga,
w brod przez Miereję,
biegiem po bagnie...
— Jedna do kraju prowadzi droga,
i jeden tylko w ręku jest bagnet!**

**Atak
bateria „katiuszy" wspiera,
wyprostowana szła tyraliera.**

**Na wzgórzu
stoi w płomieniach wioska.
W ogniowe gniazda zmienione chaty—**

**Po tyralierze przebiega rozkaz,
i eksplodują
pierwsze granaty. —
A ponad wzgórzem
gwiaździste ptaki,
śmierć wśród chmur sieją
radzieckie „Jaki".**

**Wzniesienie wzięto.
Od ruin wioski
wiatr do nas przygnał zapach pożaru...**

**Śmiercią żołnierza padł Kalinowski,
poległ Czarkowski, broniąc sztandaru.
Na tym sztandarze,
w ogniu i w dymie,
dojdzie do Polski
Poległych imię.**

— — — — — — — — — — —

**Z oddali łoskot dobiegał głuchy —
Zaczął się nalot na wieś Półzuchy.**

(z teki pośmiertnej)

*) Fragment poematu „Bitwa pod Lenino".

WILHELM MACH

LIST DO WOJCIECHA ŻUKROWSKIEGO



Foto H. Makarewicz

Kochany! — Przeczytałem Twoją nową powieść — „Dni klęski" *). Postanowiłem napisać o niej artykuł dla „Nowej Kultury". Zamiast tego piszę otwarty list do Ciebie. Na wstępie wyłuszczę sens takiej formy.

Mógłbym Cię odwiedzić w domu i powiedzieć, co myślę o Twojej książce. Mógłbym mój sąd przesłać Ci w kopercie. A potem — czy równocześnie — opublikować w prasie recenzję zwyczajną, to znaczy taką, w której krytyk ustawia przedmiot swej uwagi w należytym dystansie, a własną osobę maskuje tak zwanym obiektywizmem. Nie chodzi mi tu o niebezpieczeństwo dwoistości sądu — prywatnego i na użytek publiczny. W liście czy w artykule powiem to samo. Chodzi mi o to, że zdarzają się sprawy szczególnie bliskie, a przy tym wymagające jasnego i szczerego określenia swojej własnej pozycji, swego własnego w nich udziału — i wówczas tryb „obiektywny" staje się niemożliwy, odrętwia pióro przy pierwszym zdaniu. Wówczas krytyk musi wprowadzić wyraz, niewygodny dlań i żenujący, jak dla nikogo chyba wśród pisarzy — wyraz j a. Spraw takich zbiegło się w tym wypadku kilka: obejmują one zarówno temat Twej powieści, jak i linię Twojego rozwoju pisarskiego, jak wreszcie problem dotyczący nas obu — nazwę go tymczasowo procesem przemian ideowych. Pora pomówić o tym szczerze i jawnie — skoro jawnie przekazujemy społeczeństwu nasze pisarskie działanie.

Cofnę się sześć lat wstecz. Ogłosiłeś wtedy swą pierwszą książkę — „Z kraju milczenia". Ja o niej pisałem. Krytyka moja była entuzjastyczna. Trochę Ci wypominałem flirt nieposkromionej zmysłowości z aniołami metafizyki, lecz nawet w przyganach zachwycałem się urodą Twoich grzechów. Chwaliłem Cię za humanistyczną, wrażliwą wyobraźnię, za wierność poległym i miłość dla żywych. Za ukochanie ziemi. Za czułe na wszelką barwę, wszelki dźwięk i zapach zmysły. Za piękną sztukę, za talent. Chwaliłem Cię z pozycji takiej, jaka wówczas była mi najbliższa — z pozycji humanisty „w ogóle" i estety za każdą cenę piękna.

To było sześć lat temu. Od tamtego czasu zmieniło się dużo wokół nas i w nas samych. Dziś piszę do Ciebie i o Tobie na temat „Dni klęski". Książka ta musi mi przypomnieć Twój debiut. Opowiada o podobnych, co tamta, sprawach. O bolesnym wrześniu 1939 r. Wątki fabuły w niej podobne, nastrój, fizjonomie postaci — i podobna siła plastycznej wizji świata, ziemi, polskiej jesieni. Lecz poprzez podobieństwa przewlekają się różnice, ważne i istotne różnice. Różnice w sądzeniu ludzkich spraw, w postawie intelektualnej, moralnej, światopoglądowej, politycznej. Twoje oczy, powonienie, uszy i smak służą Ci po dawnemu, lecz wzruszenia Twojego serca, nie mniej mocne co wtedy, odpowiadają na inne układy podniet, a praca Twej myśli i sądy Twego sumienia inny mają zakres i kierunek. Różnice te nie zaskakują — są po części przygotowane Twoimi książkami wcześniejszymi i Twoimi pracami publicystycznymi.

Przeczytałem ostatnio Twoje piękne przemówienie, wygłoszone we Wrocławiu, pt. „Do Polaków na Ziemiach Odzyskanych". Pomyślałem, że jadąc do Wrocławia, mijałeś okolice, które ja znam z wrześniowej kampanii. Myślałem również, że i Ty — żołnierz tamtego września, i ja — żołnierz tamtego września, jesteśmy trochę postaciami Twej ostatniej powieści. Jesteśmy rówieśnikami jej bohatera, Antoniego Nowosada. I dlatego również nie mogę o Twej powieści myśleć „zzewnątrz", i dlatego w osąd Twojego bohatera chce mi się włączyć nas samych, jego szkolnych zapewne kolegów, i porównać nasze ścieżki, które przeplotły się już raz przed trzynastu laty. Jak pobiegły dalej? Gdzie jesteśmy dzisiaj wszyscy trzej? Kim powinien być obecnie Twój Antek Nowosad — i daleko czy też blisko nas?

Takiego Antka Nowosada nie stworzyłbyś sześć lat temu. To nowy człowiek w Twoim pisarstwie. Przyznaj zresztą, że nie przyszło Ci łatwo formowanie bohatera. Podchorąży-artylerzysta-lewicowiec. Z pochodzenia — chłop, i to z biednych Sympatyk demokracji i społecznej sprawiedliwości. Siła zobowiązująca tej sympatii nie jest dość wyraźnie określona i nie upoważnia do ściślejszej definicji. Za to wyraźnie postawiłeś sprawę jego nienawiści do faszyzmu. To mówi dużo, lecz nie wszystko. W antyfaszystowskim froncie jeszcze do niedawna spotykali się, a i spotykają nadal, ludzie różnych filozofii i różnych zapatrywań. Rozwój powieści rzecz jednak wyklarowuje. Są dwa katalizatory, które przyśpieszają ideową konkretyzację bohatera: jeden — to klęska, którą Nowosad słusznie widzi i ocenia jako zdradę, popełnioną na narodzie przez burżuazyjny rząd Drugi — to znajomość a potem przyjaźń z więźniem-komunistą, żołnierzem-ochotnikiem Doboszem On u t w i e r d z a Antoniego w przekonaniach, które do tej pory egzystowały w nim bez formuły i bez przydziału, raczej jako tendencja kierunkowa czy domysł ideologiczny niż jako światopogląd.

Czy jednak nie przypisuję Ci za dużo? Czy owego utwierdzenia mogę, wraz z czytelnikami, być pewny? Dyskurs ideologiczny przebiega przeważnie w dialogach, które angażują wyraźnych oponentów; sam Antoni zachowuje się raczej biernie. Ulega on wyraźnie innym argumentom — emocjonalnym, praktycznym; podoba mu się bojowa dzielność Dobosza, jego odwaga i żołnierska solidarność. Dobosz wreszcie ratuje go, rannego, z opresji — Antoni przedostaje się z nim na wschodnią, radziecką stronę gasnącego frontu. Chce tam pójść, bo przewiduje, że Związek Rad podejmie walkę z faszyzmem. Ta przesłanka — przesłanka żołnierska i antyfaszystowska — jest znacząca, lecz nie dopowiada ideowej ewolucji bohatera.

Żachniesz się na mnie, że chcę łopatologii. Że przecież konkretne sytuacje są dla epika jedynym godziwym materiałem dowodowym. Tak, to prawda — i ja nie chcę łopatologii. Byle ów materiał dowodowy, wyrażony w konkretnych, epickich sytuacjach, był dostatecznie przekonywający. Byle owe sytuacje były w pełni umotywowane, maksymalnie prawdopodobne. Wówczas stosunek autora do idei, jaką te sytuacje mają wyrażać, jest również w pełni przekonywający, wiarogodny. Jeśli zdarzenie epickie odstaje choć trochę od prawdopodobieństwa, mąci się jednoznaczność zawartej w nim idei. Dlatego ze szczególną — interesowną, bo dotyczącą również i mnie — uwagą śledziłem w Twej książce to przede wszystkim, co jest u Ciebie — wciąż rozwijającego się pisarza — nowe, bacząc zarówno na sukcesy jak i na wahania w realizacji artystycznej nowych pojęć, poglądów i przekonań. Dlatego ze szczególną uwagą badałem Twojego bohatera, który jest tych nowości głównym nosicielem.

Myślę więc, że ta - tak ważna w Twoim dorobku — postać udała Ci się bardzo dobrze, lecz jeszcze nie celująco. I to nie dlatego „nie celująco", iżby Cię zawiodła pewność pisarskiej ręki, talent artysty. Raczej nie sprostał realizacji Twój własny, ludzki stosunek do bohatera. Dałeś mu większe pełnomocnictwa, niż Ci to dyktowało serce. Nie zaufałeś Nowosadowi, jak potrafiłeś kiedyś zaufać ułanowi-szaławile. Prowadzisz Antoniego pewną ręką przez ogień bitewny, przez głody i chłody wojny, przez elementarne doznania fizycznego bólu i fizycznych satysfakcji — bo w obrębie prostych, żołnierskich doznań rozumiesz go całkowicie, aprobujesz bez reszty, bo w tym jest on dla Ciebie drugim ja. Słabnie ta śmiałość, gdy Antoni staje się wyrazicielem — w działaniu — przypisanej mu ideologii, rezonerem w rozmyślaniach i w rozmowach, bo w obrębie cech intelektualnych i moralnych, w obrębie diagnoz politycznych, Antoni-żołnierz 39 r.—wyprzedza Twoje ówczesne, sprzed trzynastu lat doświadczenie, bo staje się dorosłym ponad swój i nasz (Twój i mój) kalendarz. I oto Twój bohater występuje jak gdyby w dwóch wymieniających się postaciach: raz prosty, serdeczny, bliski, to znów jakby chłodniejszy i bardziej oficjalny, wzorowy i wzorcowy, odsunięty od Ciebie na dystans wahającego się namysłu, pisarskiej spekulacji. A także — zapożyczający niektóre swe cnoty z d z i s i a j, z czasu o tuzin lat późniejszego. Zapożyczający — u kogo? U Ciebie — dzisiejszego. Odwracając rzecz: jego osobą udoroślasz własną swą przeszłość. Stąd chyba Twoje onieśmielenie wobec Antoniego.

Powiem więcej. Nawet w niektórych „prostych, ludzkich" sprawach Antoniego odbiło się to Twoje skrępowanie. Na przykład: w miłości. Wątek małżeństwa Nowosada, wątek owej Aliny, dzielnej i też trochę lewicującej panienki, poślubionej w przeddzień wojny, rezygnuje z właściwej Ci, realistycznej treściwości na rzecz wzniosło-cnotliwego sentymentalizmu. Ile żywej, ludzkiej prawdy zmieściło się w retrospektywnym opisie narzeczeństwa — tyle dobrego. Żołnierska tęsknota za ukochaną kobietą wypadła mgliście. Antoni wzdycha statecznie, tuli pończoszkę-talizman z umiarkowanym zapałem, myśli o żonie czasownikami żenująco ogólnikowymi; potem, pod koniec, spotyka ją niespodzianie jako pielęgniarkę, co jest raczej potwierdzeniem konwencjonalnej reguły niż realistycznym przypadkiem, i bez większych skrupułów, po krótkim i dziarskim pożegnaniu, reasumującym aktualną sytuację polityczną, zostawia biedaczkę z hitlerowcami. Jest to przykład na wspomniane już zjawisko odstawania faktu od wyrażanej nim ideologii.

Nie zdziwisz się chyba, że idąc śladem Twojego ideowego rozwoju, rozwoju nie wolnego od wahań i strwożeń, lecz niewątpliwego i budzącego szacunek, szukałem u postaci Twojej książki tego wszystkiego, w czym Ty sam przekazujesz samego siebie, swój najszczerszy stosunek do świata. Wyraziłem już domysł, że Antoni jest tylko w części Twoim alter-ego, że w części epicko niewypełnionej szkicuje, zapowiada Twe jakby postanowienia co do własnej dalszej drogi Postanowienia, których nie uznałeś za stosowne dopowiedzieć do końca. Dlaczego? Szukam przyczyn. Szukam brakujących elementów, które winny wypełnić obraz Twojego światopoglądu, Twojej ideologii. Nie znajduję jednak formuły zamkniętej, rezultatu gotowego. Znajduję proces tworzenia się, znajduję jeszcze walkę, lecz walkę o wyraźnym kierunku natarcia. A to jest znowu i moja własna sprawa. W tak dotkliwych rozważaniach nie zostawię Cię samego, nie miałbym prawa tak postąpić. Chyba rozumiesz teraz, dlaczego piszę l i s t.

Są w książce postacie, które zdecydowanie piętnujesz. To podchorąży Mulewicz, sobek i tchórz, burżuj, który będzie za okupacji robił interesy. To wyższa oficerska szarża, zdradzająca wojsko, zdradzająca Polskę głupia i zbrodnicza, poza szlachetnymi wyjątkami. To kapitaliści i obszarnicy, bądź uciekający z pożaru wojny, bądź już sprzymierzeni duchowo z nowym hitlerowskim porządkiem. To wreszcie obałamucone przez propagandę sanacyjną elementy mieszczaństwa, kułactwa i lumpenproletariatu, które wojnę przeżywają tylko jako osobisty dopust lub dziwaczną awanturę. Wobec tych ostatnich więcej objawiasz pogardy niż gniewu.

Są w książce postacie, które afirmujesz. To — poza Nowosadem — podchorąży Babicki, porucznik Świstacki, kapralowie Tomik i Górnicki, więźniowie-komuniści Dobosz i Sznajder, przewaga żołnierzy, postacie uciekinierów-Ślązaków, chłopi na kwaterach, Żyd-piekarz... To — jednym słowem — niższe na ogół piętra sanacyjnej hierarchii społecznej.

Osobną pozycję zajmuje porucznik Gembarzewski, zepsuty cynik, kpiarz nie wierzący w nic, bohater od niechcenia. Ważną pozycję zajmuje.

Twoje potępienie jest jednoznaczne. Afirmacja — bardziej złożona. Niekiedy raczej intelektualna, z pewnym niedostatkiem pełnego utożsamienia się z postacią — była o tym mowa z racji Nowosada, a podobnie jest z Doboszem. Kiedy indziej — tylko uczuciowa, jak w przypadku Babickiego. Gembarzewskiego traktujesz jeszcze inaczej, całkiem szczególnie: z odrazą i powściąganymi odruchami sympatii, z gniewem nie wolnym od pobłażliwości, z dezaprobatą i skrytym, serdecznym żalem. Z wyraźnym epickim upodobaniem.

Powiem jasno: myślę, że oprócz Nowosada dwie jeszcze postaci wypełniają obszar walki światopoglądowej, jaką w sobie toczysz: Babicki i Gembarzewski. Babicki, dzielny i prawy żołnierz, niezłomny w pełnieniu służby, wierny ideałom romantycznym, bardzo młodzieńczy i prosty, dobry druh i przyjaciel, wierzący w Boga i sny, impulsywny i szlachetny, patriota sienkiewiczowskiego pokroju — to model Twoich dawnych bohaterów, tych „z kraju milczenia". Każesz mu zginąć pięknie w pierwszej części powieści. Nim polegnie — wyzna Nowosadowi swą przyjaźń, solidarność z jego postawą. Wydaje mi się, że w tym pożegnaniu zawarłeś, Wojtku, jakąś ważną i piękną część własnego dojrzewania, że z męską prostotą pożegnałeś jakąś część własnej przeszłości, z powagą i wzruszeniem — i z przekonaniem, że iść trzeba dalej. Poszedłeś z Antonim Nowosadem.

Z Gembarzewskim stoczyłeś walkę. Lojalnie pozwoliłeś mu się wygadać do syta. Puszył się, prezentował swą atrakcyjną inteligencję i elastyczność moralną, sypał ozdobnymi paradoksami i kpiną, wyśmiewał zasady i dogmaty, zachwalając pełną indywidualną swobodę myśli i uczynków. Trochę Cię fascynował ten Gembarzewski, przyznaj. Wiedziałeś przy pisaniu, czułeś, że ten apostoł spod haseł „nic świętego" jest zwyczajnym, biednym szarlatanem, lichym człowiekiem. Lecz dawałeś mu szansę, sam znajdując urok w hazardowej grze. Nie, nie uległeś temu Gembarzewskiemu. Przez jego monologi i aforyzmy przesnuła się niespokojnym cieniem jakaś jeszcze w Tobie nie wytrawiona pokusa — czego? mitycznej „pełni życia"? indywidualistycznej „wolności"? — lecz z własnej woli i własnego wyboru zadeptałeś ją. Gembarzewskiemu wielkodusznie podarowałeś bohaterski czyn — lecz Gembarzewski ślepnie od wybuchu. Fajerwerk zgasł — a Ty znowu poszedłeś dalej, z Antonim Nowosadem i Doboszem. Może ich nie pokochałeś jeszcze tak mocno jak Babickiego, może Cię jeszcze tak nie zaciekawiają jak Gembarzewski, lecz oceniłeś ich najwyżej i zaufałeś im najmocniej.

Jeśli źle komentuję — wybacz. Wybacz też, że Ci to i owo wytykam. Nie czynię tego z miną krytyka, który „wie lepiej", który osądza z góry. Wręcz przeciwnie. W ocenie krytycznej Twoich — i nie tylko Twoich — książek natrafiam na te same trudności, które Tobie wypominam. I nie po co innego o tym mówię, jak po to, by sumę błądzeń, oporów, wahań, pokus i oportunistycznych rezygnacyj podzielić z Tobą solidarnie, po koleżeńsku.

Tyle o Tobie, tyle o nas, a jeszcze warto o książce.

Prawdę o wrześniu dokumentujesz w szerokim obrazie epickim. Czasowa rama jest pamiętna, lecz na różnych odcinkach frontu była ona rozmaita. Wybrałeś — własną, o ile wiem — trasę wojennej klęski, od Narwi po Lubelszczyznę. Tak, to trwało dość długo — i mogłeś przedstawić wojnę w jej pełnej grozie i zmiennych wyglądach — na przyczółkach, w lesie, w bitwach ulicznych i pozycyjnych, poprzez ciemne od dymu dnie i jasne od pożarów noce. Obraz, jaki rozwinąłeś przed pamięcią świadków i wyobraźnią tych, co tej wojny nie widzieli, jest wstrząsający. Opisy Twoje są plastyczne, dotykalne i dotkliwe aż do bólu. I tym razem, w tragicznym temacie, objawiłeś niezawodną świetność wizji. Twoja wyobraźnia włada pamięcią zmysłów z siłą rzadko spotykaną. Uczono mnie niegdyś w szkole, że to się nazywa eidetyzm — powtarzam termin na pochwałę Twej zadziwiającej umiejętności stwarzania świata słowem. Używasz jej aż za rozrzutnie — hojność zdań „pejzażowych" i „atmosferycznych" jest aż natarczywa w takim zagęszczeniu — i to nie w krótkiej noweli, lecz na trzystu stronach książki. Niewygoda nadmiaru — lecz jakże świetnego i jak znaczącego. Jesień — tamta bezkarnie pogodna jesień wróciła pod Twym opisem setkami pejzaży, wrześniowych polskich okolic, setkami zwiewnych i przelotnych, a wyrazistych chwil leśnych i wiejskich, we dnie i w nocy, o zmierzchu i o świcie. Jakże boleśnie zderzyła się wielka uroda ziemi z najazdem i klęską. Ten podwójny ton — spokój przyrody i infernalny zamęt wojny — działa kontrastem nie tylko artystycznym. Wzmacnia, potęguje oskarżenie wojny, wzmacnia i potęguje umiłowanie pokoju.

Socjologiczno - społeczny obraz wojny jest — w przeciwieństwie do obrazu „optycznego" — skameralizowany, ograniczony do pola bezpośredniego widzenia, bezpośredniej orientacji. Książka nie jest powieścią, jeśli stosować rygorystycznie kanony formalne, lecz właściwie rozbudowanym opowiadaniem. Nie daje licznych i szerokich przekrojów środowisk, nie prowadzi wielowątkowej akcji, nie krzyżuje tematów. Główny wątek — losy Nowosada i towarzyszącej mu grupy ludzi — jest jedynym wątkiem stałym, rozwijającym się chronologicznie; inne wątki jawią się i nikną, stanowiąc mniej lub więcej rozbudowane epizody. Najbardziej spoista jest część pierwsza — świetna to, dramatycznie skomponowana epika, przedstawiająca obronę armii „Narew" pod Rożanem i haniebną zdradę wyższego dowództwa, które dało rozkaz odwrotu mimo zwycięskich walk polskiego wojska. W tej części udało Ci się najlepiej ogarnąć szeroką panoramę wojny z jej złożonym mechanizmem strategicznym i taktycznym, z jej polityczno - ustrojowymi przesłankami, z klasowym rozwarstwieniem naszej armii. Odwrót spod Rożanu jest nie tylko wspaniale odtworzonym fragmentem kampanii — jest skrótem formuły historyczno-poznawczej.

Potem jest inaczej. Panorama zwęża się do zasięgu wzroku. Jest to zgodne z doświadczeniem osobistym — żołnierskim, lecz szkoda, że nie wyszedłeś poza to umowne ograniczenie. Nowosad i jego żołnierze nie mogli rozumieć więcej niż widzieli sami, niż słyszeli od przypadkowych informatorów-uciekinierów. Pomogłeś sobie licznymi epizodami, których nie brakło na szlakach odwrotu, lecz epizody takie nie zastąpią w zupełności szerszej analizy i interpretacji, łudząc pozorem swej jednokrotności, zamiast narzucić prawdę typowego układu zjawisk. Nie prowadzisz czytelnika do kwater wyższej komendy, do dyspozytorów wojny Dwór, gdzie kwateruje dowództwo, ukazujesz z okrężnego podejścia. Nie przenikasz ścian różnych środowisk społecznych, by bezpośrednio ukazać nagłe konflikty i starcia ideowe, wyłonione przez olbrzymią próbę poglądów i interesów klasowych Przytoczyłeś, co bardzo ważne, dużo faktów symptomatycznych wiele mówiących, okropnych; nie da się zapomnieć bezmyślna egzekucja wykonana przez żandarma na nauczycielu-ochotniku za rzekomą dywersję, nie da się zapomnieć samobójstwo Żyda-uczonego i wiele, wiele innych tragicznych zdarzeń, składających prawdę o tamtym wrześniu. Lecz podmiot obserwacji zacieśniłeś do ludzi idących drogą odwrotu, rezygnując z nadrzędnej, historycznie fakty osądzającej obserwacji pisarskiej. Wsparłeś się co prawda, tu i ówdzie, o relacje typu deklaratywno-interpretacyjnego takie są wywody uciekinierów - Ślązaków, a zwłaszcza dwóch komunistów, o których była już mowa Wpleciony w narrację dyskurs ideologiczny ma poprawić perspektywę, uogólnić obraz. W znacznej mierze zadanie to spełnia, lecz środkami o słabszym wyrazie artystycznym niż wówczas, gdy sens dziejowy wydarzeń ukazujesz wprost w akcji. Tak znowu ma się rzecz pod koniec opowieści, pominąwszy zastrzeżenia, które postawiłem wcześniej. Sumując — ująłbym sprawę tak: przedstawienie września 1939 r. z pozycji szeregowego żołnierza uplastyczniło maksymalnie jednostkową wizję wojny, lecz zarazem osłabiło możliwość pełnego zapisu historycznego

Podkreślam jednak z całym naciskiem, że w tej konwencji „bliskiego widzenia", którą obrałeś, operujesz po mistrzowsku. Rozliczne sceny z życia żołnierskiego, na szerokiej skali od grozy po rubaszny humor, są wspaniałe. Typy ludzkie malujesz w rozmaitości niewyczerpanej. Grasz na uczuciach czytelnika — jak chcesz. Nie zapomnę zdumiewającej artystycznie formuły, w jakiej zamknąłeś śmierć porucznika Świstackiego, rozerwanego eksplozją amunicji: „Słyszy światło..." To się nazywa: pisarz.

I nawet w ograniczonym zasięgu sądów powiedziałeś jasno i dobitnie to, co najważniejsze. Pokazałeś, kto ojczyznę — nawet tę złą i niesprawiedliwą — prawdziwie kochał, a kto ją — szczodrą i łaski pełną — zdradził i sprzedał. Pokazałeś żarliwy patriotyzm ludu, szczery, uczuciowy patriotyzm „szarych obywateli" z miast i wsi, i mądry, równie żarliwy co świadomy i widzący przyszłość, patriotyzm polskiej lewicy. Pokazałeś, że dwie były Polski w przekroju klasowym — jedna dla wyzyskiwaczy, druga dla wyzyskiwanych — lecz pokazałeś także, jak przed faszystowskim najazdem z jednaką ofiarnością, dla dobra ludzkiego, wolnego szczęścia stanął w jej obronie Mazur, Kaszub i Ślązak, Żyd i białoruski żołnierz, stanął w jej obronie chłop, robociarz i nauczyciel. Pokazałeś jedność narodu — bo ci, co zdradzili, miana tego niegodni — w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa hitleryzmu. I oto widać, jak na tragicznym szlaku katastrofy militarnej poczyna się dziać klęska zwycięzców i zwycięstwo pobitych, jak zło podnosi w sumieniach ludzi dobrej woli żagiew buntu, jak w wielkim doświadczeniu ludowej jedności rodzi się nadzieja, a z nią — przeczucie nowej, lepszej ojczyzny.

Wspomniałem Twoją mowę we Wrocławiu — „Do Polaków na Ziemiach Odzyskanych": to przecież konsekwentny ciąg wielkiej sprawy, którą owa trudna nadzieja wówczas zarysowała.

Autorze pięknej i cennej książki o klęsce wrześniowej — napisz książkę o drodze, którą Antoni Nowosad wrócił do Polski. Książkę o zwycięstwie.

Wilhelm Mach

*) Wojciech Żukrowski: Dni klęski. Wyd. Min. Obrony Narod., Warszawa, 1952, str. 309

BOGUSŁAW KOGUT

MOJA OJCZYZNA

Jałowej trawy korzeń osłabły
podgryzał kret.
Kąkole kłosom urodę kradły
i wiatrak każdej wiosny zasypiał.
— Co mleć? — gdy w marcu już nie ma żyta —
co mleć?

Ziemia jak popiół. Do niej przyrosła
słomiana wieś.
Pod okapami umarła troska
o chleb, którego nie daje ziemia.
— Co jeść — gdy w maju i bobu nie ma —
co jeść?

Ukradkiem w modłach — buncie bez siły
szedł ludzki płacz,
w noc — co oślepłe okna tuliła,
w mgłę — co bieliła zmuloną łąkę,
w beznose twarze przydrożnych świątków,
w wiatr...

To tam — gdzie każda godzina była
godziną złą.
gdzie głód zabijał młodość i miłość
i po dzieciństwie szła już siwizna —
tam właśnie była moja ojczyzna —
dom.

W mojej ojczyźnie — tamtej ojczyźnie
gorące łzy
krzywdą poiły pola nieżyzne
i krople buntu wzbierały w rzekę,
gdy dni — jak obuch głuche i ślepe
szły.

Z tamtej ojczyzny pamięć wyniosła
gorycz i ból.
A dziś, gdy siewem okrzepła wiosna
i lipiec niesie brzemienne żniwa —
to pieśń się syta z wiatrem podrywa
z pól.

Moja ojczyzna — nowa ojczyzna —
słoneczny dom;
gwiazdy żarówek w bielonych izbach —
a z niw, na których owies umierał,
ręka spółdzielcy pszeniczny zbiera
plon.

Urodzaj syty wygładził grzbiety
koślawych strzech
i ludziom radość prostuje plecy.
Płacz się nie żali świątkom ubogim,
nowego wieku krzepnąca młodość —
śpiew.

JAN MARIA GISGES

PIERWSZY KANDYDAT WARSZAWY

(Fragmenty)

Ciągnęli ludzie jak ptaki na wiosnę
do gniazd zwalonych niszczycielską ręką,
nad nimi niebo zimne i wyniosłe,
a pod stopami gruda jak ból ciężka.

Któż z warszawiaków nie przeżył tej chwili,
kiedy zbłądziwszy w znajomych ulicach
nagle odkrywał wśród cegieł, badyli,
miejsce, gdzie stała ongiś kamienica,
ciepły przystanek rodzinnej miłości,
dom najpiękniejszy — dom trudnej młodości. —
Wtedy chyliła się w zadumie głowa,
wracały twarze, zapomniane słowa.
Wiatr tej zadumie piaskiem rzucił w oczy
i nad ruiną chmurą się przetoczył.

Nie upłynęło zbyt wiele tygodni,
już gdzieś na piętrze paproć staje w oknie,
zielona wiosna w śniegach się ogromni,
już echo dźwięki powtarza stokrotnie
żelaza, które ruiny rozbija,
już coraz częściej człowiek kogoś mija,
nieznajomemu swej czapki uchyli,
wiatr poły płaszcza jak usta rozchyli,
bo bratem każdy, kto wtedy tu mieszkał.
Już przez pagóry gruzu biegnie ścieżka.

Tą ścieżką idzie mała grupka ludzi,
patrzy, rozmawia i czasem przystanie
jakby zdziwiona i echo obudzi
i gruz pod stopą jak na powitanie
jakże innego miasta od wspomnienia.
Wśród architektów i swych towarzyszy
idzie Gospodarz wolno przez zniszczenia,
jakby chciał wszystko obejrzeć, usłyszeć,
własny sąd oprzeć na ludu pragnieniach,
aby decyzję ten lud opromieniał.

*

Niedawno zaczął rok czterdziesty piąty
rozwijać lekkie, białe szaty śnieżne,
które zamgliły, skryły horyzonty;
jak w lutym trwały szarugi bezbrzeżne.
Tę noc opowiem słowami krótkimi
jak sygnał walki albo spór w dramacie.

Przed bramą chodził krokami szybkimi
żołnierz z pepeszą, zmoknięty na warcie.
Na piętrze zegar wybija dwunastą.
W pokoju duszna z papierosów mgiełka,
czasem drzwi szybko pchnięte z hukiem trzasną,
ręce się wzniosą i opadną prędko.
U świec płonących wiszą długie knoty,
widać już długo ciągną się rozmowy.
Nad stołem nisko pochylone słowa
kują jak w kuźni pracowite młoty.

Jeszcze żałoba czarna przed oczami,
na mapie rdzawe jak na bruku plamy,
w powietrzu drganie świateł i dym siny,
na ścianach cienie ludzi jak olbrzymy.
Trudno odnaleźć na planach bolesnych
piękną i starą stolicę narodu,
trudno powiedzieć nad mapą — wykresem:
Stolico! — Ujrzeć znowu miasta młodość.

Gospodarz podniósł brwi troską napięte,
rękę spokojną położył na mapie
jak czuły lekarz. I jakby rozcięte
przewracał kartki swojej przyszłej książki
ukazał bliskie, szerokie arterie,
ogromne gmachy, zielone ulice,
domy mieszkalne i szklane fabryki,
dumę narodu — miasto robotnicze —
„Warszawa będzie stolicą! Piękniejszą!"

MARIAN PIECHAL

Na kogo oddam głos mój?

Kto się domagał prawa głosu
w ojczyźnie głodu i żandarmów?
— Ten, który walczył z wrogiem, wiedząc,
że nie przelewa krwi za darmo.

Kto wreszcie zdobył prawo głosu
i z mroku światłem w przyszłość błysnął?
— Ten, który walcząc, kraj wyzwolił
spod jarzma krzywdy i ucisku.

Komuż więc oddam głos mój wolny,
wyrwany z wrogich haseł ciżby?
— Temu, kto z ruin kraj podnosząc
jest krwią i solą mej ojczyzny.

Temu, kto wolność wywalczywszy,
odgruzowując ją spod zwalisk,
scala ją teraz i umacnia
cementem zwanym Socjalizm.

Na tego oddam głos mój, temu
powierzę w dłonie każdą sprawę,
kto dłońmi z pól nadnormy dźwiga,
i Nową Hutę, i Warszawę.

MIROSŁAW KOWALEWSKI

GNIEW INŻYNIERA

Po wyjściu Grodzickiego zapanowało w mieszkaniu Pacaków niemiłe milczenie, które przerwała pierwsza mała Jadwinia.

— Mamusiu, czy pan G l o d z i c k i na mnie się pogniewał?

Te słowa dziecka rozładowały naprężoną atmosferę. Nie odpowiadając córeczce, pani Katarzyna zwróciła się do męża:

— Nieraz już cię prosiłam, abyś nie rozmawiał z nim o polityce. I widzisz, co teraz mamy.

— Czy Tadzik będzie kończył kolację? — zapytała rzeczowo pani Grądzka, matka Katarzyny.

Teraz dopiero Pacakowie spostrzegli, że stoją nieruchomo przy nakrytym stole, tak jak stali wtedy, gdy Grodzicki wybiegał z pokoju, wołając swym basowym, pełnym głosem: „Żegnam państwa! Żegnam!" — Omal przy tym nie trzasnął drzwiami.

Tadeusz usiadł i bez słowa począł nakładać sobie na talerz porcję sałatki, jakby chciał przez to podkreślić, że wyjście gościa nie wpłynęło na normalny bieg posiłku. Pani Katarzyna zaś, smarując bułkę dla Jadwini, powiedziała:

— Wiemy oboje, że on jest taki. Czyż nie lepiej dać mu się spokojnie wygadać?

— Przepraszam cię bardzo, moja droga, przepraszam. Mam także swoje nerwy i nie mogę się opanować, kiedy mi ktoś głupstwa opowiada. Może ja jestem ograniczonym buchalterem, może powtarzam tylko to, co w „Trybunie" wyczytałem, ale nie potrafię milczeć.

— Jesteśmy gospodarzami...

Do rozmowy wmieszała się pani Grądzka.

— A ty, Kasiu, tak teraz mówisz, ale jak pan Grodzicki tu był, to także się z nim spierałaś. Oboje z Tadzikiem tylko na niego, tylko te wasze partyjne mądrości.

Tymczasem Grodzicki szedł wyciągniętym krokiem przez ulicę Parkową, roztrzęsionymi rękami zapinając palto. Ulica była długa, ciemna i pusta o tej porze. Niewielkie domy kryły się w głębi ogrodów, spomiędzy bezlistnych drzew błyskały okna, zaszczekał pies, z daleka odpowiedziały mu inne. Grodzicki dochodził już do rogu Waryńskiego, a ciągle jeszcze nie mógł uporać się ze wszystkimi guzikami, ciągle ogromna jego postać drżała z irytacji. „Komunisty! komunisty!" — szeptał prawie na głos. — „Ja im jeszcze... Noga moja nie postanie..."

Ale gdy skręcił w Waryńskiego, wzburzenie zaczęło już mijać. Wspomniał buzię Jadwini, jakby wylękłą w chwili jego nagłego odejścia i odczuł gryzące wyrzuty sumienia. Od pół roku, bywając prawie codziennym gościem u Pacaków, bardzo przywiązał się do małej która przypominała mu jego własną, obecnie już zamężną, córkę. Pomyślał także o obojgu Pacakach, że byli wyjątkowo sympatycznymi ludźmi. „Chociaż tacy czerwoni!" — dodał i znowu ogarnęła go fala rozdrażnienia. „Jak? Jak mi ten gryzipiórek powiedział? Pan jest reakcjonistą, panie inżynierze". — „Tak, ja reakcjonista! Psiakrew, ja! A toć im buduję, od świtu do nocy na budowie, a on tylko po zebraniach lata, albo gdzieś jeździ, Bóg wie gdzie. Jeszcze się gdzieś guza napyta."

Szedł teraz ulicą Waryńskiego. Tu chodnik był szerszy, a i latarnie, choć rzadkie, użyczały nieco światła.

„Ona też, ta cała pani Kasia!" — mruczał do siebie Grodzicki, ciszej już i zwalniając kroku. — „Niby to do trzech zliczyć nie umie, zawsze grzecznie, zawsze słodko, a jak przyjdzie co do czego, to czerwone rogi pokaże."

Uszedł kilkadziesiąt kroków. Za następną przecznicą zaczynała się budowa, odgrodzona parkanem od ulicy Grodzicki z przyzwyczajenia pchnął furtkę, nie myśląc nawet, że to robi Była otwarta, zaraz za nią stało dwóch ludzi, którzy na widok Grodzickiego ukłonili się pośpiesznie.

— Dlaczego tu u was pootwierane? Jakie to porządki? — zawołał.

— A toć właśnie zmieniamy się, panie inżynierze — odparł pośpiesznie jeden z dozorców. — Co dopiero, jakżem przyszedł, a Jachimiak zbiera się do domu.

Grodzicki w milczeniu przemierzył krąg światła, minął pakamerę i znalazł się w samym środku placu budowy. Trzy bloki — duże, dwupiętrowe — w których trwały już prace wykończeniowe, rysowały się ostro na tle wyiskrzonego nieba. Dalej ciemniały masywy murów, nie pokrytych jeszcze dachami, a dalej — tego już widać nie było, lecz Grodzickiemu zdawało się, że widzi — ciągnęły się zaczęte niedawno wykopy, tory kolejek polowych i równo ułożone pryzmy cegieł.

Teraz Grodzicki nie myślał o Jadwini pani Kasi ani o Pacaku, który nazwał go reakcjonistą. Wystarczyło, że stanął między murami, a już myśl cała ześrodkowała się na budowie. Już miał w pamięci każdy szczegół, a w ciemności, rozpraszanej paroma słabymi, prowizorycznie umocowanymi latarniami, widział dzisiejszy postęp prac i osiągnięcia lub nieosiągnięcia każdej brygady.

„Rusiniak, Rusiniak — złościł się w myśli na robotnika, który przed kilkoma godzinami zeszedł był z budowy — Rusiniak, chłopie, jak dalej tak będziesz paskudził, to ci roboty się nie przyjmie." Przeszedł dalej. „A ty, Gawliński, jak nie pośpieszysz, to zobowiązania nie wykonasz na czas. Ech, dziadu, dziś pewno nie więcej jak sto dwadzieścia procent machnąłeś."

Obszedł dokoła cały rozległy plac, potem skrócił sobie drogę i między stosami cegły a zwałami żwiru powrócił do bramy. Od budowy do hotelu miał już zupełnie blisko. Pozdrowił gromko portiera i mocnym krokiem wszedł do swego pokoju. Kiedy przed pół rokiem przybył na budowę, mówiło się, że przyjeżdża tylko na parę tygodni, ale delegacja przedłużała się ciągle i teraz Grodzicki był pewien, że zostanie tu co najmniej do czasu ukończenia osiedla.

Pokój mieszkalny przywiódł znowu Grodzickiemu na myśl zajście u Pacaków. „Reakcjonista! — pomyślał z gniewem — a niechże cię wszyscy diabli! Toć wy sami powiadacie, że pierwszym obowiązkiem jest praca. A że ja tam z daleka od tych waszych partyjnych wyczynów..."

Myjąc ręce, Grodzicki drgnął nagle, zastanowił się, i trwał czas jakiś nieruchomo, trzymając mydło w mokrych dłoniach. Potem szybko, jak najszybciej ręce wytarł i zasiadł przy biurku z takim impetem, że delikatny fotel zatrzeszczał.

Już na kartce papieru powstawał szkic. Grodzicki przemnożył parę cyfr i uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. „Starczy miejsca, tarczy, jak Bóg na niebie, nie wiem, dlaczego oni się bali. Tu będziemy wywozić ziemię, a wtedy wykopy zaraz nam inaczej polecą. A co, panie Bińczak — zwrócił się w myśli do swego zastępcy — nie mówiłem, że z tymi wykopami można wybrnąć inaczej?"

Potem umysł Grodzickiego pracował dalej, jasno i spokojnie, o wiele sprawniej niż w gorączkowych godzinach urzędowania. Było cicho. Grodzicki wyciągnął notes, przejrzał notatki z ostatnich dni, wykreślił pozycje już nieaktualne i zwolna począł zapisywać sprawy, które przychodziły mu do głowy. Układał swój plan pracy na dzień następny, wyznaczał sobie rozmowy z kierownikami i brygadzistami i z góry podejmował pewne decyzje.

Nie zapomniał i o innych budowach, które — poza osiedlem — prowadziło Przedsiębiorstwo. Tuczarnia drobiu w Gałkowicach — tam pewno znowu desek brakuje, ostatnim razem dostali za mało, trzeba im wysłać, nie czekając na alarm. Trzeba także pomyśleć o pompie dla dworca PKS, tam stale woda zalewa wykopy, a należałoby już zaczynać betonowanie fundamentów Na warsztaty POM nie ma dokumentacji... A czy zlokalizowali wreszcie szkołę w Kunowie?

Tak rozmyślając, zapisał jeszcze parę uwag, po czym zaczął rozbierać się do snu.

Nazajutrz rano spotkał Pacaka i ze zdziwieniem spostrzegł, że księgowy zachowuje się z pewną rezerwą — zawsze byli przecież w jak najlepszych stosunkach. Dopiero po chwili przypomniał sobie wczorajsze zajście i klepnął Pacaka potężnie po plecach, aż echem rozległo się w korytarzu.

— I co, czerwony Tadeuszu? Boczy się na mnie szanowny towarzysz? Na starego reakcjonistę?

— Dajmy już temu spokój, panie inżynierze — odpowiedział Pacak powściągliwie. Grodzicki roześmiał się z hałasem, poklepał znowu Tadeusza po ramieniu i wrócił do przerwanej rozmowy Po jej kończeniu wtargnął jak burza do działu zaopatrzenia, i podniesionym głosem zaczął robić wymówki o materiały elektrotechniczne. Zamiast odpowiedzi, kierownik działu wyciągnął z biurka korespondencję.

— Widzi pan to, panie inżynierze? Wczoraj przyszło awizo. Wysyłają nam rurki Bergmanna, rozetki — wyliczał kolejno awizowane materiały.

Grodzicki, zapoznawszy się z listą, wpadł w wyborny humor, powiedział maszynistce, że ma ładny sweterek, wydał polecenie wysyłki desek do Gałkowic, po czym przeszedł do dalszej pracy, nucąc po cichu piosenkę sprzed lat trzydziestu.

Nie poznałby go nikt w parę godzin później, podczas rozmowy w gabinecie dyrektora. Było ich tam czworo: poza Grodzickim dyrektor, kierowniczka personalna i sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. Grodzicki uniósł się ze swego krzesła i stał naprzeciw pozostałej trójki, zaciśnięte pięści opierając na stole, czerwony z gniewu i zadyszany.

— Nie dam! Słyszycie: nie dam! — wołał. Ciasny pokój, szumnie „gabinetem" zwany, potęgował siłę głosu. — Ani człowieka! Ani baby! Ani chłopaka! Cóż wy sobie myślicie?

Sekretarz nie odwracając głowy spojrzał w stronę dyrektora i ką-



BYŁY W SEJMIE KŁÓTNIE PANÓW, DZIŚ JEST W SEJMIE KUŹNIA PLANÓW

JERZY GRYGOLUNAS

LESOWE

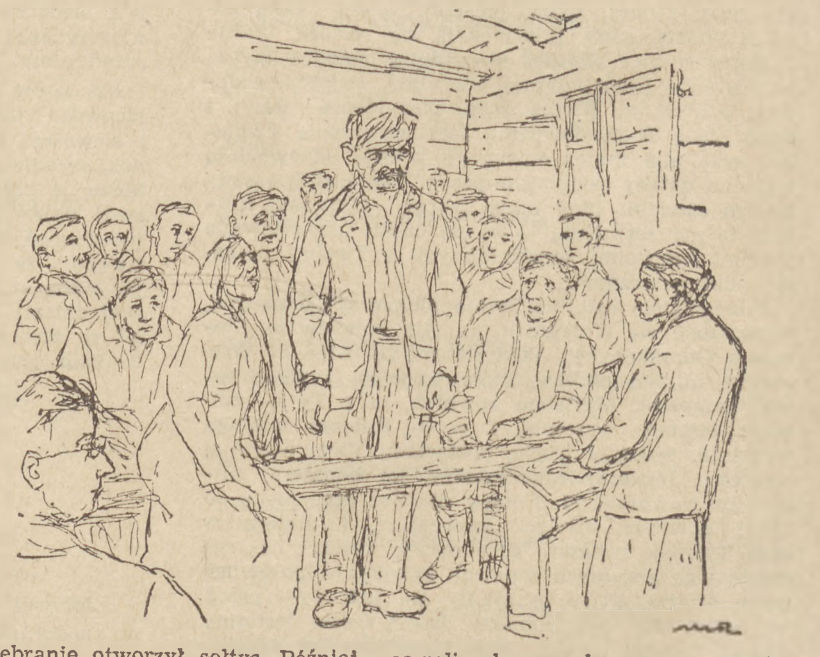
Kiedy mi powiedziano, że mam jechać na wieś z towarzyszką Kosmalą, niewiele o niej wiedziałem. Była już stara, miała Srebrny Krzyż Zasługi i od wielu lat żyła samotnie. Przez cały czas podróży zamieniliśmy kilka zdań Moja sąsiadka widocznie nie lubiła dużo mówić. Z okien autobusu przyglądała się starym wsiom sandomierskim o grubych słomianych dachach na błękitnych chatach nowym domom spółdzielczym, zwróconym do słońca szerokimi oknami, zielonym plantacjom chmielu, sadom i lesowym polom.

Wojciechowice musiały być niedaleko. Wjechaliśmy w głęboki jar, a w chwilę później minęli wiejski cmentarz otoczony kamiennym murem. Wtedy towarzyszka Kosmala, nie odwracając oczu od żelaznych krzyży, powiedziała:

— Tu leży mój mąż.

Zrozumiałem częściowo jej zamyślenie, w którym jak we śnie pogrążona była podczas długiej podróży.

W największej sali szkoły paliła się świeca. Rozkołysane powietrzem światło wydłużało twarze zebranych chłopów Siedzieli w drewnianych ławkach, rozmawiali, palili papierosy. Na dworze padał deszcz i krople wody bębniły o szyby.



Zebranie otworzył sołtys. Później przyszła nasza kolej. Wyjaśnialiśmy chłopom program Frontu Narodowego i znaczenie nowych wyborów do sejmu. Świeca na stole dopalała się Wiedziałem, że chłopi duszą jeszcze w sobie jakieś pytania. Stary, bezzębny gospodarz, który siedział w pierwszej ławce, wolno ważył słowa:

— Z węglem to inna sprawa: kto nie sprzeda świni, będzie palił słomą. A z kalkulacją to też inna sprawa; odstawię kwintal pszenicy, nie dostanę nawet na zelówki do butów Odstawię tucznika, zrobię parę butów. Komu to się opłaci? No, mówcie ludzie.

Kilka głosów przytaknęło gospodarzowi. Jeden z chłopów, z wielką szramą na policzku, którą prawdopodobnie zostawiło mu ostrze kosy mówił nieśmiało:

— Mateusz jest bogaty i tak gada. Ja jestem biedny, a powiem podobnie. Tylko pracuj i pracuj. A co mam z tego: dziurawe portki. Posadziłem tytoń. Kobieta tak chodziła koło niego, aż świnie zamorzyła. Przy skupie obliczyli, że tyle mi się pieniędzy należy, ile wyrobiłem dniówek obrabiając tytoń. Gdzie jest mój zarobek? Tylko warta moja robota? A tytoń pies?

Na sali zderzyły się dwa nurty: silniejszy, popierający wystąpienie chłopa, i słabszy, który z nim się nie zgadzał. Patrzyłem na sołtysa. Twarz jego wyrażała napięcie: zbierał siły, żeby przejść do ataku. Potem powiodłem spojrzeniem ku oknu Tam siedziała moja towarzyszka. Mała jej figurka głęboko wtuliła się w róg szkolnej ławki. Była tak niepozorna, że mimo woli zdziwiłem się, kiedy usłyszałem jej pewny, prosty głos:

— Chciałabym tobie wszystko wytłumaczyć, Tomaszu, boś ty był zawsze dobrym chłopem, a teraz, kiedy przyszły twoje czasy, nie myślisz, a powtarzasz słowa kułaka. Pozwól mi jednak odpowiedzieć Mateuszowi Zychowi.

Gdyby wrześniową nocą zaczął przed oknem szkoły śpiewać słowik zrobiłby mniejsze wrażenie na zebranych ludziach niż spokojne, jakby z głębi serca wypowiedziane, słowa obcej, starej kobiety. Moja towarzyszka mówiła dalej:

— Pamiętasz, Mateuszu, maleńki domek, który dwadzieścia lat temu dwoje ludzi postawiło na ziemi gromadzkiej Wrócili z Niemiec, gdzie uciułali trochę grosza. Pracowali od rana do nocy, a często nawet nocą, i wkrótce ich chata miała już niebieskie ściany. Nie byli młodzi: czwarty krzyżyk siedział na karku, ale żyli szczęśliwie, obsiewali pszenicę, kochali się. Tyś miał wtedy dwadzieścia hektarów. I tyle było ci mało.

Kobieta stłumiła płacz, a głos jej stał się chropawy i twardy: — Starsze dzieci ich odumarły, więc żyli samotnie, póki nie urodził im się syn, a później córka. Mieszkaliby może do dzisiaj na tej ziemi, Mateuszu, gdyby nie ty. Odkupiłeś gromadzką ziemię i przyszedłeś z chłopami, aby kobietę, mężczyznę i dzieci wyrzucić z chałupy. Stanęli oni wtedy w drzwiach z siekierami i musieliście odejść.

Później umarł ksiądz i na plebanii zebrali się wszyscy chłopi. Po ich wyjściu zginął księżowski rewolwer. Tyś go na pewno ukradł, Mateuszu, a tydzień później nie kto inny a ty właśnie, zastrzeliłeś z niego Wojciecha Kosmalę.

Mateusz Zych stał w ławce blady jak ściany szkoły. Usta słucha-

Ilustrował ADAM PERZYK

GRODZICKIEGO

cikiem ust posłał mu ledwo dostrzegalny uśmiech Natomiast personalna, która dopiero od paru tygodni objęła swoje stanowisko, była wyraźnie zaskoczona.

— Czy nie możecie z nami porozmawiać spokojnie? I rzeczowo? — zapytała, korzystając z krótkiej przerwy, potrzebnej Grodzickiemu dla złapania tchu, przy czym wydęła wargi, co miało zapewne oznaczać niechęć lub oburzenie.

— A jak ja rozmawiam, jeżeli nie rzeczowo? — zawołał Grodzicki, podnosząc głos o jeszcze jeden rejestr. — Zupełnie rzeczowo mówię: skąd wam tych dwudziestu ludzi wezmę? Z Gałkowic może? Czy z pekaesu? Stamtąd i tak wszystkich się wyciągnęło na osiedle A z osiedla? Mamy harmonogram do pierwszego maja czy nie mamy? Łatwy harmonogram czy trudny, co? Mamy zobowiązanie na urodziny prezydenta czy nie mamy? I kto chciał tego zobowiązania? Kto, ja się pytam? Ja czy wy? Wyście chcieli, moi panowie partyjniacy, ale mi teraz nie przeszkadzajcie, bo nici wyjdą z waszych zobowiązań.

Tu Grodzicki począł ciężko sapać, wodząc po rozmówcach przekrwionymi oczami.

— I ludzie na akcję pojadą, i zobowiązania wykonamy — powiedział spokojnie Kamzurski, sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej.

— Przecież mógłby pan — wtrącił dyrektor — z dniówkowych gdzieś... Wreszcie, z większych brygad, po jednym...

— Pan sam nie wierzy w to, co pan mówi — uniósł się znowu Grodzicki. — Na osiedlu każdy chłop ma swoje zadanie. U mnie nie ma niepotrzebnych. Chcecie zawalić plan, no to bierzcie! Ale jak tak, to ja nie mam zobowiązań, nie mam harmonogramów, diabli niech to wszystko wezmą! Bo jak już bardzo trzeba, to z biur nie możecie, panów pisarczyków i innych referentów? Dlaczego Pacaka nie weźmiecie, on taki wasz aktywista? Dlaczego zawsze tylko z budowy?

— To rzecz nie wasza — powiedziała personalna, lecz Kamzurski jej przerwał.

— Z biur jadą, panie inżynierze, jadą. A jeżeli chodzi o Pacaka, to jedzie i on także. Słusznie pan mówi: aktywista.

— Jedzie? No, to Bóg z nim, szczęśliwej drogi. Ale zrozumże pan, panie Kamzurski, że przecież wy sami, wasza partia każe budować, przyśpieszać terminy. Dlaczego Komitet od nas tych ludzi chce wyciągnąć? My mamy budować, a nie jeździć po wsiach i jakieś zebrania robić. Boże ty mój, dwudziestu ludzi na dwa tygodnie! Panie, budować mamy, powtarzam. Nowe domy, panie, nowe miasta — to nie ja przecież, to wasz plan.

Grodzicki opadł ciężko na krzesło. I jeszcze dodał:

— A ja sobie kombinowałem, że choć na jeden dzień wcześniej, niż zobowiązaliśmy się. Choć na jeden dzień... Ech, diabli!

Po krótkiej chwili ciszy zabrał głos Kamzurski.

— Panie inżynierze, nasz plan sześcioletni, to nie tylko budowa domów, dróg, fabryk.

Grodzicki spojrzał pytająco na sekretarza.

— Jakże to?

— Nie tylko budowa fabryk, panie inżynierze — powtórzył Kamzurski wolno i cicho, trochę do Grodzickiego, a trochę jakby do siebie. — Plan sześcioletni, to budowa socjalizmu w Polsce.

Grodzicki machnął ręką.

— Budujcie, budujcie więc ten wasz socjalizm, a mnie dajcie z nim święty spokój.

— Kiedy i pan razem z nami go buduje.

— Ja? — śmiech Grodzickiego rozległ się gromko. — A idźże pan! Ja? — powtórzył raz jeszcze i zmarszczył brwi. — Zresztą szkoda tu naszego czasu. Powiedziałem: ani jednego człowieka, a jak nie, to nie miejcie potem pretensji.

Grodzicki powstał i odsunął krzesło, kierując się ku wyjściu.

— Ale panie inżynierze — wmieszał się znowu do rozmowy dyrektor Przedsiębiorstwa — tak pan nie może stawiać sprawy. To są polecenia naszych władz partyjnych.

— No więc typujcie sobie sami! Wyście partyjni, wasze władze. Możecie mi zabrać całą załogę, proszę, jak macie takie polecenia.

Skierował się ku drzwiom. Nie mogąc w ciasnym pomieszczeniu wyminąć personalnej, odsunął ją bezceremonialnie razem z krzesłem, i wyszedł, wołając jeszcze zza progu: — Bierzcie wszystkich! Całą załogę!

— Ale to jakiś nienormalny człowiek — powiedziała personalna, poprawiając się na swym miejscu. — Nie wiedziałam, że to taki typ.

— Widzicie, towarzyszko, on jest bardzo popędliwy — zaczął usprawiedliwiać Grodzickiego dyrektor. — Ale nie można powiedzieć, żeby to był zły człowiek.

Sekretarz zaś spojrzał na dyrektora i rzekł z uśmiechem:

— Takich by nam ludzi trzeba.

Personalna odwróciła się zdziwiona.

— Co wy też mówicie? Znam jego papiery i wiem, kto to jest. Toż to reakcjonista jakich mało.

— Papiery, papiery... Papier zostaje, człowiek się zmienia. Na ludzi patrzcie, towarzyszko, nie na papiery.

— Właśnie patrzałam i dlatego to mówię.

Kamzurski nic już więcej nie odpowiedział, jakby zastanawiając się nad tymi słowami. Pokiwał tylko głową, po czym zwrócił się do dyrektora:

— No cóż? Chyba sami wytypujemy. Musimy dać ludzi na poziomie. Organizowanie komitetów założycielskich spółdzielni produkcyjnych, akcja ważna. Przebudowa wsi, wiecie.

— Może by zrobić tak — zaproponował dyrektor. — Wytypujemy listę ze trzydziestu — trzydziestu paru ludzi, a Grodzicki niech skreśli najpotrzebniejszych sobie, tak, żeby zostało na liście dwudziestu. Tylu, ilu chcemy od niego. Jak myślicie?

— Nie zgadzam się z tym — powiedziała szybko personalna. — Pan Grodzicki tak się tu zachował, że możemy śmiało nie liczyć się z nim więcej.

— Sądzę jednak — rzekł Kamzurski — że towarzysz ma rację. No, bierzmy listę.

Gdy zebrani u dyrektora zaczęli sporządzać wykaz pracowników na wyjazd, w tym samym czasie Grodzicki jednym ruchem zsunął do szuflady korespondencję, rozłożoną na biurku, i narzucił palto. Po chwili był na budowie, oddychając głęboko świeżym powietrzem, które taiło już w sobie wiosenne zapachy. Tu czuł się najlepiej, zapominał o tamtych kłopotach, miał inne, bliskie sercu budowniczego.

Z wykańczanych bloków słychać było odgłosy pracy. Stuk młotków mieszał się ze skocznymi tonami nuconej przez kogoś piosenki. Z dala szumiał regularnie przenośnik taśmowy, hałasowały betoniarki i mieszarki. Uważnym okiem wglądał Grodzicki w każdy szczegół. Nic ujść nie mogło jego bystrej uwadze. Tu rzucił słowo, zganił coś lub pochwalił, poradził, poklepał kogoś po ramieniu. Gdzie przeszedł, robota ruszała żwawszym tempem, jakby kierownik potrafił tchnąć w każdego cząstkę swej niespożytej energii.

Zatrzymał się naraz. Nad jednym z wejść do bloku III wisiała przybita tekturowa tablica ozdobiona dwiema czerwonymi chorągiewkami. Dnia poprzedniego jeszcze jej tu nie było. Grodzicki przeczytał napis, wymalowany minią trochę nieudolnie:

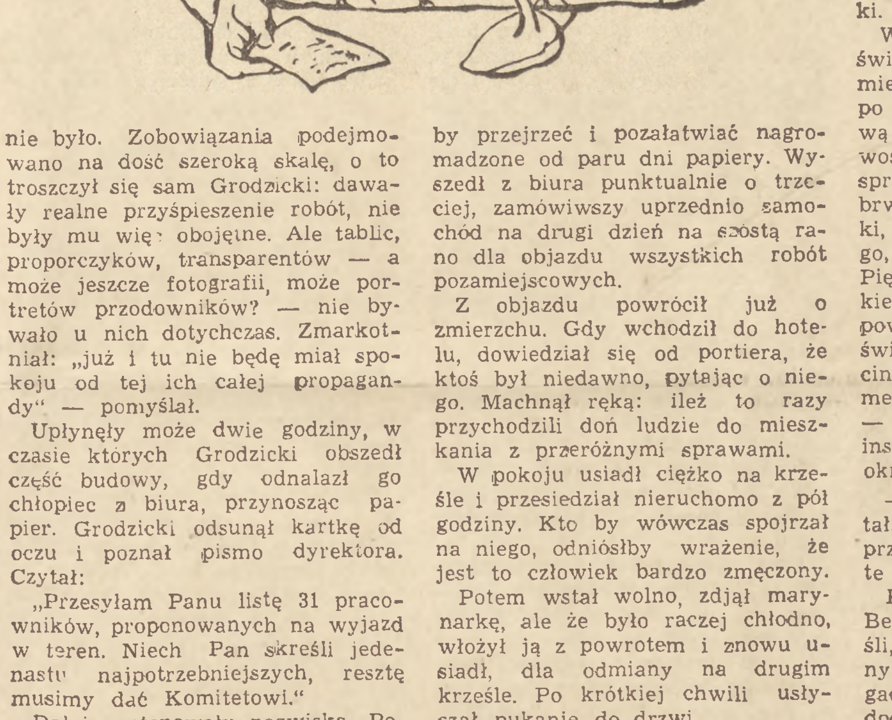
„Młodzieżowa brygada elektrotechniczna Franciszka Sekuły zobowiązuje się ukończyć robotę w bloku III na cztery dni przed terminem".

A obok, inną ręką dopisane:

„Wzywamy hydraulików i m a l a ż y".

Zmarszczył brwi. A to co znowu? Wszystkie zobowiązania załogi znał na pamięć, przeważnie sam wskazywał brygadom zadania i mobilizujące terminy. Elektrycy byli opóźnieni z wykonawstwem i z największym trudem zgodzili się podjąć zobowiązanie takiego przyśpieszenia prac, by ukończyć je zgodnie z harmonogramem — nowym już, skróconym i przyjętym za obowiązujący. Więc Sekuła chce jeszcze o cztery dni wcześniej? Narwie się chłopak i wstydu sobie narobi. Nie dosyć mu to, że stworzył tę brygadę młodzieżową, której zorganizowanie pół roku chyba trwało?

Nie tylko treść zobowiązania zdziwiła Grodzickiego, ale i sam fakt wywieszenia tablicy. Tego zwyczaju w ich Przedsiębiorstwie



nie było. Zobowiązania podejmowano na dość szeroką skalę, o to troszczył się sam Grodzicki: dawały realne przyśpieszenie robót, nie były mu więc obojętne. Ale tablic, proporczyków, transparentów — a może jeszcze fotografii, może portretów przodowników? — nie bywało u nich dotychczas. Zmarkotniał: „Już i tu nie będę miał spokoju od tej ich całej propagandy" — pomyślał.

Upłynęły może dwie godziny, w czasie których Grodzicki obszedł część budowy, gdy odnalazł go chłopiec z biura, przynosząc papier. Grodzicki odsunął kartkę od oczu i poznał pismo dyrektora. Czytał:

„Przesyłam Panu listę 31 pracowników, proponowanych na wyjazd w teren. Niech Pan skreśli jedenastu najpotrzebniejszych, resztę musimy dać Komitetowi."

Dalej następowały nazwiska. Poryw gniewu zatargał Grodzickim, krew uderzyła do głowy. Chwycił ołówek, oparł kartkę na framudze okiennej, dłoń przygotowała się do zamaszystego ruchu — i zawisła w powietrzu. Dwie myśli walczyły o lepsze: przekreślić całą listę — czy napisać „daję wszystkich"? Jak to często się zdarza, w ostatniej chwili przyszła mu myśl trzecia i ona przeważyła. Grubą krechą skreślił ostatnie jenedaście nazwisk, nie czytając ich nawet. „Chcą dwudziestu, niech będzie. Ale paktować z nimi nie myślę, dziady sakramenckie."

Szybkim krokiem przeszedł teraz do garażu, a zastawszy wolnego mercedesa, kazał się wieźć do Gałkowic, zapowiadając, że pojedzie potem aż do Kunowa, gdzie mieli w następnym miesiącu rozpocząć budowę szkoły.

Kiedy Grodzicki akceptował wyjazd w teren dwudziestu swoich pracowników, nie wiedział nawet, kto taki ma jechać. Poznał to dopiero nazajutrz, gdy o godzinie pół do ósmej przybiegł doń wzburzony Bińczak razem z technikiem Rozbickim z osiedla. Mieli z sobą listę ludzi, skierowanych przez Partię w teren. Nie było nieomal brygady, która by nie została zdekompletowana: tu brakło rzemieślnika, tam pomocy, ówdzie samego brygadzisty Uderzyło Grodzickiego nazwisko Sekuły: i on pojechał razem z innymi.

Bińczak z Rozbickim, idąc do Grodzickiego, przewidywali niezwykłą awanturę. „Wyobrażam sobie, jak inżynier skoczy — mówił Rozbicki. — Cud, jeśli to nasze biuro nie rozleci się w kawałki." A Bińczak dodał: „Aż strach bierze myśleć, ile tam będzie krzyku, walenia pięścią w stół i trzaskania drzwiami."

Niespodziewanie dla wszystkich, którzy go znali, Grodzicki wiadomość przyjął zupełnie obojętnie. Zapoznał się starannie z przedstawioną listą, pobębnił palcami po stole, po czym spojrzał pytająco na przybyłych.

— Panie inżynierze — odezwał się po chwili milczenia Bińczak — co wreszcie mamy robić? Przyszliśmy do pana, jako do naszego kierownika o decyzję.

Grodzicki teraz dopiero zahuczał po swojemu basem, aż ściany baraku biurowego zadrżały i zabrzęczały szyby.

— Jak to, co robić? Czego wy chcecie ode mnie? Macie prowadzić robotę, to wasz psi obowiązek! Za to wam płacą.

— Dobra, dobra, panie inżynierze — odpowiedział Bińczak, niespeszony wybuchem. — Ale chciałbym wiedzieć, jak pan myśli wyjść ze zobowiązaniami? Z harmonogramem? Przecież coś tu musimy zaradzić. Ja bym myślał...

— A idźże pan z tym, co pan myśli. Harmonogram przesunięty, wie pan? I terminy zobowiązań także. Słyszycie?

— Kto niby przesunął?

— Partia, panie drogi, wasza kochana Partia przesunęła, zabierając tych ludzi. A teraz — dodał już spokojniej — przepraszam panów, bo jestem zajęty.

Nikt już tego dnia nie usłyszał podniesionego głosu Grodzickiego. Zamknął się on na parę godzin w zaopatrzeniu, gdzie sprawdzał szczegółowo wszystkie zamówienia, potem odbył dłuższą konferencję z kierownikiem zatrudnienia na temat funduszu płac, etatów i limitów, na koniec wrócił do siebie, by przejrzeć i pozałatwiać nagromadzone od paru dni papiery. Wyszedł z biura punktualnie o trzeciej, zamówiwszy uprzednio samochód na drugi dzień na szóstą rano do objazdu wszystkich robót pozamiejscowych.

Z objazdu powrócił już o zmierzchu. Gdy wchodził do hotelu, dowiedział się od portiera, że ktoś był niedawno, pytając o niego. Machnął ręką: ileż to razy przychodzili doń ludzie do mieszkania z przeróżnymi sprawami.

W pokoju usiadł ciężko na krześle i przesiedział nieruchomo z pół godziny. Kto by wówczas spojrzał na niego, odniósłby wrażenie, że jest to człowiek bardzo zmęczony.

Potem wstał wolno, zdjął marynarkę, ale że było raczej chłodno, włożył ją z powrotem i znowu usiadł, dla odmiany na drugim krześle. Po krótkiej chwili usłyszał pukanie do drzwi.

— Proszę — rzucił, nie ruszając się z miejsca. Do pokoju wszedł młody człowiek, w którym Grodzicki ze zdziwieniem rozpoznał Sekułę.

Przy powitaniu Grodzicki — wbrew swemu zwyczajowi — zachował się powściągliwie i z rezerwą. Sekuła zaś był najwyraźniej onieśmielony. Długo przepraszał za nieoczekiwaną wizytę, tłumacząc się, że specjalnie wrócił z terenu — nareszcie, zacinając się, tak ciągnął:

— Ja to właśnie względem mojej brygady. Pan inżynier wie, jakie my zobowiązanie podjęliśmy i jak je chcieliśmy wykonać I teraz taka krewa. Mnie dwa tygodnie zejdzie, a beze mnie chłopaki — no jak? Choćby nie wiedzieć jak starali się, to nawalą.

Grodzicki pokiwał w milczeniu głową, Sekuła umilkł także. Zaległa cisza.

— Panie inżynierze, pan jeden może nam coś pomóc. Niech pan poradzi.

Grodzicki podniósł na mówiącego zmęczone oczy

— Do Partii idźcie — warknął. — Do dyrektora, do personalnej. Oni was wysyłali, oni pomogą.

— Panie inżynierze! — zawołał Sekuła — A cóż mi pomoże dyrektor czy personalna? Oni na robocie nie siedzą. A w Partii byłem, to mi Kamzurski powiedział, żeby do pana inżyniera, że pan inżynier na pewno...

— Mądrala, nie ma co.

— I nawet Kamzurski dał mi kartkę do pana.

Sekuła wyciągnął z kieszeni zniszczony portfel i wyjął zeń ostrożnie kawałek papieru. Grodzicki zbliżył się do lampy i zaczął czytać:

„Panie inżynierze! — pisał sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej. — Wiemy, że wysłanie tylu ludzi w teren postawiło budowę w trudnej sytuacji. Tylko dlatego zdecydowaliśmy się ich wysłać, że wierzymy, że potrafi Pan mimo wszystko wykonać nasze zobowiązania. Partia panu inżynierowi ufa i nie zawiedzie się, prawda? A szczególnie polecam młodego Sekułę, bo strasznie się martwi o swoją brygadę i swoje zobowiązanie. A przecież pan pomógł zorganizować tę brygadę. Serdeczny uścisk dłoni" — i zamaszysty podpis Kamzurskiego.

Grodzicki odczytał list raz i drugi i stał z nim nieruchomo, pochylony nieco ku światłu, z wyciągniętą ręką, dzierżącą kartkę — nienaturalny w tej pozie. Stał tak długo, że Sekuła zaczął się dziwić i przestąpił z nogi na nogę. Grodzicki nie zwrócił na to uwagi. Dopiero w chwilę potem wyprostował się, spojrzał na Sekułę, lecz znowu skierował wzrok na trzymaną kartkę. „...Partia panu inżynierowi ufa..." (— nie żadne tam „wam ufa" — pomyślał — tylko zwyczajnie po prostu „panu" —) „...serdeczny uścisk dłoni..."

Zwrócił się gwałtownie do Sekuły:

— I co więcej Kamzurski powiedział?

— Znaczy — jak to, co więcej? — stropił się chłopiec. — Właśnie powiedział, że tylko jeden pan inżynier może nam pomóc. Żeby do pana.

— Więc dobrze — zmienionym głosem, wolno rzekł Grodzicki — dobrze. — Namyślał się. — Dobrze — powtórzył po raz trzeci i niespodziewanie klepnął Sekułę po ramieniu. — Idź już, idź — powiedział, popychając go w stronę drzwi.

Młody brygadzista nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Zaskoczony, dał się Grodzickiemu wypchnąć na korytarz i stamtąd dopiero zapytał niepewnie:

— To jak zostaje, panie inżynierze? Będzie coś z tego?

Ale usłyszał tylko „idź już, idź" — drzwi się zatrzasnęły i Sekuła zaczął wolno zstępować ze schodów.

Tymczasem Grodzicki niespokojnym krokiem przemierzał swój pokój. Mruczał przy tym do siebie i wymachiwał rękami. W pewnej chwili chwycił palto, narzucił je i wybiegł z hotelu.

Furtka na budowę była zamknięta. Załomotał, aż echo rozległo się po ulicy.

— Co tam? Kto jest? — zapytał głos ze środka.

— Ja jestem — huknął Grodzicki. — Otwierajże nareszcie!

Wbiegł do pierwszego bloku i świecąc sobie latarką przechodził mieszkanie po mieszkaniu, pokój po pokoju, jedną klatkę schodową za drugą. Gnała go niecierpliwość, ale hamował ją i dokładnie sprawdzał postęp robót. Marszczył brwi i wydawał mimowolne okrzyki, targające uśpioną ciszę pustego, niewykończonego budynku. Piętro za piętrem, blok za blokiem. Zasapany, z trudem chwytał powietrze krótkim oddechem. Snop światła, rzucany przez latarkę, wycinał z ciemności różnorodne fragmenty: zlew — kaloryfer — tynki — gołe mury — bruzdy, wykute na instalację elektryczną — zaszklone okna — niewykończone schody...

— Mój Boże, mój Boże — szeptał, święte imiona przeplatając przekleństwami. — Co tu oni przez te dwa dni robili?

Płomień ogarniał mu głowę. Bezładnym stadem tłukły się myśli, goniąc jakby w nieopanowanym pląsie. Już wiedział: tę brygadę rozdzieli. Tu wzmocni, tam doda, przesunie Z Gałkowic można śmiało ściągnąć dwóch murarzy. - „Ilu mi zabrali? — Dwudziestu ludzi?" — roześmiał się. — „I przez to mamy leżeć?"

Wyleciał z budowy, powiewając połami palta. Chociaż godzina była późna, pobiegł do biura, kazał je sobie otworzyć, długo szukał kluczy od szaf i długo szafy otwierał z zamków i kłódek. Przypadł do harmonogramów i do swoich notatek, odnalazł w piątej z kolei szufladzie protokół z narady, na której podejmowano zobowiązania i ustalano terminy.

Jak dobrze znał ten swój stan: tak czuł się zawsze, ilekroć przystępował do jakiejś nowej roboty, rzucając się w nią z całym rozpędem. Tylko, że teraz wyczuwał w sobie coś jeszcze innego, jakiś nowy bodziec. Podświadomie szukał go, aby znaleźć dlań właściwe określenie. Długo nie mógł trafić na potrzebny ślad i dopiero, gdy już po północy wrócił do hotelu i jeszcze raz odczytał otrzymaną od Kamzurskiego kartkę, zrozumiał sam siebie.

„...Partia panu ufa..."

Zmarszczył czoło. A kiedy kładł się do łóżka, mruknął do siebie: „A niech go wszyscy diabli!... Czego on chce? Sam robotę psuje, a potem kartki pisze."

Przez parę najbliższych dni Grodzicki pozostawał jakby w transie. Był na osiedlu od rana do nocy. Zmienił całą organizację, poprzerzucał rzemieślników, potworzył nowe brygady. Z brygadzistami odbył krótką naradę, w czasie której potrafił ich przekonać, że dotrzymanie obowiązujących terminów jest możliwe, jeśli tylko oni — brygadziści — zechcą tego i pociągną za sobą swoich ludzi.

Zarówno zastępca Grodzickiego, Bińczak, jak i Rozbicki, prowadzący bezpośrednio budowę na osiedlu, zaledwie mogli nadążyć za tempem swego zwierzchnika. Pierwszego dnia, gdy Grodzicki zaczął działać, obaj chodzili po budowie, jak ludzie niepotrzebni. Dopiero nazajutrz i oni znaleźli swoje miejsca w nowej organizacji, miejsca niespodziewane i zasadniczo nie godzące się z ich stanowiskami. Bińczak, który był zastęp-

Ilustrował MAREK RUDNICKI

POLA

jących były otwarte z przejęcia, a oczy wpijały się w niego.

Wykrztusił:

— Ja nie zabiłem. Nie macie żadnych dowodów.

Kobieta ciągnęła dalej:

— Tak, nikt ci zbrodni nie udowodnił, a nawet nikt nie oskarżał. Policja broniła wtedy bogatych, a biednych wsadzała do więzienia. Ale są dowody na inną zbrodnię. Jak chłopa zabrakło, znów przyszedłeś z parobczakami i wyrzuciłeś na śnieg nasze bety. Jeszcze krew Wojciecha nie wyschła, a musieliśmy iść z chałupy. Wtedy przygarnął nas Tomasz Kaczmarek. Na wiosnę wzięłam dzieci i poszłam do miasta. Zamiatałam ulice. Później zostałam robotnicą. Tak: Leokadia Kosmala, to właśnie ja.

Ludzie podchodzili do towarzyszki Kosmali, oglądali ją, ściskali ręce. W gwarze i zamieszaniu Zych

Ja dzisiaj widzę przyszłość mego miasta i wy też, Tomaszu, musicie zobaczyć przyszłość swojej wsi.

Chłopi ożywili się. Przypomniane przez Kosmalę wspomnienia drzemały w ich pamięci.

— Przyjechała później policja.

— Postawili urnę przed plebanią.

— Komisarz odwiózł ją do Sandomierza.

— Okpili nas drugi raz.

Towarzyszka Kosmala kończyła:

— Okpili was drugi raz i ostatni, bo ich czasy skończyły się raz na zawsze, a rozpoczęły się wasze czasy i tylko od was zależy, jakie one będą.

Tomasz Kaczmarek słuchał z opuszczoną na piersi głową. Powiedział:

— Ja, Kosmalino, przecie nie mam zawiązanych oczu. Widzę zmiany: gromada ma młockarnię, motory, dzieci nasze uczą się w

ŻERAŃ, JAWORZNO, NOWA HUTA — NARODOWEGO FRONTU MARSZRUTA

wyszedł ze szkoły. Widziałem przez okno, jak zatrzymał się przy murze i głęboko oddychał. Po czym jak pijany, któremu już plączą się nogi, zataczał się na drodze wśród lesowych kałuży wody. Za nim wybiegł jego syn i długo potrząsał ojcem w niebieskosrebrnym świetle gwiazd, które wyłoniły się zza chmur, jak bogaty dywan z szarego worka.

Po dłuższej chwili, kiedy chłopi już ostygli z raptownego wrażenia, moja towarzyszka zwróciła się do gospodarza, który przytakiwał Zychowi.

— No, widzisz teraz, Tomaszu, za kim powtarzałeś jak papuga. Tyś nas przecież w biedzie poratował. Mówisz, że nie jest ci lekko? Wierzę ci, Tomaszu, ale czy mnie i Wojciechowi było łatwo, gdy budowaliśmy naszą chałupę? A tobie jak było, kiedy ci się spaliła chata i musiałeś stawiać nową? Nic żeście wtedy nie jedli, zaciskali pasa i tylko ciągle wozili do kupca sery, jajka, masło, wreszcie jedyną krowę. Chałupa stanęła i chociaż nie była taka jak dawniej spaliście w niej z kurami i koniem; jednak pomyśl, ile wysiłku kosztowało jej wybudowanie.

Ty wiesz, Tomaszu, dlaczego ja ci to mówię? My też budujemy nowy dom, ale wszystko w nim musi być piękniejsze niż dawniej: miasta, wsie, fabryki, szkoły. Budujemy własny dom — i musisz Tomaszu zrozumieć, że ci nie wolno myśleć tylko o swoich portkach. Ja jestem robotnicą i nie jem lepiej niż ty i nie ubieram się lepiej niż ty, ale jem lepiej i ubieram się lepiej niż przed wojną, kiedy tułałam się od fabryki do fabryki i wiele nocy spałam pod mostem. Wiem, Tomaszu, że mnie łatwiej jest to wszystko zrozumieć niż tobie, bo ja więcej niż ty przeżyłam. Ale ty też odzyskałeś najcenniejszą rzecz człowieka: honor. Byłeś „chamem" i twardych twoich rąk brzydzili się panowie. Pamiętasz, jak przyjechali w dwudziestym ósmym agitować za posłami? Obiecywali dużo, ale nic nie dali. Dlatego, gdy przyjechali drugi raz przed wyborami w trzydziestym piątym i w niedzielę przed kościołem znów zaczęli obiecywać, rozpędziliście ich batami.

miastach. No jak, mam rację gospodarze? Ale jest mi ciężko i basta.

Chłopi przytakiwali. Niektórzy z nich dorzucali swoje uwagi. Mały, szczupły gospodarz w czapce listonosza, który łączył pracę na roli z roznoszeniem listów, zwrócił się do zebranych:

— Ziemia u nas bogata i nikt na niej nie bieduje. Wszyscy się przyzwyczaili, że z każdym rokiem było nam lepiej, to teraz, kiedy Państwo ma większe potrzeby, każdy krzyczy: jest ciężko. Najbardziej biedolą ci, co mają najwięcej, jak ta kanalia Zych. Przypomnijcie sobie, co mówiła towarzyszka Kosmala: musimy widzieć przyszłość naszej wsi. Jak założymy spółdzielnię, na jednym wspólnym, wielkim polu będziemy planowo hodować pszenicę, buraki cukrowe, chmiel, tytoń, sady, winogrona. My mamy las. Czterysta hektarów najlepszej lesowej ziemi.

W sali szkolnej Wojciechowic panowało wielkie podniecenie. Chłopi przełamywali w sobie nieufność. Wtedy ktoś krzyknął z ciemnego kąta:

— Kiedy tak mędrkujecie, to zakładajcie spółdzielnię. Będziecie mieli wsio wspólne, wsiego mnogo: bydła i bab.

W rogu koło ostatniej ławki zaczęła się bójka. Gospodarze rozdzielili walczących. Posiniaczony Tomasz Kaczmarek prowadził do drzwi wąsatego, przysadzistego chłopa. Wypchnął go na dwór, po czym wrócił pod okno, gdzie siedziała towarzyszka Kosmala i sapiąc, powiedział:

— To mieszał ten Woźnicki. On nie lepszy od Zycha. Ale teraz mówcie nam, Kosmalino, jak to tam będzie u nas na wsi.

Do miasta wracaliśmy ostatnim autobusem. Już dawno minęliśmy ostatnie chaty Wojciechowic, a po ustach towarzyszki Kosmali ciągle jeszcze błądził ten sam radosny uśmiech, którym rozstawała się z odzyskaną po latach wioską. Dopiero gdy na niebo zza chmur wyszedł księżyc i srebrne promienie dotknęły jej spracowanych dłoni, dostrzegłem, że trzyma w palcach małą grudkę lesowej ziemi.

Jerzy Grygolunas

cą kierownika technicznego Przedsiębiorstwa, otrzymał tu nadzór nad murarzami i malarzami — Rozbicki zaś, kierujący do tej pory całą budową osiedla, został obarczony odpowiedzialnością tylko za dostawę materiałów.

Teraz widać było z dniem każdym, jak pracy przybywa. Już obsychały wewnętrzne tynki, uciekali przed nimi hydraulicy ze swoimi rurami, zlewami i centralnym ogrzewaniem. Do późnej nocy skręcali nieraz połączenia, mażąc ręce czerwoną minią. Elektrycy na gwałt zakładali rurki bergmannowskie, a tam, gdzie tynk już przesechł, zaciągali przewody. Już coraz szerszy front robót otwierał się malarzom, którzy do niedawna nie byli jeszcze na osiedlu potrzebni. Murarze kończyli ścianki w piwnicach, betonowali schody, gładzili posadzki z terazza. Nie szła tylko robota stolarzom i cieślom. Próżne były wysiłki Grodzickiego, który dawał im wręcz codzienne zadania: nie wykonywali ich, pracowali tyle, żeby wyrobić normę i nie było wypadku, aby pozostali choćby raz, choćby na godzinę po dzwonku, podczas gdy inne grupy pracowały znacznie dłużej.

Początkowo Grodzicki nie zwracał na to większej uwagi: robót ciesielskich i stolarskich nie było już wiele. Kiedy jednak razu pewnego paru ludzi nie wykonało swego zadania, ponieważ nie zostały na czas założone szalunki, Grodzicki uniósł się w sposób nawet dla niego nieoczekiwany. Przywołał do siebie Kiryluka, ciesielskiego brygadzistę i rozmawiał z nim dobrą chwilę głosem, który słychać było daleko poza granicami osiedla — choć małe ono nie było. Ostatnie jednak słowo w rozmowie miał Kiryluk, który wychodząc mruknął: „Ja tam nie z tych, co na wyścigi robią."

Około południa przyszedł na budowę Kamzurski. Nie było go tu od czasu, gdy wysłaniem w teren zdekompletował załogę; od tego też czasu nie widział się z Grodzickim. Chciał z nim porozmawiać, ale zawiódł się: Grodzicki wpadł na niego z góry, wołając, że nie chce widzieć na budowie ludzi, którzy tę budowę psują.

— Zamiast się tu włóczyć, niech pan coś wymyśli, żeby cieśle robili lepiej, panie z Partii!

Tego samego dnia po południu dostał Grodzicki wreszcie parę tabliczek czekolady i poszedł do Pacaków. Pani Katarzyny nie zastał: była na zebraniu, ale wrócić miała już lada chwila. Pacak był w terenie. Ponieważ zaś pani Grądzka szykowała kolację, Grodzicki pozostał sam z Jadwinią. Wnet pokój nabrał cech rumowiska. Krzesła dźwignęły się piramidą, legł stolik nogami do góry — na nogach zawisły serwetki — kwiaty zmieniły przepisane sobie miejsca. Gdzieś spodem uwijała się Jadwinia, a Grodzicki gonił ją, ogromnym swym ciałem przeciskając się w tym chaosie i grożąc co chwilę zupełnym zdemolowaniem mieszkania.

Kres położyła zabawie pani Katarzyna. Choć były to pierwsze odwiedziny Grodzickiego od czasu niemiłego zajścia, oboje przeszli do porządku dziennego nad tym, co było i nie sięgali do historii sprzed paru dni. Rozmawiali za to na temat ostatnich wydarzeń, a przede wszystkim o wyjeździe Tadeusza.

— Ja tam zawsze Tadzikowi powtarzam — odezwała się milcząca dotąd pani Grądzka — że z tych jego wyjazdów to nic dobrego nie wyjdzie. — To rzekłszy, zwróciła się do Grodzickiego, oczekując poparcia dla swych słów. Grodzicki jednak nie odpowiedział nic na to, a po chwili pani domu zagadnęła go, czy wysłanie w teren znacznej liczby pracowników budowy zahamowało w istocie roboty tak bardzo, jak to słyszała od męża przed jego odjazdem.

Grodzicki roześmiał się hałaśliwie.

— Pani szanowny małżonek zawsze lubił przesadzać. Pewnie, że jak ich wysłałem, to roboty jest więcej, ale ja, proszę pani, też nie z tych, co roboty się boją. — To rzekłszy, jął pokazywać swoje żylaste, muskularne ręce, machając przy tym widelcem i roniąc zeń krople sosu na obrus.

Następnego dnia po bytności Grodzickiego w domu Pacaków kilka grup, które w ostatnim czasie pracowały dłużej, zeszło z budowy równo z dzwonkiem. Nazajutrz grup tych było jeszcze więcej. Po raz pierwszy od chwili podjęcia swego ataku Grodzicki zobaczył, że nakreślony przezeń plan dzienny nie został wykonany. Tegoż dnia usłyszał, jakoby między robotnikami rozchodziły się pogłoski, że dyrekcja nie będzie płacić za pracę w godzinach nadliczbowych.

— I oni wierzą w te głupstwa? — krzyczał Grodzicki do swego zastępcy. — Przecież całe bractwo jest w akordzie, ile kto zrobi, tyle i zarobi. Co to jest?

— A jednak takie pogłoski krążą — odparł Bińczak. — Ale pan, inżynierze, i tak tego nie zrozumie.

— Czego mam nie zrozumieć? — zawołał z gniewem. — O czym pan mówi?

— Niech pan to już zostawi komu innemu. A że będzie trochę zmian, niech się pan nie dziwi.

Jakoż zmiany zaszły: paru ludzi przeniesiono poza osiedle, paru za to przyszło nowych. O akceptację każdego z tych posunięć Bińczak zwracał się do Grodzickiego, dodając jednak znaczącym głosem: „niech pan zgodzi się na to, panie inżynierze."

Grodzicki nie był tak mało spostrzegawczy, aby nie widzieć, co dzieje się wokół niego. Pojmował, że komuś zależało na zahamowaniu pracy, i że Partia do tego nie dopuściła. Walka trwała krótko: upłynęło zaledwie parę dni, a na budowie zapanowały dawne stosunki. Grodzicki słyszał jednak, jak mówił Kamzurski do Bińczaka:

— Będziemy to musieli gruntownie przeanalizować. Odłożyliśmy tylko rozgrywkę, nie zakończyliśmy jej.

Wydarzenia te ukazały Grodzickiemu, fanatykowi budowy, nieprzeczuwane dotąd związki między budową osiedla a pewnymi innymi, ogólniejszymi sprawami, które określał pogardliwie brzmiącą w jego ustach nazwą „polityki".

Bińczak mówił coś na przykład, jakoby krążące pogłoski łączyły się z faktem wysłania ludzi dla organizowania komitetów założycielskich spółdzielni produkcyjnych. Właśnie spółdzielni.

A tymczasem minęło jeszcze parę dni i oto wysłani w teren pracownicy jęli już powracać. Pierwszy stanął do pracy Sekuła; ponieważ w czasie swej nieobecności parokrotnie zjawiał się na budowie, wiedział więc, że Grodzicki jego grupę otoczył szczególną opieką, przydając dodatkowo pomoc innego brygadzisty. Nie było przeto dla młodego zetempowca niespodzianką, że brygada jego nie próżnowała i ma możliwość wykonania podjętych zobowiązań.

Stopniowo napływali i inni, a w dniu, kiedy załoga budowy powróciła do poprzedniego stanu, na osiedlu zjawił się Kamzurski.

— Nie wypędzi mnie pan tym razem? — zapytał Grodzickiego takim głosem, że kierownik poczuł głębokie zażenowanie.

— Co też pan, panie, mówi! Ja tam kogo wypędzałem? Ot, bywa człowiek zdenerwowany, tyle tylko.

— Pewnie, że można się czasem zdenerwować — potwierdził sekretarz zgodnie. — A robota jakoś poszła, co?

Grodzicki uderzył się otwartą dłonią w piers.

— Ja tu jestem na to, żeby szła.

— Tak — odparł sekretarz — wiedziałem o tym i nie bałem się. A wie pan: ci, co byli w terenie, też dobrą robotę zrobili.

Przez twarz Grodzickiego przebiegł uśmiech, zabarwiony ironią.

— Kołchozy zakładacie, kołchozy?

— My to nazywamy, wie pan, spółdzielniami produkcyjnymi. Ale to nie znaczy, żebyśmy się bali wyrazu „kołchoz".

Widząc jednak, że na twarzy Grodzickiego uśmiech ustąpił już miejsca pochmurnemu cieniowi, zapytał szybko:

— A jak u pana? Oddamy te bloki na urodziny prezydenta?

— Nie! — zagrzmiał niespodziewanie Grodzicki.

— Jak to nie?

— Nie na osiemnastego, panie sekretarzu — ciągnął kierownik, zadowolony z wrażenia, jakie wywarł. — Tak ze dwa dni — dwa dni...

— Co, dwa dni później?

— Wcześniej! — zawołał Grodzicki triumfalnie.

Dni biegły prędko, tym prędzej, im bliższa stawała się data osiemnastego kwietnia. Ostatniej niedzieli, poprzedzającej ten dzień, na budowie pracowali przy porządkowaniu wszyscy pracownicy umysłowi Przedsiębiorstwa. Już wtedy było jasne, że zobowiązanie załogi zostanie wykonane przedterminowo.

Jakoż rankiem szesnastego — była to środa — Grodzicki dokonał ostatecznego przeglądu mieszkań, które zamykano, coraz powiększając niesiony przez Rozbickiego pęk kluczy. W południe odbyła się na budowie masówka i przodujący robotnik, tynkarz Ponichter, wręczył klucze dyrektorowi, który z kolei przekazał je przewodniczącemu Miejskiej Rady Narodowej.

Budowa dalszych bloków trwała nieprzerwanie, a do wykończonych zaczęli się już wprowadzać lokatorzy. Przed Świętem Pracy kilkadziesiąt rodzin otrzymało nowe mieszkania, załodze zaś Przedsiębiorstwa decyzją Komitetu Powiatowego przypadł zaszczyt otwierania pierwszomajowego pochodu.

W pierwszej czwórce, obok przewodniczącego Rady Zakładowej, dyrektora i Kamzurskiego kroczył Grodzicki. Żadną miarą nie chciał się na to zgodzić, sekretarz był wszakże stanowczy.

— Niech pan to zrobi dla mnie. To moja taka osobista prośba — użył jako ostatniego argumentu.

Już podchodzą. Grodzicki stara się mimo woli nadać swoim ciężkim krokom wojskowy rytm, stosownie do granego przez orkiestrę marsza. „Niech żyje budowlanka!" — pada okrzyk, podchwycony przez tłum. „Cześć budowniczym naszego osiedla!" — woła ktoś z trybuny, a Kamzurski trąca idącego obok Grodzickiego. „To do pana" — rzuca po cichu.

Ich czwórka mija trybunę, przed którą defilują coraz dalsze szeregi Przedsiębiorstwa. Słychać okrzyk „Niech żyją kobiety-murarki!" — a wtedy Grodzicki z kolei trąca przyjaźnie swego sąsiada i mówi: „To do naszej Bokowej i Skolarskiej A Wojtaszkowa też będzie niedługo murować, mówię panu."

Uszli jeszcze paręset metrów i tam się pochód już rozwiązywał. Grodzicki po wejściu na chodnik przystanął niezdecydowany. Widział, że jedni zbijali się w grupki i rozmawiali, inni odchodzili śpiesznie, zapewne do domów, jeszcze inni snuli się po ulicy. Nie miał ochoty na rozmowę, ale nie chciał wracać do pustego pokoju hotelowego. Zawrócił i szedł zwolna w stronę trybuny. Nie dochodząc przystanął, po czym przepchnął się w tłumie aż na krawędź jezdni i patrzył na sunący pochód. Szły właśnie szkoły. Dzieci wymachiwały chorągiewkami czerwonymi, biało-czerwonymi i niebieskimi. Starsza młodzież mieniła się czerwienią zetempowskich krawatów. A potem przejechało parę udekorowanych samochodów, wiozących dzieciarnię z przedszkoli. Na jednym z wozów Grodzicki ujrzał Jadwinię Pacakównę i rozpromienił się w mgnieniu oka. Nie wiedząc sam, co robi, wykrzyknął pełnym głosem, któremu potrafił nadać donośność syreny portowej:

— Niech żyją dzieci!

Inni podjęli okrzyk, Grodzicki zaś gonił wzrokiem oddalający się samochód z Jadwinią. Nie widział już jej, natomiast dopiero teraz dostrzegł zawieszony na samochodzie wielki transparent niebieski, na którym na tej stronie bieliły się litery: „Nie ustawajcie w walce o pokój dla nas". Twarz mu zaczęła poważnieć. Powiódł oczami dokoła: wszędzie widział dużo, dużo czerwieni, płynącej ulicą, zwisającej z masztów, zdobiącej fasady domów. A za samochodami dalej szły dzieci, niezbyt równymi czwórkami, gubiąc takt marsza.

— Niech żyją przyszli budowniczowie socjalizmu! — padł zdala okrzyk.

— Niech żyją! — rozbrzmiało wokół. Grodzicki krzyczał razem z innymi.

Mirosław Kowalewski

TEOFIL KOWALCZYK (Wrocław)

DLACZEGO GŁOSUJĘ NA LISTĘ FRONTU NARODOWEGO

Matka od świtu urabiała ręce,
a bieda w każdym kącie pleśnią rosła w oczach.
Gdy choroba zżerała me płuca dziecięce,
Na lekarstwa sprzedała matka swe warkocze.

Mój ojciec stawiał ściany pańskich gumien.
W dzieciństwie za pastucha służył u proboszcza.
Ciesielstwa się nauczył, nic więcej nie umiał.
Wychowywał go las i mróz, i wiatr ostry.

Ja głosuję na ludzką młodość wszystkich ojców,
na spokój wszystkich matek, które po nas przyjdą,
na domy, które rosną w zieleni i w słońcu,
na ludzi, którzy w drugich — ludzi widzieć będą.

Do urny rzucę kartę, aby dzieciom szkoły
otwierały swe bramy jak ogrody wszędzie.
Zeby, gdy w klasie siądą w poranek wesoły,
nikt ich jak mnie nie pytał kto krowy paść będzie.

Anna Bukowska

Reportaże sześciolatki

Pamiętam, jak w zeszłym roku pokazywaliśmy Warszawę studentom przybyłym na V Radę MZS-u. Najwięcej entuzjazmowali się Włosi, impulsywni, żywiołowi południowcy.

— Czy wy rozumiecie, co to za szczęście żyć w takim kraju, jak wasz! — gorączkował się Fredi, student architektury z Mediolanu. — Chwilami wstydzę się, wstydzę za moją Ojczyznę.... — zagalopował się, ale od razu dodał. — U nas też tak będzie.

Rozmawiając z nim, obserwując jego reakcje, zrozumiałam, że mimo drobnej różnicy wieku byłam starsza od niego, starsza o osiem lat Polski Ludowej. Zresztą on też to zauważył.

Takich prezentów jak Warszawa na 22 lipca nie dostawało żadne miasto. Czy można zapomnieć chwilę, kiedy po zamknięciu defilady Zlotu lud warszawski runął na plac Konstytucji, jak w jednej chwili ogarnął jego wielką płaszczyznę, zaroił się ciekawy, radosny, podniecony. „Taka będzie cała Warszawa?"... — mówili ze szczęśliwym niedowierzaniem ludzie, oglądając wspaniałą architekturę i piękne wnętrza.

Ile rusztowań, wznoszących się po całej Polsce, ile nowych budowli, kombinatów i kopalń — tyle pasjonujących historii ludzkiego wysiłku i dojrzewania.

Nie każdy był w Nowej Hucie, nie każdy widział Gorzów i spółdzielnię produkcyjną w Godzianowie, a trzeba przecież znać nową geografię, ekonomię i socjologię Polski Ludowej. Najpełniejszy obraz życia może i musi dać literatura. Jej zadaniem jest utrwalić historyczną prawdę epoki.

W cyklu reportaży i opowiadań o Sześciolatce, wydanych ostatnio przez „Czytelnika", dominuje motyw kształtowania się nowego człowieka. To stanowi o ich wartości.

Na przykład opowiadanie „Dyplom" Sylwestra Banasia. Są to wspomnienia robotnika, tokarza. Przed wojną zwykły los robotniczy — niemożność uczenia się, bezrobocie, walka z kapitalizmem. W czasie okupacji groźba wywozu na roboty, sabotaż, ukrywanie się. Po Wyzwoleniu przywędrował do Nysy i zgłosił się do pracy w zniszczonej fabryce. Dyrekcję fabryki obsadzili WRN-owcy — oficjalnie należący do PPS. Ludzie ci nie chcieli odbudowy fabryki. Ich cel był jasny — sparaliżować odbudowę Ziem Zachodnich. Do odbudowy stanęli wtedy robotnicy bez planów, bez instrukcji, ale po gospodarsku. Zaczęło się od uruchomienia pierwszej, wyciągniętej z gruzów tokarki. Mimo braku pieniędzy, trudności z materiałami i aprowizacją — nikt nie narzekał. „I ja, i inni wiedzieli z praktyki, że jak się coś buduje — to trzeba zacisnąć pasa"... W 1947 roku trzy hale maszynowe stanęły do produkcji. Przez cały ten czas toczyła się ostra walka klasowa; WRN-owcy starali się rozbijać jedność robotniczą posługując się PPS-em; prowadzili sabotaż gospodarczy, starając się położyć plany produkcyjne. Walkę wygrali robotnicy, i przed Zjednoczeniem wrogi element został usunięty. Fabryka zaczęła przekraczać plany, wprowadzono współzawodnictwo, wyrośli z niego przodownicy. Robotnicy zabierali się do książek, uczyli się, nadrabiali stracone lata, szli odważnie na najtrudniejsze. Wraz z tymi ludźmi i w takich warunkach rósł nasz bohater. Z chwilą pierwszego awansu na brygadzistę stanął problem poszerzania wiedzy fachowej. Po dniu roboczym zjawiła się książka, potem wieczorowa szkoła techniczna — nareszcie szkoła! W 1948 roku był już kierownikiem samodzielnego odcinka produkcji. W 1950 roku Partia, powołując najlepszy aktyw robotniczy do pracy na wsi, wysłała go na kurs dyrektorów POM-u. W 1952 roku znów kurs w Ursynowie. Jego uczestnicy zobowiązują się dla uczczenia urodzin Prezydenta do przerobienia dodatkowo — w czasie trwania rocznego kursu — programu licealnego. W ten sposób wraz z dyplomem technika otrzymał świadectwo dojrzałości. „Wśród grzmotu oklasków podchodzili: stary górnik Czerwiński, nie młodszy od niego były robotnik tartaczny Cieślak, fornal Sieczka, szofer Czarniecki i inni... Białe kartki brali ostrożnie w ręce, na których jeszcze pilnik czy kilof zostawił swój ślad... Wyczytano moje nazwisko"...

Nie trudno w tych faktach dojrzeć typową drogę awansu robotniczego, dźwigania się mas ludowych naszego kraju. Inny przykład podaje „Niedokończona opowieść" Jażdżyńskiego, napisana w interesującej formie listu-opowiadania. „Niedokończona" — bo Józef Mozga, chłop z Godzianowa, współzałożyciel spółdzielni produkcyjnej, jedzie na uniwersytet, by móc wykładać w godzianowskim gimnazjum.

Jerzy Bober w opowiadaniu „Decyzja inżyniera" porusza problem inteligencji twórczej. Na stanowisko dyrektora Nowej Huty przyjeżdża doskonały fachowiec, profesor politechniki. Pierwszym pragnieniem inżyniera po zetknięciu się z Nowa Hutą była ucieczka z tego zgiełku budowy do zacisznego, warszawskiego gabinetu. Był to zwykły odruch naukowca, pochłoniętego wiedzą teoretyczną, żyjącego z dala od zgiełku spraw ludzkich, od polityki. Nie dlatego, by go te sprawy nie obchodziły, by nie miał swoich opinii, swoich poglądów. Bał się po prostu, by nie wtargnęły w jego życie, nie zakłóciły spokojnego toku myśli, systematycznej pracy. Stąd gabinetowa „separatka"... I oto znalazł się w zupełnie nowej dla siebie sytuacji. Miał kierować wielką budową. Ta praca zdawała się przekraczać jego możliwości. Należał do starej kadry inteligencji, nie czuł już w sobie młodzieńczego entuzjazmu, przerażało go tempo budowy nie liczące się z prawidłami tradycyjnej techniki. I wprawiali go w zakłopotanie ludzie, dla których przeszkody zdawały się nie istnieć. Ale właśnie ci ludzie stali się pierwszym i największym odkryciem inżyniera. Czuł satysfakcję, widząc wyniki swej pracy, zaufanie i uznanie tych, którymi kierował. W ten sposób profesor politechniki, „stary fachowiec" stawał się kierownikiem nowej socjalistycznej budowy.

Z pojedynczych ludzi tworzy się kolektyw i on dopiero decyduje o wynikach całości, on wpływa na rozwój jednostki. Wskaźnik produkcji jest zarazem miarą siły kolektywu, jego prężności życiowej. Ten problem jest sprawą centralną w „Prządkach z czwartej lewej" Rymkiewicza, w „Załodze czerwonej fabryki" Szewery, w „Inżynierze" Lovella. Najpełniejszy obraz zakładu produkcyjnego dała Helena Wielowieyska w swojej „Wiośnie w Gorzowie", kipiącej tematyką nowego życia. Z terenu wsi ciekawy jest zbiór „Reportaży lubelskich" Krystyny Pałys, gdzie pierwszoplanowo występują zagadnienia o tak wielkim znaczeniu dla zmiany oblicza wsi, jak zakładanie ośrodków przemysłowych na wsi i wielkie prace melioracyjne.

Proza publicystyczna Jacka Bocheńskiego w zbiorze opowiadań pt. „Dyplom" wyróżnia się dużą siłą agitacyjną, którą zawdzięcza swej polemicznej formie. Krótkie migawki z życia wsi, umiejętnie dobrane i wkomponowane w całość, stanowią jakby ilustracje dla polemisty. Bocheński wyjaśnia i argumentuje. Demaskuje kułacką plotkę. Daje odpowiedź na pytania, które tak często słyszy się rozmawiając z chłopami. A więc sprawa planowego skupu, odpływu ludzi do miast i dlaczego w sklepie ZSCh nie było wiader, i naturalnie o spółdzielniach produkcyjnych. Publicystyka Bocheńskiego może spełnić poważną rolę uświadamiającą.

Pozostałych reportaży wymieniać nie będę. Jest ich jeszcze sporo. Obrazują ciekawe momenty z życia różnych obiektów, uchwycone na gorąco przez reportera. Napisane są żywo, w różnych ujęciach, tak że forma ich nie nuży czytelnika.

W sumie — tomiki te przedstawiły pewne najbardziej charakterystyczne momenty wzrostu naszego kraju, dały dokumentację przemian w społeczeństwie. Mają wszystkie zalety po temu, aby zjednać sobie jak największy krąg czytelników, aby znaleźć się w świetlicach i ośrodkach szkoleniowych, gdzie służyć będą swym bogatym materiałem dyskusyjnym.

Anna Bukowska

Wyd. „Czytelnik": B. Ostromęcki „Reportaż z miasta młodości" J. Bober, J. Korczak, J. Lovell „Na Nowej Hucie", S. Banaś, J. Bocheński, W. Jażdżyński, M. Niewiarowski „Dyplom", K. Pałys „Reportaże lubelskie", H. Wielowieyska „Wiosna w Gorzowie", J. Saloni „Na tropach praw życia", L. Bartelski, M. Niewiarowski, W Zesławski „Znak nad miastem", S Szmaglewska „Budujemy naszej Łodzi nowy dom", Z. Fijas, J. Koprowski, W. Rymkiewicz, T. Szewera „Prządki z czwartej lewej".

ALEKSANDER ZIEMNY

AUTOBIOGRAFIA

Tłum uciszył się, zamilkł. Jeszcze słabe echo
tłukło się gdzieś w górze o szkielet żelbetowy.
Reflektor przeciął halę ostrą, białą krechą
i stanął — aby objąć drobną siwą głowę.

Powietrze, ciężkie wonią olejów i smarów
rosło w płucach zmęczeniem. Ale robotnicy
weterani i młodzież, wzrokiem pełnym żaru
patrzyli na przybraną czerwienią mównicę:

„...Przyszłam na świat w osadzie, tu, w cieniu kominów.
Matka nas odumarła. Był tyfus głodowy.
Zostawiła trzy córki i dwóch małych synów
odkąd pamiętam wątłych i słabych na zdrowiu.

Kiedy młodsze podrosły, poszły na posługi,
ojcu sił ubywało, skręcał go reumatyzm,
ale się nie poddawał i w dwudziestym drugim
za robotę strajkową dostał się za kraty...

Porzuciłam zagłębie, zdawało się młodej,
że ziemi tej, tej tylko trzyma się nieszczęście,
że są kraje, gdzie nie ma ni głodu, ni chłodu...
Dobrze, że życie oczy otwarło mi wcześnie.

Tak samo łży człowieka belgijski właściciel,
nikt serca nie otworzy w domu niegościnnym..
Jeszcze widzę, jak mąż mój umiera o świcie
bez pomocy. Ja patrzę i płaczę bezsilnie.

Choć twarz pocięły bruzdy i zbielały włosy,
i chociaż plecy nigdy nie będą już proste —
nie złamały mnie przecież cudzoziemskie losy.
Przemogłam sama w sobie i rozpacz, i troskę.

Bez nauki nie od razu znajdziesz swoją prawdę.
Wrasta w duszę powoli, lecz za to głęboko...
Gdy wróciłam pod stare kominy i hałdy,
towarzysze wskazali mi drogę szeroką.

Ćwierć wieku — czasu kawał. W walceśmy go przeszli.
I dziś rozmawiam z wami jak z siostrą i bratem.
I chcę jeszcze powiedzieć, że wielkie to szczęście,
że jestem właśnie od was... waszym kandydatem..."

Nie było braw. I gdy tak w ciszy robociarze
jak gdyby rozważali historii wyroki —
skądś wdarł się w duszną halę, otarł z potu twarze
rwący na przełaj wicher zwycięskiej epoki!

Takich nie wybieramy

WAŻNIAK



rys. K. Ferster

— Nie, proszę pani, ja tego nie załatwię. To w ogóle jakieś nieporozumienie, że pani tu weszła. I jeśli to pani nie sprawia różnicy, to proszę mnie jednak tytułować. Nie chodzi tu o moją osobę, ale o prestiż urzędu, który reprezentuję. Pani tu weszła wyłącznie przez niedopatrzenie mojej sekretarki. Tak się dzieje, gdy kobiety są sekretarkami. Wiecznie myślą tylko o randkach i stylonach. Albo rodzą i nigdy ich w biurach nie ma. Nie znoszę kobiet sekretarek i kelnerek. Jak mi nie przydzielą sekretarza, to naprawdę zrobię skandal, chociaż bardzo tego nie lubię. Ja jestem w końcu pracownikiem odpowiedzialnym.

— Nie, proszę pani, ja drobiazgami nie mam czasu się zajmować. Musi Pani zrozumieć, że ja rozpatruję sprawy tylko w skali centralnej.

Co, znowu dzwonią? Tak, to ja. Co, odmawiacie? Mnie odmawiacie? A jak wy sobie właściwie wyobrażacie? Jak ja mogę bez telefonu rządowego w ogóle urzędować? Czy wy nie wiecie, jakie sprawy ja załatwiam? No zresztą dobrze. Ja to poruszę, gdzie należy. Cześć.

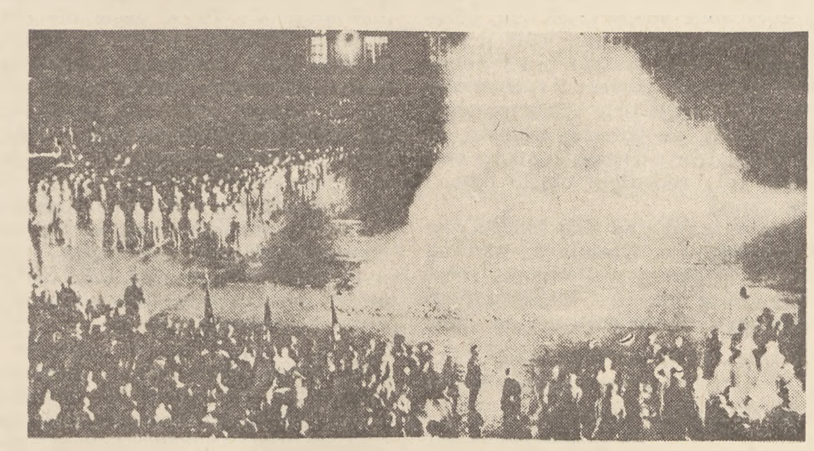
Dlaczego Pani wchodzi bez pukania? To ma być sekretarka? — Nie. Ja tego nie podpiszę. To jest jakaś błaha sprawa. Niech załatwi Miziński. I proszę na przyszłość nie zawracać mi głowy głupstwami. I jeszcze jedno... na marginesie. Czemu Pani, panno Geniu, nie ukłoniła mi się dzisiaj. Myśmy się przecież już na korytarzu rano spotkali. Nie idzie o mnie, panno Geniu. Ja wiem, że kobietom należy się kłaniać. Idzie o prestiż stanowiska, które zajmuję. Tak. A teraz nikogo więcej nie przyjmuję.

— O czym to mówiliśmy. Acha. Więc widzi pani, powinna pani mnie zrozumieć. Trzeba się wczuć w czyjąś sytuację. Taki odcinek jak mój jest tylko jeden w całym resorcie. I na ten odcinek wyznaczyli właśnie mnie. Ja tu się męczę, bo muszę rozwiązywać wielkie problemy w olbrzymim zakresie w skali centralnej. A pani przychodzi z takimi drobnostkami. Bardzo panią proszę, żeby pani więcej nie przychodziła i nie dzwoniła ani do biura, ani do domu. Ładnie ja bym wyglądał, gdybym się wszystkim zajmował. Że co? Więc co z tego, proszę pani, że tu idzie o ludzkie życie? Życie jednego człowieka to nie sprawa w skali ogólnokrajowej. Gdyby tak epidemia, masowa katastrofa — to rozumiem, to proszę do mnie...

Krystyna Żywulska

STEFAN ARSKI

ZAPŁONĄŁ STOS W SEPULPA



Niemcy w roku 1933

Zapewne niewielu z nas pamięta datę 10 maja 1933 roku. To niedobrze. W swoim czasie wypadki tego dnia mocno wstrząsnęły ludźmi. Ale to, co nastąpiło później, bardzo przytępiło ludzką wrażliwość. A kiedy przyszedł dzień 9 maja 1945 roku i wraz z drugą wojną światową skończyła się Trzecia Rzesza, ludzie uznali, że mają prawo zapomnieć. Optymizm, acz zrozumiały, był jednak nieusprawiedliwiony. Więc przypomnijmy datę 10 maja 1933 r. i wydarzenia z nią związane. Nie z zamiłowania do historycznych wspomnień, lecz dla obudzenia czujności.

10 maja 1933 roku na ulicach miast niemieckich zapłonęły stosy. W Berlinie, na placu przed operą, naprzeciwko uniwersytetu, w Monachium, Dreźnie, Frankfurcie nad Menem, Duesseldorffie i gdzie indziej palono książki. Zwożone z bibliotek, instytutów naukowych, uczelni, szkół, prywatnych i publicznych księgozbiorów tomy literatury naukowej, społecznej, politycznej, powieściowej szły w ogień. W Berlinie asystował przy obrzędzie sam Goebbels, gdzie indziej miejscowi gauleiterzy. Hitlerowcy zaczynali porządkować niemiecką kulturę. Dziennik „Berliner Lokal Anzeiger" pisał: „Nie jesteśmy, nie chcemy byc krajem Goethego ani Einsteina. Tego właśnie najbardziej nie chcemy!" Goethe i Einstein zostali zatem wygnańcami. Pierwszy nie żył już od dawna, został więc tylko wygnany duchowo. Drugi — fizycznie.

W maju 1945 roku przyszli do Niemiec żołnierze kraju, który przejął spuściznę wszystkich Goethe'ów świata. Nosili w tornistrach tomiki wierszy Goethego. W Weimarze, gdy tylko uporali się z niedobitkami Wehrmachtu, pośpieszyli natychmiast na grób poety i złożyli tam wieniec. Znaczyło to, że odszedł Hitler a wrócił Goethe.

Einstein poszukał sobie schronienia w Ameryce. Musiał być chyba bardzo poruszony, gdy 12 lutego 1952 r. przeczytał w porannych dziennikach depeszę „United Press". Pochodziła z niewielkiej mieściny Sepulpa w stanie Oklahoma i brzmiała:

„Sepulpa, Oklahoma, 11 lutego (UP) — Charles Hartman, wiceprzewodniczący wydziału oświaty w Sepulpa, oświadczył dziś, że niektóre książki z biblioteki szkolnej w Sepulpa zostały spalone przez władze szkolne. Książki te spotkały się uprzednio z krytyką jednej z miejscowych organizacji kobiecych za niewłaściwe ujmowanie socjalizmu i zagadnień seksualnych..."

Datę 11 lutego 1952 roku należy zapisać obok daty 10 maja 1933 roku i równie dobrze zapamiętać. Palenie książek ma bowiem dziwne właściwości. Zazwyczaj idzie w parze z paleniem ludzi. Przekonaliśmy się o tej zbieżności już parę razy. Najpierw w czasach Świętej Inkwizycji. Potem za czasów Trzeciej Rzeszy. Czyżby zanosiło się na coś podobnego po raz trzeci? Niestety, wygląda na to. Pierwsze oznaki już są. Kiedy w Sepulpa podpalono książki, w Korei właśnie zaczęto polewać żywych ludzi napalmem. To taka amerykańska odmiana ognia w galarecie. Jeszcze nie stosowana w samych USA. Tymczasem tylko na eksport...

Tę zbieżność złych losów książek i ludzi można w pewien sposób wytłumaczyć. Ci, którzy podpalają stosy, z reguły nie czytają. Są natomiast opętani żądzą zniszczenia i głęboką pogardą dla tworów ludzkiego ducha. Palą więc książki, a gdy tylko mogą, zaczynają palić autorów. Potem zaś — czytelników.

Atak na książkę i pisarza, tak samo zresztą jak atak na radio, telewizję, teatr i wszystkie w ogóle dziedziny twórczości, rozwija reakcja amerykańska pod hasłem „obrony prawdziwego amerykanizmu" i „walki z czerwonym niebezpieczeństwem". Hasła dostatecznie mętne i niesprecyzowane, by pod ich osłoną można uderzyć każdego, kto nie podporządkował się bez zastrzeżeń naciskowi faszyzmu. Dlatego też ostrze uderzenia kieruje się nie tylko przeciwko pisarzom o obliczu wyraźnie postępowym, radykalnym, komunistycznym, lecz także przeciwko wszelkim odcieniom liberalizmu, przeciwko każdemu, kto z pozycji obrony mieszczańskiej demokracji próbuje w najłagodniejszej nawet formie wyrazić swój krytyczny stosunek do obecnej rzeczywistości amerykańskiej. A nawet przeciwko tym, którzy zastraszeni milczą, lecz mogą być podejrzani, że w duchu nie podzielają panującego kursu politycznego.

Toteż całe życie kulturalne Stanów Zjednoczonych dusi się dziś w atmosferze brutalnego terroru moralnego i fizycznego.

Uderzenie reakcji amerykańskiej na odcinku kulturalnym rozwija się dwutorowo. Z jednej strony atak prowadzą czynniki publiczne: Komisja Badania Działalności Anty-Amerykańskiej, FBI, policja, sądy, administracja federalna, stanowa i lokalna, z drugiej zaś — dziesiątki organizacji faszystowskich w rodzaju „Legionu Amerykańskiego", Ku Klux Klanu, „Cór Rewolucji Amerykańskiej" i „Matek Wojennych", samozwańczych „komitetów obywatelskich", „straży czujności" (Vigilantes) etc, etc. Obie linie ataku zbiegają się i uzupełniają nawzajem.

W dodatku na akcji tej żerować poczęły elementy wyraźnie kryminalne, które, stosując zapożyczone od świata gangsterskiego metody szantażu, uczyniły sobie z terroru politycznego niezłe źródło dochodów. Wszystko to razem składa się na ów koszmar, dławiący pisarza, artystę i twórcę amerykańskiego.

Zaczęło się od wielkiej „czystki" księgozbiorów pod hasłem tropienia literatury „nieprawomyślnej", „nieamerykańskiej", „niemoralnej". Pojęcie to jest niezwykle elastyczne Obejmuje oczywiście dzieła Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina, dzieła amerykańskich pisarzy socjalistycznych i komunistycznych. Ale obejmuje także najbardziej niewinne politycznie książki, które organizatorom tej kampanii wydały się „podejrzane". Roli cenzorów, sędziów i kontrolerów podejmują się z reguły półanalfabeci i ćwierćinteligenci z szeregów organizacji faszystowskich, ludzie, którzy sami nigdy nic nie czytali.

Ofiarą „czystki" padają więc często książki i autorzy nie mający nic wspólnego z radykalizmem społecznym. Według informacji tygodnika „Nation", analiza tej akcji, przeprowadzona przez krytyka literackiego Beniamina Fine ujawniła, iż „najwybitniejsi pedagodzy amerykańscy są ogarnięci przerażeniem z powodu zasięgu ataków, skierowanych w ostatnich miesiącach przeciwko książce amerykańskiej. W wielu okolicach kraju powstały samozwańcze komitety, które cenzurują książki używane w szkołach i wyższych uczelniach, oraz rewidują istniejące księgozbiory. Celem tej akcji jest wyeliminowanie z obiegu książek autorów, podejrzanych o wywrotowe poglądy. Książki, które zyskały sobie od dawna prawo obywatelstwa, są nagle potępiane przez osoby całkowicie niepowołane i nieodpowiedzialne. Bibliotekarze żyją pod terrorem. Wydarzenia takie, jak palenie książek w Sepulpa, są na razie rzadkie. Ale wynik akcji jest zawsze taki sam: wartościowe książki są usuwane ze szkół i bibliotek".

Działalność owych „komitetów" przybiera najrozmaitsze formy. Ale rozmaitość metod nie wpływa na charakter i cel akcji. Jak informuje cytowany tygodnik, w Worcester akcja zaczęła się od ogłoszenia w miejscowym dzienniku listu otwartego, atakującego dyrektora tamtejszej biblioteki za przechowywanie „wywrotowej literatury". Inwentarz biblioteki nie zawierał ani jednej pozycji, która miałaby choć cień powinowactwa z radykalizmem społecznym. Okazało się, że inicjatorom kampanii chodzi o książki tak niewinne, jak dzieło Jamesa Rorty, zawierające akcenty krytyczne pod adresem bezceremonialnych metod amerykańskich reklamy handlowej. Uznano to za podkopywanie zaufania do ustroju, „wolnej przedsiębiorczości".

W Scarsdale pod Nowym Jorkiem samozwańczy „Komitet Dziesięciu" dobrał się tak gruntownie do miejscowej biblioteki, że usunął z niej.. antologie współczesnej poezji amerykańskiej i brytyjskiej. W Cleveland rozhisteryzowane uczestniczki zjazdu „Matek Wojennych" uchwaliły rezolucję, żądającą przetrząśnięcia wszystkich bibliotek, księgarń, szkół i redakcji celem przeprowadzenia w nich czystki i usunięcia wszelkiej „literatury wywrotowej".

Oddziały Legionu Amerykańskiego we wszystkich stanach podjęły już odpowiednie kroki, by tę czystkę przeprowadzić.

W panującym klimacie terroru i prześladowań — akcja ta wywołała popłoch wśród dyrektorów bibliotek, radnych i burmistrzów miast, kierowników szkół itp. Wyprzedzając wkroczenie organizacji faszystowskich, pod naciskiem napływających z całego kraju wieści o toczącej się kampanii — przystąpili oni na własną rękę do przeprowadzenia czystki. W Burbank, w Kalifornii, zastosowano przy tym bardzo oryginalne kryteria oceniania książek. Za „wywrotowe" uznano dzieła tych wszystkich autorów, którzy podejrzani są o obecną lub dawną przynależność do którejkolwiek z organizacji, wymienionej na liście „organizacji wywrotowych" sporządzonej przez Prokuratora Generalnego. Ponieważ lista ta obejmuje setki organizacji zupełnie dowolnie wybranych przez prokuratora i częstokroć nie mających nic wspólnego z radykalizmem społecznym, i ponieważ niesposób ustalić, który z autorów kiedykolwiek do takiej organizacji należał — przeto kryterium cenzorów z Burbank doprowadziło do straszliwego przetrzebienia biblioteki.

W Los Angeles samozwańczy „komitet obywatelski" ogłosił apel publiczny, że potrzeba mu 75 osób, gotowych podjąć się misji skontrolowania wszystkich książek, znajdujących się w tamtejszych bibliotekach szkolnych. Oznaczało to kontrolę około 600 000 tytułów. Zgłosiło się jednak tylko 12 starych panien o bardzo słabej znajomości sztuki czytania. Zadanie okazało się ponad ich siły i akcję chwilowo zawieszono. Ale tylko chwilowo i tylko w Los Angeles. Gdzie indziej trwa ona nadal.

Gdy czystka w bibliotekach nabrała już odpowiedniego zasięgu i rozmachu, nastąpiło kolejne uderzenie — tym razem w księgarzy. Akcję zapoczątkował artykuł Ireny Corbally Kuhn w „The American Legion Magazine" ze stycznia 1951 roku. Autorka oskarżyła personel księgarń amerykańskich o „sympatie komunistyczne", wyrażające się w podsuwaniu nabywcom „antyamerykańskiej lektury" przy równoczesnym zniechęcaniu ich do kupowania książek stuprocentowo amerykańskich". Artykuł ten był sygnałem do koncentrycznego ataku na księgarzy. Organizacje faszystowskie poleciły swym członkom rozesłanie tysięcy listów do gazet i radia, wymieniających nazwy i adresy księgarń, które rzekomo kolportują „wywrotową literaturę". Bojówki faszystowskie zaczęły nachodzić te księgarnie. Mnożyły się listy z pogróżkami i telefoniczne ostrzeżenia. Akcja podziałała. Zastraszeni księgarze, mając w dodatku przed oczyma widmo dochodzeń w Komisji Badania Działalności Anty-Amerykańskiej, zaczęli na gwałt przetrząsać swe półki i magazyny, wycofując czym prędzej wszelkie „podejrzane książki", odsyłając je wydawcom lub też — dla świętego spokoju — niszcząc je na miejscu. Taki los spotkał m. in. ostatnie powieści Howarda Fasta.

Z kolei ofensywa skierowana została przeciwko wydawcom. Zaczęło się od ataku „The American Legion Magazine" na Angus Camerona, wicedyrektora i naczelnego redaktora jednej z wielkich firm wydawniczych, bardzo zresztą konserwatywnej — Little, Brown & Co w Bostonie. Cameron był obciążony grzechami nie lada. Wydał szereg powieści Howarda Fasta, ponadto zaś uczestniczył w akcji wyborczej roku 1948 jako zwolennik Partii Postępowej. Cameron uważany jest za wybitny autorytet na polu wydawniczym i firma Little, Brown & Co, nie chcąc stracić tak cennego współpracownika, próbowała wystąpić w jego obronie. Ale wtedy nastąpiło dalsze uderzenie, które sterroryzowało firmę.

W sukurs Legionowi Amerykańskiemu przyszedł tygodnik „Counterattack". Zarzucił firmie, że na liście wydawanych przez nią autorów „znajduje się 31 nazwisk jawnych lub ukrytych komunistów". Firma natychmiast skapitulowała. Cameron ustąpił ze swego stanowiska. Jak podano w komunikatach prasowych, uczynił to „na własne żądanie". „Counterattack" odniósł zwycięstwo. Jak w tysiącach innych podobnych przypadków. Jak zawsze. Dlaczego? To wymaga kilku słów wyjaśnienia.

*

W roku 1947 trzej byli agenci tajnej policji federalnej (FBI), Theodore C. Kirckpatrick, John G. Keenan i Kenneth M. Bierly oraz były oficer wywiadu amerykańskiej marynarki wojennej, Vincent W. Hartnett, założyli przedsiębiorstwo pod firmą „American Business Consultants" (Amerykańscy Doradcy Handlowi). Prospekty i ogłoszenia firmy zapowiadały dość niezwykły, jak na przedsiębiorstwo handlowe, rodzaj działalności. Firma podejmowała się bowiem „dostarczania dziennikom, czasopismom, radiu i innym instytucjom informacji o działalności wywrotowej" oraz „przeprowadzania na zlecenie przedsiębiorstw prywatnych za odpowiednią opłatą dochodzeń celem wykrycia elementów wywrotowych". Było to więc coś w rodzaju prywatnej policji politycznej, działającej w celach osobistego zysku właścicieli przedsiębiorstwa. Typowy wytwór „stuprocentowego amerykanizmu"...

Powiązania właścicieli firmy z FBI i wywiadem zapewniały im dostęp do kartotek policyjnych i wojskowych, jak również stanowiły rękojmię bezkarności dla ludzi, którzy w ciągu kilku miesięcy doprowadzili szantaż polityczny do perfekcji i zaczęli zgarniać grube tysiące dolarów ze swego brudnego procederu. Wkrótce też firma stała się postrachem całej Ameryki, i tysiące ludzi zaczęły opłacać jej haracz, jako cenę pozostawienia ich w spokoju.

W kilka miesięcy po założeniu firma zaczęła wydawać tygodnik pn. „Counterattack", wzorowany na streicherowskim „Schwarze Corps". Pismo wyspecjalizowało się w ogłaszaniu „czarnych list" osób podejrzanych o „działalność wywrotową". Tysiące ludzi, których nazwiska dostały się na łamy tygodnika, postradało natychmiast pracę. Nikt nie zadawał sobie trudu, by sprawdzić słuszność zarzutów. Wyrok redaktorów „Counterattack" był traktowany jako orzeczenie bezapelacyjne. Gdy bowiem którykolwiek z wydawców, redaktorów pism, dyrektorów wytwórni filmowych czy stacji radiowych nie usłuchał denuncjacji „Counterattack" i nie zwolnił z posady napiętnowanego pracownika — pismo natychmiast wciągało na „czarną listę" nazwisko opornego pracodawcy. Ponieważ zaś kartoteki „American Business Consultants" i czarne listy „Counterattack" stały się źródłem natchnienia dla Komisji Badania Działalności Anty-Amerykańskiej — mało kto poważył się zadrzeć z szantażystami.

Wreszcie w roku 1951 firma ogłosiła książkę pt. „Red Channels", zawierającą wykaz osób zatrudnionych w radiu, telewizji, filmie i teatrze a podejrzanych o „wywrotowość". Osoby te zostały natychmiast zwolnione z posad. Wtedy zaś wydawcy „Counterattack" i „Red Channels" powiadomili swe ofiary, że gotowi są przeprowadzić dochodzenie i ewentualnie oczyścić je z zarzutów! Oczywiście za opłatą, wahającą się od 500 do kilku tysięcy dolarów, w zależności od „wagi oskarżeń". Setki nieszczęsnych ofiar szantażu pośpieszyły ze złożeniem okupu. W zamian otrzymały „świadectwa moralności i lojalności politycznej", które jednak okazały się bezwartościowym świstkiem papieru. Osoby raz wymienione na czarnej liście są traktowane jak dotknięte trądem. Wszystkie drzwi są przed nimi zamknięte. Dobrze, jeśli ujdą łap FBI czy Komisji Badania Działalności Anty-Amerykańskiej.

Jasne jest teraz, że gdy do sprawy Camerona wmieszał się „Counterattack" — firma Little, Brown and Co skapitulowała natychmiast. Skapitulował też Związek Wydawców Amerykańskich, który w pierwszej fazie próbował stawić czoła faszystowskiemu terrorowi. Na specjalnej naradzie Związek postanowił ogłosić „Kartę Praw Wydawcy Amerykańskiego" i powołując się na Konstytucję zaprotestować publicznie przeciwko pogromowi książek. Zanim to jednak nastąpiło, Legion Amerykański wespół z „Counterattack" wystąpił z groźnym ostrzeżeniem. Równocześnie grupa reakcyjnych posłów do Kongresu z kongresmanem Dondero na czele zapowiedziała specjalne dochodzenie przeciwko „wywrotowej działalności niektórych kół wydawniczych". I istotnie, na wniosek posła Gathingsa, Izba Reprezentantów Kongresu powołała do życia specjalną komisję o niezwykle szerokich uprawnieniach, upoważnioną do przeprowadzenia dochodzeń na polu radia, telewizji, prasy, wydawnictw i filmu, celem wytropienia przejawów „nielojalności politycznej" i „niemoralności".

Wyższa izba Kongresu, Senat, utworzyła jednocześnie na wniosek sen. Mc-Carrana Komisję Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wzorowaną na Komisji Badania Działalności Anty-Amerykańskiej, która działa z ramienia Izby Reprezentantów.

W potrójnych kleszczach tych komisji, pod obuchem „prywatnej inicjatywy" organizacji faszystowskich — życie kulturalne Stanów Zjednoczonych ulega w coraz szybszym tempie całkowitej faszyzacji.

Jednym z przejawów tej faszyzacji jest historia ostatniej powieści Howarda Fasta pt. „Spartacus". Nie chciał jej wydać żaden wydawca amerykański. Autor musiał sam zająć się drukiem i kolportażem książki. Pisze o tym w posłowiu:

„Czytelników, których zdziwi brak nazwy wydawnictwa na okładce mej książki, pragnę poinformować, że została ona wydrukowana nakładem autora. Stało się to konieczne, gdy autor przekonał się, że w panującej dziś (w USA) atmosferze, żaden wydawca nie chce podjąć się ani wydania, ani rozpowszechniania książki. Publikację utworu umożliwiły mi setki czytelników, którzy zaufali autorowi i zapłacili za książkę, zanim się jeszcze ukazała.

Autor pragnie tym czytelnikom podziękować z całego serca. Jest również wdzięczny ludziom, którzy pomogli mu opracować i zadiustować manuskrypt, jak i tym, którzy przygotowali makietę książki i pomagali przy jej druku. Autor ma nadzieję, że w jednym z następnych wydań, gdy nadejdą czasy, kiedy ludzie ci nie będą narażeni za to na represje i prześladowania, będzie miał sposobność wymienić ich nazwiska i złożyć im publiczne podziękowanie".

Tymczasem jednak pogrom książek i pisarzy w Ameryce trwa. Płonące stosy w Sepulpa i gdzie indziej znaczą szlak pochodu amerykańskiego faszyzmu.

Trud i zaszczyt obrony pisarza i książki amerykańskiej przed stosem inkwizycyjnym faszyzmu wziął na swe barki ruch postępowy w Stanach Zjednoczonych i jego awangarda — partia komunistyczna. Wydawnictwa postępowe — tępione i prześladowane z iście hitlerowską furią — są dziś jedyną trybuną, z której niezależny pisarz i twórca może jeszcze szczerze i uczciwie przemawiać. W bibliotekach postępowych związków zawodowych, w świetlicach organizacyj robotniczych zachowały się książki, które reakcja i faszyzm amerykański skazały na stos. Robotnicy związków zawodowych w Chicago podjęli śmiało wyzwanie Komisji Badania Działalności Anty-Amerykańskiej i obstawili lokal, w którym urzędowała, gęstym kordonem pikiet. demonstrujących w obronie wolności słowa i myśli, przekonań i poglądów Ich postawa natchnęła otuchą i odwagą pisarzy i artystów, których wezwano przed oblicze inkwizycyjnego trybunału. Wielu z badanych odmówiło wtedy zeznań. Robotnicy z Chicago wskazali prześladowanym i gnębionym przedstawicielom inteligencji twórczej jedyną drogę skutecznej obrony przed faszystowskim zalewem: sojusz z ruchem robotniczym.

Na XIX Zjeździe Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego towarzysz Józef Stalin mówił:

„Dawniej burżuazja pozwalała sobie na uprawianie liberalizmu, broniła swobód burżuazyjno-demokratycznych i przez to stwarzała sobie popularność w masach. Obecnie z liberalizmu nie pozostało ani śladu. Nie ma już tzw. „wolności indywidualnej"... Sztandar swobód burżuazyjno-demokratycznych wyrzucony został za burtę. Sądzę, że sztandar ten wypadnie podnieść wam, przedstawicielom partii komunistycznych i demokratycznych, i ponieść go naprzód, jeżeli chcecie skupić przy sobie większość narodu. Nie ma poza tym nikogo, kto mógłby go podnieść".

Ta wielka prawda znajduje dziś dramatyczne potwierdzenie w tym, co dzieje się w Stanach Zjednoczonych.

Stefan Arski



U. S. A. w roku 1952

Takich nie wybieramy

„MNIE POTRZEBUJĄ"...



rys. K. Ferster

Servus. Kopę lat. Jak tam interesiki? Jeszcze w tej inicjatywie prosperujesz? No widzisz, bracie, nie darmo byliśmy zawsze kolegami. Ja w czym robię? — socrealizmie. Dobra robótka powiadam Ci. Pieniążki lecą, zamówienia się ma, Dekawkę zasuwam, czemu nie. Grunt utrzymać się na powierzchni. Bo ja jestem bracie t w ó r c a! Plakaciki robię. Pamiętasz, przecież ja zawsze rysowałem. Co mówisz, że temu wtedy nawet buzię zamalowałem? Nie bój się, nikt tego nie wie. A zresztą wtedy wielu to robiło. To był przecież 1934 rok, bracie. On zginął za Hitlera. Hitler — rozumiesz, dokończył to, co myśmy zaczęli. A teraz świadków nie ma. Nie wiedzą.

Ty się w ogóle o mnie nie martw. Możesz być spokojny. Mucha nie siądzie Żebyś Ty słyszał jak o mnie Pampulski mówi. To taki jeden ważny teraz. A pomysły bracie biorę z Comicsów A coś ty myślał? Tu zetnę, tam dorysuję, gdzie indziej dolepię — forsa leci — a ja jestem rozumiesz bracie — na linii I myślisz może, że mi coś odrzucają. Ja nie taki głupi Ja też jestem w Komisjach. I jak oni mnie.. Mucha nie siądzie.

A jak do Krynicy przyjeżdżam to tylko odznaczenie pokazuję i tam bracie w domu Zdrojowym mieszkam z prysznicem i bidetem w pokoju. Wiadomo. Twórca!

Żonę? Owszem mam, dzieci także, a jakże. I kociak jest nie lichy. Każda ze mną wiesz chętnie, bo i forsunia... i dobrze widziany... i artystą bądź co bądź się jest...

Dzisiaj mam strasznego katza. Do rana była rozróbka w „Symfonicznej". Ale trzeba było ten projekcik kolektywnie zatwierdzić. No i znów widzisz kilka groszy kapnie.

Tu się twórców ceni. To trzeba im przyznać. Jak tylko kto jakie zdolności ma, obchodzą się z nim jak z miękkim jajkiem. Nic mi bracie nie grozi. Tylko te „nowe kadry" troszkę mnie niepokoją. Po co zaraz tylu ma się uczyć? Ale możesz mi wierzyć, że ja robię co mogę, żeby tym smarkaczom udowodnić, że jeszcze nie dojrzali... rozumiesz Ty mnie... Że muszą przejąć ode mnie doświadczenie. I póki co, to się pływa.

Nie, bracie. O mnie bądź spokojny. Oni mnie potrzebują. Mucha nie siądzie.

Krystyna Żywulska.

ZBIGNIEW FLORCZAK I KAZIMIERZ WINKLER

DALEKIE DROGI I BLISKIE SPRAWY

Lublin, we czwartek. Około drugiej mam wziąć autobus z placu za Krakowską Bramą i zrobić tym środkiem lokomocji 90 km. w kierunku Radzynia Podlaskiego, do wsi Suchowola. Przedpołudnie użytkuję na spisanie, wyjaśnienie, obmacanie bolączek t.zw. akcji wyborczej robionej przez „ARTOS". Najprzykrzejsza rana — to brak środków transportu. „Artos" montuje programy, zbiera ekipy, wytycza trasę w głąb terenu — i czeka na wozy. Wozów nie ma. Jedyny Ford stanowiący własność delegatury lubelskiej nie wydoła potrzebom pięciu ekip. Tym bardziej, że co trzeci dzień musi leczyć w garażu swoją nieuleczalną starość.



rys. Zbigniew Florczak

W K.W. Frontu Narodowego referent wydłuża pesymistycznie wargi: — Skąd wziąć tyle wozów? Instytucje mają swoje plany usługowe, bliższa koszula ciału. Widzicie, województwo lubelskie to ciężkie województwo. Zła komunikacja, mało sprzętu w stosunku do rozciągłości terenu.

W K.W. Partii mówią mi: — Idźcie do Wydziału Komunikacji Prezydium Rady Narodowej. Na pewno robią co mogą, ale spróbujcie ich przycisnąć.

W Prezydium: — Robi się, co można. Ale... akcja zbożowa, kartoflana, buraczana! A kino! Masówki i imprezy amatorskie! Imprezy sportowe... Wszystko to trzeba przewieźć. Samochód, to naczynie krwionośne tego kraju. On transmituje dalszy ciąg życia. Ciekawość, nowość, siłę wynikającą z ciekawości, radość.

...Tych ostatnich porównań nie czynił referent z Prezydium. To ja je robiłem w ramach, że tak powiem, swojej prywatnej zadumy. Ocknąłem się w porę, żeby usłyszeć słowa urzędnika: — Ale, rzecz jasna, wozy będą. Weźmiemy choćby z taśmy, z fabryki samochodów.

— Nie zapomnijcie o naszej akcji. Żebyście wiedzieli, w jakich warunkach nasi artyści...

— Naturalnie. Wiem, wiem.

Przypuszczalnie nic nie wiedział przy najlepszych swoich chęciach. Szkoda, że go nie zabrałem z sobą.

Jak dobrze, że już deszcz nie leje. Za Krakowską Bramą, w rzędzie innych warczących, zgrzyźliwych maszyn — jest i mój autobus. Boże, co za brzydka, kanciasta i umorusana buda! Jak głosi napis wymalowany na jej rudym boku — należy do Spółdzielni Komunikacyjno - Warsztatowej. Kursuje bez pardonu po kałużach i wybojach najdalszych wiosek lubelskich, tam, dokąd schludne olbrzymy P.K.S.-u nie mają ochoty zaglądać. Jadąc w stronę Suchowoli pozwalałem sobie na kpinki z tej zajeżdżonej szkapy spalinowej; w drodze powrotnej myślałem o niej z sentymentem i szacunkiem.

Mijamy Lubartów. Znowu deszcz w osowiałych perełkach siada na szybie. Do diabła z tą pogodą! Fiat rzęzi, pod górę zmienia oddech, czasami wolno i rozważnie kołysze się w biodrach, co nieomylnie wróży, że zaraz dwukrotnie, albo trzykrotnie podskoczy do góry. Ale nie daje się, zjada bez soli najtwardsze kęsy tutejszej drogi. Deszcz na szybach, odrapane wnętrze wozu i rozhuśtana droga są widać koniecznymi akcesoriami przy oglądaniu lubelskiej ziemi. Bo należy sobie uświadomić, że to przedwojenna Polska C, c — klasa życia i c—klasa ludzi. A oto mijamy lasy Karczewskie. Drugi symbol ziemi rozdrapanej i spalonej przez wojnę. Tu wojna doszła do makabrycznej karykatury, czy syntezy. W lasach Karczewskich nacjonalistyczne bandy polskie wystrzeliły się nawzajem z takimiż rotami ukraińskimi, a jeśli tak wypadło— wspólnie z hitlerowcami atakowały oddziały partyzantów radzieckich. Rozdrapano pierś tej ziemi. Gdy w latach 1945 — 1946 czytało się w prasie o tysiącach rodzin mieszkających w ziemi — to głównie chodziło o chłopa lubelskiego. Jeszcze parę lat temu mijało się całe okolice, gdzie wśród kęp sadów jako jedyna architektura, jedyny sprzęt ludzki sterczały kikuty kominów. Potem wokół kominów — tym naczyniu ciepła i życia — pobudowały się lepianki okryte strzechą. Typ tego domostwa nadaje Lubelszczyźnie specyficzny charakter. Gliniane żebro— nie pasujące do reszty korpusu polskiego z betonu i cegły.

Kiedy tak lubelski horyzont przewleka się przez zapłakane okienka autobusu — raptem wszystko pokrywa olbrzymi cień. To jadą traktory, jeden, potem drugi, trzeci i czwarty. Traktor staje się w naszym piśmiennictwie słowem nazbyt symbolicznym, nazbyt usługowym. Panowie literaci spychają nań często robotę za cały cykl innych wyrazów — w ten sposób — nie zawsze robota jest zrobiona. Ale odniosłem wrażenie, że nigdy ukazanie się traktora nie zrobiło tyle alarmu w wyobraźni, co wtedy na drodze do biednej wsi Suchowola. Traktor przywiózł skrót długiej odpowiedzi.

— Tak, plucho, szarugo, lubelska biedo! Zestarzałaś się. Nie będzie już o tobie ani smętnych wierszy, ani suchotniczych statystyk. Nie dasz, ciociu, rady maszynom, drutom, książce i radiu.

Zacząłem szperać oczami wśród współpodróżnych. Ekipa estradowców jedzie gdzieś razem ze mną, tylko kto ich odróżni w tym tłumie osób najrozmaiciej, najpomysłowiej ubranych. W taką pluchę i podróż ludzie ubierają się malowniczo. Jak z tego wyłowić sylwetki naszych artystów?

Dopiero gdy w Suchowoli wylazło wprost w tamtejsze błoto trzech mężczyzn z dużymi walizami i dwie młode kobiety, które od razu zaczęły skakać po kałużach jak pasikoniki po łące — poznałem artosową wiarę. Pod jakimś okienkiem wylewającym w noc odrobinę żółtego światła obejrzeliśmy sobie twarze i podaliśmy ręce. Wszystko młode, dwudziestoparoletnie twarze. W nabrzmiałych powiekach i na policzkach znać ślady, odciski zmęczenia, ale notoryczna wesołość w kącikach oczu świeci mocniej niż ta lampa naftowa za okienkiem.

Trzeba wiedzieć, że występ odbył się na korytarzu miejscowej szkoły i przy lampach naftowych, rozwieszonych po ścianie jak świeczki na choince. Była remiza strażacka wyposażona w estradkę z kulisami, należało ją tylko uprzątnąć — jednak miejscowi organizatorzy jakoś się do tego nie dogadali, choć mieli trzy dni czasu. Ludzi dużo, około trzysta osób; napełniają cały korytarz, a nawet schody w głębi. Nauczycielka ustawiła pod ścianami dzieci ze starszych klas. Buzie już zawczasu otwarte, oczy tak błyszczą, jakby wiszące lampki tylko w tych oczach się przeglądały... Siedząc z boku raz po raz odwracałem głowę w stronę dzieciaków, bo nie było większej satysfakcji, jak widok ich zasłuchania. W ogóle satysfakcja artystów pokazujących swą sztukę w środowisku wiejskim jest chyba kompletna.

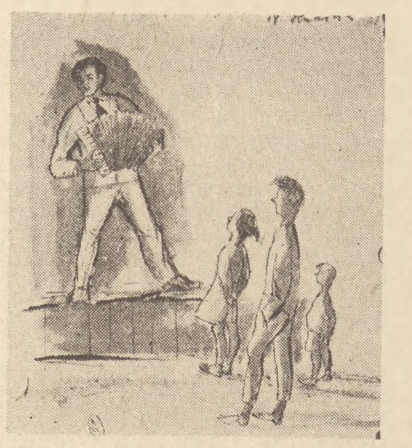
Aktorzy przebierają się w klasie i muszą wybiegać na estradę między pierwszymi widzami. Na estradę włazi się po kulawej ławce. Przy zmianie akcesoriów (choć ich tak mało: stolik, krzesła, czajnik i dwie szklanki z odrobiną kawy) konferansjer zagaduje ludzi i z nonszalancją, której nie powstydziłby się Rudzki w Syrenie, narzeka na „pewne trudności techniczne". Szczęściem, tych ludzi tutaj nie trzeba zagadywać, bo kontakt z nimi jest tak łatwy, jak podanie ręki. W żółtym świetle naftówek nastrój zaczyna płonąć. Aż przychodzi do głowy myśl całkiem absurdalna: że może by elektryczne światła normalnego teatru ostudziły ten niezwykły żar psychiczny, który czuje się wokół. Raz po raz trzepocą w powietrzu oklaski i śmiechy zrywają się z ust jak spłoszone ptactwo. Starsi nie zostają w tyle za dziećmi. Twarz gestykulującego pod żółtą lampą aktora mieni się uczuciami, które z tym momentem przestają być udane. Ten młody, skromny aktor-amator czerpie swoją artystyczną prawdę z prawdziwości atmosfery. Wreszcie musiałem wraz z publicznością wierzyć, że gra jest dobra, wzruszająca — choć moje wyuczone kryteria skłaniały do surowszego sądu.

Wsi lubelskiej na dorobku, na dorobku cywilizacyjnym i duchowym, przyniesiono emocje artystyczne i podano je w szlachetnym trudzie.

Oto kilka dni temu wracała ekipa z PGR-u w Kodeńcu. Autobus PKS-u nie wziął grupki artystów stojących na szosie. Wobec tego ruszono piechotą. Na piętnastym kilometrze ulitował się nad ekipą traktor. Wreszcie ostatni odcinek drogi zrobiono na odkrytej ciężarówce wiozącej worki ze zbożem. Traktor i worki ze zbożem pobratane ze sztuką — to nienajbrzydszy fragment tej mozaiki wiary i wysiłku, która nazywa się akcją wyborczą.

Nazajutrz pożegnałem artystów w Czemiernikach. Życzyłem im równie dobrego przyjęcia przez publiczność, co w Suchowoli, ale za to lepszego, niż tam, pod względem organizacyjnym. No i dobrej nocy — bo zapomniałem dodać, że nocleg w Suchowoli nie był przygotowany, tak jak i sala. Spało się we dwójkę na jednym łóżku, albo na słomie. Organizatorzy z Suchowoli nie rozumieją widać problemu: wielkiemu wysiłkowi należy pomóc. To wysiłek w kierunku pełniejszego życia.

Zbigniew Florczak



Około 5 rano, w świetle wysokich latarń, ulice Poznania lśniły po deszczu jak nurt strumienia. Zimny, porywisty wiatr targał flagami na wielkim placu przed Aulą Uniwersytecką. Obydwaj — kolega K. i ja — byliśmy trochę znużeni drogą, i w taksówce nie odzywaliśmy się wiele. Czekało nas kilka godzin snu w hotelu, a potem wyjazd w teren, już oddzielnie, każdy w swoją stronę, na poszukiwanie „swojej" ekipy.

„Moja" ekipa nazywa się „Na swojską nutę". Składa się z 6-u osób, artystów, z którymi dotychczas nie zetknąłem się bliżej, teraz dopiero ich poznaję. Ich samych oraz ich pracę, a raczej, co ważniejsze, bezpośredni efekt tej pracy. Poznaję, patrząc na ogół nie na małą scenkę, na której występują właśnie w programie „Na swojską nutę", ale na twarze publiczności — mieszkańców Chwalibogowa, wsi w województwie poznańskim.

Chwalibogowo to od 1949 roku Rolniczy Zespół Spółdzielczy, dysponujący 417 hektarami ziemi na 44 członków. Dziś ludzie ci przybyli z rodzinami do świetlicowej salki, by oglądać rzadkich gości, których przyjazd poprzedziły niewielkie afisze, rozlepione przed paroma dniami na murach i płotach Chwalibogowa. Jest to zespół artystów poznańskich, który jako jedno z ogniw ogólnokrajowej akcji przedwyborczej Artosu stara się dotrzeć do pozostawionych dotychczas na uboczu, najmniejszych nawet ośrodków. W pierwszym rzędzie do Spółdzielni Produkcyjnych i PGR-ów.

Stojąc z boku pod oknem, patrzę na twarze zebranych i widzę jak w lustrze to wszystko, co dzieje się jednocześnie na scenie.

Oto dwie stare wieśniaczki. Siedzą obok siebie, szerokie, poważne, w chustkach na głowie, śledzą program z uwagą, ale w ich oczach, otoczonych krętymi ścieżynkami zmarszczek, w milczących ustach wyczuwa się pewną powściągliwość, jakąś dozę rezerwy. Wydają się zbierać dopiero materiał doświadczalny, zanim ocenią krytycznie to, z czym przyjechali do ich wsi ludzie z wielkiego miasta.

Wędruję wzrokiem dalej. Tuż przy scence siedzi przewodniczący RZS-u. W nim aktorzy mają pierwszorzędnego (dosłownie, siedzi bowiem w pierwszym rzędzie) sprzymierzeńca. Ten człowiek jak czuły rezonator odpowiada natychmiast na każdy dźwięk, na każdą zmianę tonu, odczuwa bezbłędnie intencje aktora, idzie za tekstem, wyprzedza go niemal. Taki człowiek na widowni to dla aktora prawdziwy skarb.

Gdy tenor A. kołysze liryczną melodię radzieckiej pieśni „Najmilsze miasto", twarz przewodniczącego cichnie w zasłuchaniu. Ale kiedy konferansjer O. recytuje wiersz Konopnickiej „O koguciku i kurce" albo „Golono, strzyżono" Mickiewicza wąsata twarz rozjaśnia się w szerokim uśmiechu. Przewodniczący ogląda się na siedzącą obok niego rodzinę i sąsiadów i porozumiewawczo kiwa głową. Co? Przyjechali do nas z miasta. I patrzcie! Wesołe rzeczy nam tu przywieźli.

Po sali biegnie gwarna fala radości. Ten dźwięk zwielokrotnia siły małej ekipy artystów. Czasem jeszcze spotykają się oni w trakcie swojej trudnej, niemal pionierskiej pracy z obojętnością albo niezrozumieniem, czasem jeszcze miejscowe „czynniki" lekceważą ich rolę — wielkie zadanie szerzenia kultury, jakie powierzyła władza ludowa członkom wędrownej estrady.

Jeżdżą przecież w upał i mróz, grają czasem w warunkach, przy których prymityw teatru szekspirowskiego wydaje się szczytem techniki, w świetle świeczek, w stodołach albo po prostu na polu. Ekipa, o której w tej chwili piszę, a która w ramach zobowiązań dała bezinteresownie kilkadziesiąt dodatkowych koncertów, często nie czekała na publiczność, ale sama jej szukała. Gdy ludzie zajęci byli w polu, ekipa podjeżdżała samochodem na łąkę, czy między żółte snopy żyta, tam, gdzie zauważono większe skupienie pracujących, i towarzyszyła pracy rolników piosenką, tańcem i żywym słowem. Dekoracją były szumiące topole i obłoki na niebie, orkiestrą — śpiew ptaków i granie koników polnych, rolę reflektora objęło osobiście słońce.

Ale wracajmy na salę świetlicy w Chwalibogowie. Właśnie J., aktorka Teatru Polskiego w Poznaniu, recytuje wiersz M. A. Wasilewskiego „Wybory". Kiedy dochodzi do słów:

Głosuję... za radością dziecka,
za pszenicznym łanem
i za chlebem pachnącym
na rodzinnym stole...

pochyla się lekko w stronę małej, jasnowłosej dziewczynki, siedzącej w jednym z pierwszych rzędów na kolanach matki. Jest cicho. Ze sceny płyną słowa ciepłe i proste. Dziewczynka patrzy jak urzeczona na kobietę, której nigdy nie widziała, która przybyła skądś dudniącym samochodem, a teraz, pochylając głowę, spogląda z uśmiechem w jej właśnie oczy i mówi śpiewnym głosem tak, jakby mówiła tylko o niej i dla niej, małej dziewczynki z poznańskiej wsi.

Salwy braw, jakie zagrzmiały po zakończonym koncercie, miały niewątpliwie kilku adresatów. Najweselej grzmiały one oczywiście w uszach 6-ciu członków ekipy „Na swojską nutę", którzy z uśmiechem dziękowali za wszystko — za ciszę podczas śpiewu i głośny śmiech po dowcipach konferansjera, za liczne przybycie i za wyszorowaną na scence podłogę (rzadki to wypadek dbałości gospodarzy o scenę). Ale echo tych oklasków powinno dotrzeć też do kompozytorów i poetów i poderwać ich do czynu, do żarliwej twórczości dla ludzi, którzy na nią czekają i potrafią ją ocenić żywo, spontanicznie.

Tematyka „wiejska" będzie zajmowała coraz więcej miejsca w programach „Artosu". Ale w tej dziedzinie człowiek przystępujący do montażu programu natrafia na ogromny brak zasadniczych elementów składowych. O ile poszukiwania odpowiednich pieśni i piosenek współczesnych mogą się jeszcze zakończyć pomyślnie, to problem skeczu, recytacji czy monologu jest na razie zagadnieniem kompletnie nierozwiązanym. Tu w ogóle nie ma wyboru. Nieliczne pozycje, z jakich w tej chwili korzysta wędrowna estrada, nasuwają szereg wątpliwości, a nowego materiału po prostu nie widać, bo te numery „wiejskie", jakie spotkać można czasem w teatrach, np. w Syrenie czy u Satyryków, nie są oczywiście przeznaczone dla publiczności wiejskiej, ale wprost przeciwnie. Nastawienie przez jak najliczniejszych pisarzy swej twórczości na kierunek — estrada dla wsi — jest nakazem chwili.

W kilka dni później szedłem przez Plac Bohaterów Stalingradu w Zielonej Górze. Śpieszyłem się na ostatnią próbę zespołu, który następnego dnia miał wyruszyć w teren z programem „U nas od lat 18 tu". Nie jest to, jakby się mogło niektórym wydawać, aluzja do granicy wieku, dla którego program jest dozwolony. Program dozwolony jest nawet dla najmłodszych. To tylko znak, że jesteśmy w okresie przedwyborczym, żyjemy wyborami i będziemy głosować wszyscy od lat 18 Taki jest sens tytułu programu zielonogórskiej ekipy.

Jedną część rynku w Zielonej Górze odgradza płot. Jeszcze chyba w zeszłym roku widziałem w tym zakątku czarne szkielety wypalonych kamieniczek. Zielona Góra, góra zielona. Obraz tego miasta kojarzy mi się zawsze z całą tęczą kolorów — z soczystą zielenią drzew i morską zielenią miedzianego dachu Ratusza, siwo-granatowymi kiściami winogron na podmiejskich stokach, z purpurą dachówek wreszcie.



rys. Kazimierz Winkler

Dziś zobaczyłem nowy kolor. Czerwień. Za przegrodą rumieniły się nową cegłą odbudowane kamieniczki. Tu, na Ziemiach Odzyskanych to szczególnie radosny obraz. Stały szerokim frontem, mocne, nowe, młode. Pomyślałem sobie wtedy: przecież w każdej chwili, jak Polska długa i szeroka, jesteśmy na wielkim wiecu przedwyborczym. A oto najmocniejsze argumenty: te domy i ci ludzie, którzy je budują w trudzie codziennego dnia, i te głośniki, grające w parku spółdzielni produkcyjnej w Chwalibogowie, i zachwycone oczy dziecka, dla którego budujemy domy, piszemy wiersze, uprawiamy zielonogórskie winnice.

Kazimierz Winkler

Takich nie wybieramy

SEKCIARA



rys. K. Ferster

— Tak. Jestem przy telefonie. Dlaczego jej nie przyjęłam do pracy? Nie. Specjalnych zastrzeżeń nie miałam, ale mnie wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć czy ktoś się do nas nadaje. Jak tylko weszła wydała mi się podejrzana i od razu wyczułam w niej obcość ideologiczną. Z czego? No ta uroda wiecie i ten chód... bardzo mi się nie podobały.

Co Wy mówicie, towarzyszu, ja doskonale wiem, że nie wszystkie mogły być w S.D.K.P. i L-u, zwłaszcza taka, która ma 20 lat. Ale ona miała proszę Was podejrzane ruchy, bluzkę z ciuchów amerykańskich, kapelusz na bakier... i w ogóle.

Ależ czemu Wy tak dziwnie stawiacie sprawę. Czy ja mówię, że kapelusz decyduje o politycznym nastawieniu? Tylko zapominacie, że ja muszę być czujna. I to wcale nie jest takie głupie pytanie jak Wam się wydaje, co robił jej drugi ojczym przed pierwszą wojną światową. Mylicie się.

Co? Ja nie dopuszczam młodych sił? Tu się dopiero mylicie. Ja bym od razu dopuściła każdą młodą siłę. Byleby był nasz. Co to znaczy nasz? Proszę Was ona miała wyraźnie złe pochodzenie. Żebyście słyszeli, jak ona mówi co chwila „przepraszam", „dziękuję". Ona jest naprawdę denerwująca w tym swoim dobrym wychowaniu. Co mówicie, że pochodzenie proletariackie? No to co z tego. Miczurin powiedział, że pochodzenia się nie dziedziczy. Tylko środowisko jest ważne. A taka ładna dziewczyna na pewno miała złe środowisko. Już ja Wam to mówię. Wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć.

A zresztą nie martwcie się. Ona się sama przyznała, że w 1946 roku nie należała do Z.M.P., ani nawet nie myślała o tym żeby wstąpić. Że co? Z.M.P. jeszcze nie było? Jak kto chciał, to mógł zawczasu przewidzieć? Że miała wtedy 12 lat? No to co? Zapewniam Was, że w innych sprawach już wtedy swój rozum miała i była na nie dość rozwinięta. Bądźcie spokojni, ja mam oko na te rzeczy. Mnie wystarczy spojrzeć. Taka nie zginie. Czy ja ją obrażam? To Wy mnie obrażacie bez przerwy. A swoją drogą Wasza opieka nad tą dziewczyną jest bardzo podejrzana, towarzyszu. Jakoś w sprawie tych brzydkich nigdy nie interweniowaliście. Że co? Że sekciara personalna? No to wiedzcie, że nie mogę jej przyjąć. Teraz po tej rozmowie na pewno nie!

Krystyna Żywulska

„Dziennik" Jana Szembeka (IV)

SZEMBEK ARANŻUJE SPOTKANIE LAVALA Z GOERINGIEM

Gdy przybyłem do pałacu „Pod Baranami", Artur Potocki powiedział mi, że Laval przyjechał już z Hotelu Francuskiego i znajduje się w pałacu, na 1-ym piętrze. Tymczasem Goering jest tu również na parterze, i spotkanie mogłoby zaraz nastąpić. Powiedziałem, że należy zaproponować spotkanie Lavalowi; w parę minut potem Potocki zszedł z góry w towarzystwie Lavala i powiedział mi, że minister francuski zgadza się na rozmowę z Goeringiem.

Wybieramy na miejsce spotkania mały salonik; pani Potocka, Artur Potocki i ja wychodzimy, pozostawiając dwóch ministrów samych. Opuszczam następnie pałac „Pod Baranami" i jadę na dworzec zawiadomić Becka, że Laval i Goering się spotkali.

„NIEMCY SĄ SZCZERZY" — MÓWI LAVAL

Przed kolacją mogłem zamienić z Lavalem tylko parę słów, zapytałem go, przede wszytskim, o wrażenie ze spotkania z Goeringiem. Powiedział mi, że omówili pokrótce główne sprawy francusko - niemieckie, i mimo że rozmowa nie przyniosła ważnych wyników, to jednak otworzyła drogę na przyszłość, do dalszych spotkań. Dodał, że Goering wywarł na nim dobre wrażenie.

Po kolacji wdałem się w długą rozmowę z Lavalem. Stwierdził on, że *Goering zapewniał go o pokojowych intencjach Niemiec w sposób b. szczery*, i wyraził opinię, że między Francją i Niemcami nie ma powodu do sporów, bo III Rzesza nie zgłasza żadnych pretensji wobec Alzacji i Lotaryngii.

MOLTKE: „LAVAL POMÓGŁ NAM PRZY PRZEJĘCIU SAARY"

23 maj 1935.

Rozmowa z Moltke'm.

Zaczynamy od mowy Hitlera 21 maja 1935. Podkreślam w pierwszym rzędzie dobre wrażenie, jakie wywarł fragment tyczący pokojowej polityki 3-ej Rzeszy, następnie tę część przemówienia, gdzie Hitler przeciwstawił doktrynę narodowo-socjalistyczną bolszewizmowi. Zanim powiedziałem coś o słowach Hitlera tyczących Polski, Moltke przerwał: „A deklaracja o Polsce, myślę, że jesteście z tego zadowoleni". Potwierdziłem.

Rozmawiamy następnie o spotkaniu Goeringa z Lavalem. Powtórzyłem Moltkemu, co Laval mówił mi 18-ego, gdy opowiadał o swoim wpływie pojednawczym, na korzyść Niemiec, w okresie gdy załatwiano sprawę Saary. „Tak, to prawda, trzeba to przyznać" — mówi mi Moltke.

(Zagłębie Saary, bogaty teren górniczy, na podstawie decyzji traktatu wersalskiego pozostawał pod zarządem Francji na lat 10, po czym w Saarze miał być przeprowadzony plebiscyt. Francuzi usiłowali nie dopuścić do plebiscytu, który jednak się odbył, głównie pod naciskiem Anglii, lękającej się wzrostu potęgi Francji; w jego rezultacie Saara przypadła Niemcom. Laval był wtedy rzecznikiem plebiscytu. — Przyp. nasz.).

FRANCISZEK KOJ

PRAWDZIWE OPOWIADANIE

W życiu moim doczekałem się widzieć taką Polskę, o jakiej marzył mój ojciec na obczyźnie, tam daleko we Francji, dokąd w 1924 r. musiał z całą rodziną wyjechać w bydlęcych wagonach. Musiał ciężko pracować w wąskich żyłach węgla kopalni francuskiej na „Nordzie" i zginać się w zawaliskach, pod niskimi stropami wąskich chodników, w których wiecznie śmierdziało pleśnią i gazami...

Po paru miesiącach pracy ojciec mój przeklinał ciężko zapracowane franki. Rozgoryczony wymawianiem mu chleba przez nieuświadomionych niektórych górników Francuzów — postanowił pieszo wracać na swój ukochany Śląsk. Były to jednak tylko słowa wypowiadane w największej rozterce i upadku duchowym.

Koledzy ojca wstrzymywali, i moja matka na razie nie pragnęła wracać, bo pieszo to na nic wychodziło...

Ojciec pozostał i z dnia na dzień, z miesiąca na miesiąc, z roku na rok, wlokła się droga jedna i ta sama — do kopalni i z kopalni do domu. Ojciec powoli zapominał o swojej ojczyźnie, w której walczył w trzech powstaniach o wyzwolenie Śląska i przyłączenie go do macierzy — do Polski — po 150-letniej niewoli w obcych łapach. Korfanciarze współpracowali i żyli wspólnie z kułakami, z bankierami, a ojca — wypędzili tam na zachód — to znaczy sprzedali go wraz z innymi towarzyszami niedoli kapitalistom — bankierom francuskim.

Piętnaście lat miałem, kiedy już sam, bez rodzinnej opieki, błądziłem po całym „Nordzie" i „Pas de Calais" żeby zarobić na życie (a zacząłem już pracę fizyczną w kopalni od 13-tego roku życia...). Popracowałem tu dwa miesiące, tu rok, gdzie indziej znowu trzy za kelnera, to zaś drugie trzy lata za elektromontera. Tak to było — pracowało się, gdzie się dało Człowiek trzymał się tej roboty jak tonący brzytwy, bo przecież jak zbywali z kopalń czy z fabryk na bezrobocie, to zawsze naprzód wyrzucali na ulicę Polaków — obcokrajowców. Niejedni w 1931-1936 z głodu umierali po lichych kwaterach i po wilgotnych i spleśniałych norach. Takie to już było życie tułacze Polaków, podczas gdy inni tonęli w złocie i — w błocie...

*

Rok 1939 był dla mnie niebem i piekłem. Niebem, bo w maju ożeniłem się (miałem wtedy lat 24, a moja żona 15 i pół) i rok ten przeklęty był piekłem, bo w listopadzie powołany do wojska gen. Sikorskiego szkoliłem się w kompanii łączności w Coetquidanie (Bretania). Jako telefonistę przydzielono mnie do II pół-brygady „Podhalanów". Wyjechaliśmy do Norwegii na samą północ Skandynawii, gdzie spędziliśmy cały miesiąc białych nocy — maj 1940 r., na polach bitewnych. Niemcom hitlerowskim odebraliśmy Narwik (na trzy dni), a zaraz potem wojska angielskie i norweskie uciekły w popłochu do Anglii. My, polski i francuski legion, wstrzymaliśmy ogólną hitlerowską ofensywę... Zdołaliśmy (nie wszyscy — zaledwie 6.000) wrócić z powrotem do Brest. (ja byłem na pokładzie „Sobieskiego", z którego patrzyłem na czarno-brudno-siwe północne wysokie morze.

Po przybyciu do Francji siadamy do pociągu, który nas prowadzi w stronę St. Michel i Mont Dol. Brytyjczycy dywizjonami na ciężarowych i lekkich samochodach uciekali z frontów francuskich, pakowali się na pokłady okrętów, które ich wiozły na ich „wyspę". My znowu szli na front Bretoński (Mont-Dol i Dol de Bretagne) chronić dalej tyły uciekających „aliantów".

Jednak hitlerowcy zabrali mnie do niewoli... tam byłem — bity, pracowałem, głodowałem pięć długich lat... W pięknym maju 1945 r. w przepięknym i wspaniale górzystym „Steimarku" (Stiria — Austria) zostałem oswobodzony przez żołnierzy Armii Czerwonej.

Wróciłem do Francji na wpół martwy, wyniszczony fizycznie, moralnie i materialnie. W domu nie zastaję mojej żony, bo była na robotach w Niemczech i prawdopodobnie została zabita w Dreźnie, na wiosnę 1945 r. podczas piekielnych tam dni i nocy borbardowań przez „fortece amerykańskie" Pozostał mi tylko 5-letni synek, którego widywałem bardzo rzadko. Po rocznym, co wieczór, słuchaniu radia oboje razem — on na moich kolanach siedzący pytał po francusku: Dis, papa, alle riendras maman? Elle vie n'est-ce pas? (mów tatusiu — przyjedzie mamusia? Ona żyje, nieprawdaż?). Odpowiadałem mu: (i nie wiem czy kłamałem?)— Tak, żyje mamusia i przyjedzie...

Przyjechaliśmy z synem do kraju w 1946 r. 22 sierpnia. Zabrałem z sobą i mojego teścia już siwego i teściową. Stary był dobrym komunistą i pragnął tylko w Polsce być pochowany

Mimo tylu nieszczęść w moim młodym życiu i mimo tylu wypadków duchowych jak i wyniszczenia fizycznego witam ze łzami w oczach mój ukochany Śląsk, mój piękny kraj, nie widziany 22 lata.

Już wtedy przewidziałem, że zwyciężymy my, komuniści, że zbudujemy piękną, wspaniałą i potężną socjalistyczną Polskę. Kiedy dojeżdżaliśmy naszym umajonym, uzielenionym i uchorągwionym białym i czerwonym pociągiem do „Karbiu" (koło Bytomia) orkiestra górnicza ubrana w czarno-ozłocone mundury z białymi i czarnymi pióropuszami zagrała nam „Jeszcze Polska..." Staliśmy na baczność w jadących pootwieranych na oścież wagonach...

Kiedyśmy wyskakiwali z wagonów i witali się z miejscową ludnością, orkiestra zagrała „Międzynarodówkę". Wokoło trybuny ustawiliśmy się — sztandary powiewały nam nad głowami. Na trybunie stał i przemawiał do nas przedstawiciel Polskiej Partii Robotniczej. Teść ze łzami w oczach łykał słowa mówcy i głaskał białą czuprynę mego wesołego syna, który patrzał to na mówcę, to na teścia i zaś na mnie. Obróciłem się i zobaczyłem, że wszyscy: młodzi i starzy są wzruszeni a dużo, przeważnie ci, którzy się tu wrodzili mają w oczach łzy... Łzy szczęścia, wiary i wreszcie tego uczucia, że się jest w kraju na polskiej ziemi...

Dzisiaj — cóż mogę więcej od innych powiedzieć, czy napisać? Wiem, że są u nas miliony ludzi, którzy dobrze widzą swoje szczęście i co wokoło nich wszystkiego pięknego, wspaniałego i wesołego rośnie. Wiem, że u nas jeszcze są niestety tacy nie-ludzie, którzy nie chcą tego wszystkiego prawdziwego widzieć. Radzę im: niechaj przyłożą ucho do ziemi, a usłyszą ciosy w węglu naszych górników. Niechaj spojrzą, jak dokoła dymią bez ustanku kominy naszych coraz nowszych hut — tego wszystkiego co nasze, wspólne. Bez różnicy gdzie się kto urodził, czy to w Polsce, lub Francji. Wszyscy jesteśmy obywatelami, patriotami na naszej ziemi, wszyscy razem rządzimy, nie ma wyjątków...

Kiedy powróciłem do kraju, to byłem jeszcze wtedy półanalfabetą, bo we Francji nie chodziłem do polskiej szkoły. Ojciec tylko mnie uczył czytać z partyjnych gazet. Dzisiaj zawdzięczam Polsce Ludowej i naszej Władzy Ludowej, że mam dostęp do wiedzy. Dowodem tego są już otrzymane książki (prawie setka) z Ministerstwa Kultury i Sztuki jak i niektóre z redakcji za wydrukowane korespondencje.

Niektórzy z nas myślą, że na zachodzie we Francji lub Belgii jest dzisiaj raj — niech sobie to wybiją z głowy i nie łudzą samych siebie.. Mogę im udowodnić, że we Francji, Belgii jest dla robotnika źle stale koresponduję z Francją— jest tam bezrobocie, nędza i głód.

Kiedy Pokój na świecie wreszcie będzie zawarty, ja powrócę jeszcze do Francji, ale na urlop, odwiedzę brata, pójdę na grób nieboszczyka ojca i powiem mu, że jestem szczęśliwy w Polsce...

Zabiorę moją starą matuchnę ze sobą do kraju — bo tam ona jeszcze została...

*

26 października będę głosował — niech żyje Front Narodowy!

Franciszek Koj

Dnia 10 października 1952 roku zmarł Mieczysław Guranowski, członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, literat, odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Krzyżem Zasługi. Mieczysław Guranowski rozpoczął działalność literacką w r. 1907, jest autorem kilkunastu powieści i nowel oraz szeregu utworów dramatycznych. Mieczysław Guranowski do ostatnich dni życia brał aktywny udział w życiu Związku Literatów, kontynuując pracę twórczą. W papierach pośmiertnych zmarłego pisarza pozostał niedokończony wiersz, pisany na dwa dni przed śmiercią

W DALEKĄ JADĘ PODRÓŻ...

W daleką jadę podróż,
w daleką a nieznaną
bez kresu i bezmierną
każdemu z nas pisaną.

Odchodzę nie bez żalu,
żem mało tak dokonał,
żem wiele tu zamierzył
w połowie drogi stanął.

Pisałem książki swoje
dla grona wybranego —
miast tworzyć dla gromady
i życia powszedniego.

Więc Wam przekazać pragnę
testament swój, Koledzy:
pracujcie dla postępu,
dla światła i dla wiedzy.

Dla prostych dusz poemat,
dla chłopa, robotnika,
niech Wasze twórcze myśli
braterstwa więź przenika.

Bo jeno w ludzie siła,
dla niego słodka praca.
Odchodzę, Ukochani,
skąd już się nie powraca.

Niech z Waszą książką mądrą
nauka, radość płynie,
gdy ją do ręki wezmą...

KORESPONDENCJA

W SPRAWIE „KĄKOLU I PSZENICY"

Ukazały się ostatnio w prasie artykuły na temat mojej sztuki „Kąkol i pszenica". Ich napastliwy i lekceważący ton zastąpił potrzebną mi jako młodemu pisarzowi właściwą pomoc. Ograniczyły się one do jednostronnego zaatakowania sztuki, Teatru i opracowania dramaturgicznego.

W związku z tym stwierdzam, co następuje:

1. Żaden z piszących o opracowaniu dramaturgicznym nie wypożyczył z Teatru Ludowego jedynych egzemplarzy, jakie się tam znajdują, zawierających pełne opracowanie dramaturgiczne i reżyserskie. Fakt ten świadczy o tym, że ogłoszone dotychczas publikacje na temat opracowania dramaturgicznego były gołosłowne, ponieważ żaden z ich autorów nie porównał tekstu mojej sztuki z opracowaniem B. Butryńczuka i z pewnymi zmianami dokonanymi przez reżysera.

2. Wszystkie zmiany w opracowaniu dramaturgicznym były dokonane w porozumieniu ze mną. Polegały one na:
a) określeniach tekstu, b) słusznych propozycjach dopisania siedmiu scen, c) usunięciu dwóch postaci, d) wprowadzeniu nowej postaci.

3. Opracowanie dramaturgiczne zostało dokonane na prośbę Dyrekcji Teatru. Za dokonanie zleconej pracy B. Butryńczuk otrzymał ustalony przez władze ryczałt, zatwierdzony przez CZ TOF. Ponieważ ob. Nieznawuj Giez właśnie ten fakt obrał sobie za cel swego ataku w felietonie pt. „O lekkim chlebie i dobrych obyczajach" (Nowa Kultura nr 41/1952), pozwolę sobie zauważyć, że bez porównania oryginału sztuki z tekstem opracowania, nie wypadało o potrzebie opracowania i wysokości pobranego honorarium wydawać tak kategorycznych sądów.

4. W wypowiedzi zamieszczonej w „Nowej Kulturze (nr 41/1952) pt. „Kąkol bez pszenicy", podpisanej „fr.", stwierdzono, że „walory artystyczne i wykonawcze utworu nie usprawiedliwiają bardziej szczegółowej analizy". Sądzę, że wysiłek aktorów i wszystkich pracowników Teatru w każdym wypadku zasługuje na bardzo szczegółową analizę. Wypowiedzi krytyczne stanowią przecież materiał, z których Teatr i autor chcą wysnuć pożyteczne wnioski dla dalszej pracy. Trudno to uczynić, gdy w miejsce rzetelnej analizy znajduje się w tych wypowiedziach tak wiele przykrego lekceważenia i zbyt ogólnikowo sformułowanych zarzutów.

5. Powyższe uwagi nie oznaczają bynajmniej, że nie zdaję sobie sprawy z błędów popełnionych przy pisaniu tej sztuki. Możliwość usunięcia ich (czego już częściowo dokonałem), wykazała dyskusja zorganizowana w szkole partyjnej KC PZPR.

Tadeusz Łomnicki

OD REDAKCJI:

Zamieszczając list ob. Łomnickiego żałujemy, że nie wyjaśnia on co najmniej trzech istotnych punktów, poruszonych w felietonie ob. Nieznawuja Gieza.

1. Jeśli istnieje już jedno „opracowanie dramaturgiczne", uznane chyba za dobre, skoro wyróżnione na ogólnopolskim festiwalu — to po co robić nowe?

2. „Ustalony przez władze ryczałt, zatwierdzony przez CZ TOF" — wypłaca się chyba za pracę, a nie za brakoróbstwo.

Cóż z tego, że utwór kreślono, dopisywano sceny, wyrzucano postaci itd. — jeśli w wyniku — jak zgodnie stwierdzili na posiedzeniu Sekcji Dramatu ZLP wybitni znawcy przedmiotu — nie można było zrozumieć, co się na scenie dzieje?

3. Nie wiemy, jak zapatruje się ob. Łomnicki na fakt zachwalania w prasie jego sztuki (przed premierą) przez autora „dramaturgicznego opracowania". Takie obyczaje, naszym zdaniem, nie należą do godnych naśladowania.

Natomiast całkowicie się zgadzamy z ob. Łomnickim w sprawie potrzeby bardziej szczegółowego omówienia jego sztuki. W najbliższym czasie „Nowa Kultura" zamieści recenzję z „Kąkolu i pszenicy".

O POSTAĆ KORESPONDENTA W LITERATURZE

Jestem synem małorolnego chłopa z białostockiego, uczniem klasy IX szkoły ogólnokształcącej w Drohiczynie. Interesuję się bardzo zagadnieniami literatury, z zapałem czytam nasze nowe pozycje literackie. Literaci współcześni, adresując swe dzieła do najszerszych mas, dają nam obrazy budownictwa socjalistycznego. Literatura współczesna nie ujmuje jednak wszystkich odcinków naszego budownictwa. W ogniu walki klasowej rosną nowi, bezgranicznie oddani naszej sprawie ludzie — miary Korczaginów i Kazymowów (B. Polewoj: „Wrócił"). Brak w naszej literaturze „czołówki — jak powiedział tow. Cyrankiewicz — najdalej wysuniętej w ogniu walki klasowej" — korespondenta. Żaden z pisarzy nie pokazał w swym dziele tego bardzo wysuniętego odcinka walki klasowej. Trzeba powiedzieć, że nasi korespondenci nie borykają się w walce ze złym jak samotni „błędni rycerze" — z nimi są masy i władza ludowa.

Według mnie o wiele ciekawszą i pożyteczniejszą byłaby akcja książki J. Gałaja „W rodzinie Lebiodów", gdyby autor wprowadził do akcji korespondenta, który walkę klasową wsi powiązałby poprzez prasę z Komitetem Powiatowym i Wojewódzkim Partii. Współzawodnictwo, o którym dowiedziano się z „Gromady", nie byłoby tak obce gronu walczących ludzi razem ze Stachem Lebiodą i nie byłoby tak wycinkowo i formalnie ukazane, gdyby wśród postaci książki był korespondent.

Wracając do właściwego zagadnienia pragnąłbym wyrazić oczekiwanie 20-tysięcznej rzeszy korespondentów, pragnącej ujrzeć swego przedstawiciela w naszej nowej socjalistycznej literaturze: byłoby to bodźcem do jeszcze usilniejszej pracy korespondentów — bojowników o nową wieś.

M. Gnatowski
korespondent „Gromady", „Nowej Wsi", „Gazety Białostockiej"
wieś Granne, gm. Perlejewo, pow. Siemiatycze

Literaci na Mazurach

Dnia 8 października b. r. w lokalu ZLP odbyło się zebranie uczestników zespołów literackich wyjeżdżających na Mazury. Obecni byli: kol. kol. Bystrzycka, Zalewski, Michalska, Niziurski, Satanowska, Syska, H. Rudnicka, Ostromęcki, Melcer, Kuśmierek, Sumiński i Wisłowska. Z zebranymi podzielili się swymi uwagami koledzy, którzy niedawno wrócili z Ziem Odzyskanych m. in. kol. kol. Narbutt, Sumiński, Warneńska, Miłosz. Przeprowadzili oni kilkadziesiąt zebrań i wieczorów autorskich.

O słuszności podjętej przez ZLP akcji świadczy jej bezsprzeczne powodzenie. Dla znacznej części autochtonów jest to pierwsza od 1945 roku impreza o charakterze artystycznym, są wsie, np. Kronnica, gdzie nie dotarło jeszcze kino objazdowe, „Artos" ani nawet amatorski zespół artystyczny.

Ludzie najczęściej nie wiedzą, jaki charakter może mieć zebranie, na które przyjechali obcy ludzie z Warszawy. Trudno więc dziwić im się, że w przyjezdnych upatrują zwykle poborców podatkowych.

Kol. Warneńska w swoim obszernym sprawozdaniu mówiła m. in., że frekwencja na wieczorach jest na ogół dość duża, dochodzi do 200 osób. Małe, najczęściej szkolne salki nie mogą pomieścić licznych słuchaczy. Niejednolitość audytorium, tak pod względem wieku jak i poziomu utrudnia pracę i powoduje konieczność częstych zmian ustalonego w Warszawie programu, a nawet improwizowania go na miejscu.

Jak zawsze przy takich imprezach trudno jest wywołać dyskusję, o wiele żywsze i ciekawsze są rozmowy indywidualne z ludźmi, które odbywają się w przerwach, czy po zebraniach. Ci, którzy dotąd milczeli onieśmieleni, teraz zaczynają mówić o sobie, o swych kłopotach. Są trochę zaskoczeni niecodziennością imprezy, proszą o częste przyjazdy, cieszą się, że pamiętają o nich w dalekiej Warszawie, więc pewno szybciej będą usunięte ich bolączki i kłopoty.

Wieczory we wsi Swignajno i Zelwągi należały do najciekawszych i najbardziej udanych. Gromady te mają dość duże, jak na tamtejsze stosunki, wyrobienie społeczne, tam pogadanki miały charakter nieco poważniejszy i dotyczyły nawet ostatnich zagadnień politycznych i — jak wszędzie — spraw narodowościowych.

O tym, jak głęboko tkwi polskość u Mazurów, mówił w swym sprawozdaniu kol. A. Miłosz, świadczą ich prośby o książki i pieśni polskie. — Dajcie nam wierszy, książek o nas, tekstów i nut do naszych piosenek — mówią chłopi — Bo czasem śpiewamy po niemiecku po prostu dlatego — że nie znamy polskich piosenek, i nikt nas ich dotąd nie nauczył.

Nawet ci, którzy między sobą mówią po niemiecku, lubią śpiewać stare pieśni mazurskie. Te właśnie pieśni są jedyne i niezawodne dla wywołania nastroju na sali, zbliżenia się literatów do autochtonów. Najwięcej pomagają w tym miejscowe zespoły artystyczne, chóry, np. świetny zespół prof. Gembika, oraz ludowi poeci ziemi mazurskiej, jak poetka średniego pokolenia, Ziętarówna, czy 80-letni poeta i bajarz mazurski, Lengowski. Umie on nawiązać kontakt z audytorium i wywołać serdeczniejszą atmosferę wśród zebranych. Popularność jego na Mazurach jest ogromna. Lubi opowiadać zebranym o swojej młodości, kiedy to — „Literaci niemieccy nie przyjeżdżali nigdy do nas. Śmierdział im lud, przyjeżdżali tylko do junkrów".

A gdy na którymś wieczorze zabrakło chóru 80-letni staruszek zaczął śpiewać mazurskie pieśni swojej młodości, które podchwycone przez salę przyczyniły się do wywołania przyjaznego, serdecznego nastroju.

Akcja ZLP na Mazurach zaczęła się niedawno. Rozszerza się ona coraz bardziej. Właściwie, mówiąc o opiece Związku Literatów nad Ziemiami Zachodnimi, powinno się unikać słowa „akcja" w znaczeniu czegoś jednorazowego, ponieważ ZLP zachowa w dalszym ciągu ścisły kontakt z ludnością Ziem Zachodnich.

Wanda Osińska

HITLER WZRUSZONY ŚMIERCIĄ PIŁSUDSKIEGO

27 maj 1935.

Rozmowa z Lipskim (*Ambasador Polski w Berlinie — przyp. nasz*).

Ambasador opowiada mi o wrażeniu, jakie wywarła śmierć Piłsudskiego w Niemczech. Było ono bardzo silne. Zgon marszałka nie tylko poważnie zaniepokoił Hitlera, ale głęboko wzruszył go osobiście. *Jego pierwszą myślą było przyjechać samemu na pogrzeb.* Od dawna zresztą Hitler marzył (il rêvait) o poznaniu Piłsudskiego, i snuł nawet projekt spotkania z nim na granicy, ale zdał sobie wreszcie sprawę, że było to nie do zrealizowania. Podobnie jak Kanclerz, również Goering wyraził niepokój, że śmierć marszałka odbije się na polskiej polityce zagranicznej, w szczególności na stosunkach polsko - niemieckich. Jednakże wrócił z Polski całkowicie uspokojony i podniesiony na duchu (le moral remonté). Członkowie starych panujących domów niemieckich także dali dowody współczucia z powodu naszej żałoby narodowej.

Lipski mówi mi następnie o wrażeniu mowy Hitlera w Berlinie. Według informacji, zebranych przez urzędników naszej Ambasady, przemówienie to było przygotowane i napisane przez samego Kanclerza. Lipski stwierdza, analizując tekst mowy, że przeciwstawienie się Rosji oraz *zbliżenie wobec Polski, stały się dwiema zasadami polityki niemieckiej.*

Lipski streszcza mi następnie przebieg jego ostatniej rozmowy z Hitlerem, tuż po przemówieniu 21 maja. Kanclerz wyraził się o marszałku Piłsudskim z niezwykłym szacunkiem i sympatią. Porównał go do Mussoliniego i Kemala-paszy (*dyktatora Turcji — przyp. nasz*).

Następnie ambasador opowiada mi rozmowę z Goeringiem, na temat Gdańska. Goering poinformował Lipskiego, że ma zamiar wysłać niemiecką eskadrę z wizytą do Gdyni. Lipski przypisuje tej propozycji olbrzymie znaczenie, bo jego zdaniem oznacza ona oficjalne uznanie praw Polski na Bałtyku.

Lipski stwierdza wreszcie, że nasza polityka porozumienia z Niemcami sprawia, że związek z Francją tym więcej jest niezbędny. Niemcy przystają już dziś na ten nasz *alians, uważają go nawet za korzystny, że względu na wynikające z niego oderwanie Francji od Rosji.* Jest bardzo charakterystyczne, że gdy Lipski wyjaśniał w Berlinie, dlaczego Polska w Genewie głosowała przeciw Niemcom, i motywował to naszą polityką wobec Francji, argumentem najbardziej przemawiającym do Niemców było, że k[illegible]iem tego gestu nastąpiło oddalenie Paryża od Moskwy.

MUSSOLINI WDZIĘCZNY BECKOWI

30 maj 1935. Rozmowa z Bastianinim (*ambasador Mussoliniego — przyp. nasz*).

Ambasador przekazuje mi bardzo gorąco podziękowanie od Mussoliniego dla ministra Becka za jego postawę w konflikcie włosko-abisyńskim. Decyzja powzięta przez Polskę, by nie dostarczać broni Abisynii, przyjęta została w Rzymie z najwyższym zadowoleniem.

BECK OCZEKUJE NA ROZPAD CZECHOSŁOWACJI (ROK 35)

12 czerwiec 1935. Rozmowa z Beckiem.

Zapytałem go, co myśli o możliwości rozsypki terytorialnej Czechosłowacji. Odpowiedział, że nie przewiduje tego rozpadu szybko, ale że przekonany jest, że dwa organizmy polityczne w Europie muszą prędzej lub później nieuchronnie zniknąć: Austria i Czechy.

BECK: „NIEMCY W PRZEDEDNIU RUINY GOSPODARCZEJ"

26 czerwiec 1935.

Rozmowa z Beckiem (na temat trudności naszych w Gdańsku).

Minister zastanawia się nad słowami Goeringa, który w rozmowie z amb. Lipskim powiedział, że sprawa gdańska w żadnym wypadku nie może zaciążyć na stosunkach polsko-niemieckich. Jakby nie było, minister nie sądzi, by niepokoje w Gdańsku były inspirowane przez Berlin, z zamiarem anty-polskim.

Beck mówi mi dalej, że nasz spór z Gdańskiem przysparza mu wiele kłopotów na terenie wewnętrznym. Głos opinii domaga się ostrej reakcji z naszej strony, oraz nieustępliwości. Beck próbuje wpłynąć uśmierzająco, i radzi, by zaczekać do sesji Volkstagu.

Minister sądzi, że Niemcy nie mają zamiaru wywołać konfliktu, tym więcej że znajdują się w przededniu ruiny gospodarczej. Generał Śmigły-Rydz powiedział ministrowi, że organizacja militarna Niemiec jest zaledwie w zalążku.

Oświadczam Beckowi, że po namyśle dochodzę do wniosku, że powinien jak najszybciej udać się do Berlina. W żadnym wypadku nie możemy dopuścić do konfliktu z Niemcami.

„NIGDY W SOJUSZU Z FRANCJĄ I ROSJĄ"

27 czerwiec 1935. Rozmowa z Łubieńskim *).

Łubieński zawiadamia mnie, że rozmowa Schachta z Lipskim nie doprowadziła do porozumienia, co stawia nas znowu w trudnym położeniu w Gdańsku. *W odpowiedzi podkreśliłem, że w wypadku konfliktu z Niemcami znaleźliśmy się wobec automatycznej konieczności związania się z sojuszem francusko-rosyjskim.* Byłby to poważny cios dla naszej polityki. Łubieński odpowiedział, że gdybyśmy byli zmuszeni zmienić naszą linię wobec Niemiec, zostaje nam zawsze możliwość zbliżenia się do Rosji. Wdałem się z nim w gwałtowną dyskusję (une discussion violente) na ten temat.

BECK PRAGNIE POŚREDNICZYĆ MIĘDZY FRANCJĄ I NIEMCAMI

2 lipca 1935. Rozmowa z Beckiem, w obecności Schätzela, Łubieńskiego i Potockiego.

Beck nam oświadcza, że postanowił udać się do Berlina z wizytą oficjalną. Wyraża życzenie, by w komunikacie na ten temat podkreślić, że nasz rząd postanowił podtrzymywać dotychczasową politykę zbliżenia do Niemiec. O Gdańsku będzie rozmawiał wyłącznie z Kanclerzem, i to w sposób jak najogólniejszy. Dzieli się z nami następnie swoimi przewidywaniami co do Francji: jeśli zwycięży „front ludowy", podporządkowany Moskwie (inféodé à Moscou), rezultatem będzie zbliżenie francusko-rosyjskie; wówczas dla nas stanie się niezbędnym zacieśnić jeszcze bardziej stosunki przyjacielskie z Niemcami. Możliwe też, że do władzy we Francji dojdą partie prawicowe, które *za naszym przykładem* postarają się o porozumienie z Berlinem.

Dorzuciłem, że *Niemcy mogłyby skorzystać z naszego porozumienia z Francją, by posłużyć się nami jako pośrednikiem wobec Paryża.*

Opr. **Zygmunt Kałużyński**

(Dalszy ciąg nastąpi)

*) hr. Łubieński — szef gabinetu Becka.

Właścicielem fabryk żyrardowskich był kapitalista francuski Boussac, nie Girard (założyciel manufaktury od którego wzięła nazwę miejscowość), jak podano błędnie w odcinku „Dziennika" w nr 41 „Nowej Kultury". Józef Potocki, o którym mowa w odcinku w nr 42 był pracownikiem centrali MSZ, zaś jego brat Jerzy pełnił funkcję ambasadora w Waszyngtonie.

Takich nie wybieramy

BOHATER



rys. K. Ferster

(W Sklepie:) — Poproszę o 10 dkg baleronu. Nie ma baleronu tylko kiszka? Nie Dziękuję. Proszę nie pakować. Ja nie po to lata całe walczyłem, żeby dziś jeść kiszkę. Żegnam.

(W tramwaju:) Ja się mam nie pchać? A ja mogę się pchać. Zapewniam Pana. Pan na pewno pod stołem u babci chodził, kiedy ja walczyłem o taką Polskę i o taki tramwaj.

(W stołówce:) Jak długo właściwie ja mam czekać, panno Lodziu? Dlaczego Fikusińskiemu podała pani od razu? Pani jego wyraźnie wyróżnia, dawno to już zauważyłem. Bo on ładny, tak? A kto z nas panno Lodziu ma zasługi, on czy ja? No, widzi Pani. To proszę pomidorową.

(W Orbisie:) Proszę o jeden sleeping do Jeleniej Góry. Głosy w kolejce: On tu nie stał, on teraz dopiero przyszedł, niech idzie do kolejki:) — Proszę o jeden bilet do Jeleniej Góry. Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych ludzi. Dosyć się w swoim życiu nastałem i nasiedziałem. Nie po to ja walczyłem, żebym dziś w ogonku stał.

(W kawiarni do kobiety, która mu się podoba:) — Widziałem panią wczoraj z Fikuliczem. Nie chcę o nim źle mówić, ale przyznaję, że bardzo się pani dziwię. Czy pani wie, co on robił w tym okresie, kiedy ja co chwila życie narażałem? Ja nie lubię się chwalić, ale ma pani przed sobą jednego z niewielu ludzi, którzy...

(W towarzystwie:) A więc w czasie powstania otoczyło mnie w pewnej chwili dziesięciu SS-manów, wtedy ja błyskawicznie jednego w gębę, tak, że się zatoczył, drugiego w brzuch, tak, że się nogami nakrył, trzeciemu wyrwałem karabin maszynowy i tak się przejechałem po nich, że tylko drzazgi leciały. A reszta zwiała. Tak. Walczyło się nieraz. Z mojej krwi to wszystko.

Przyp. korektorki „Nowej Kultury":

(A ja tak siedzę i myślę przy korekcie, gdzie to ja tego faceta z rysunku już widziałam. I teraz sobie przypomniałam. Przecież to pan całe powstanie u mojej siostry w Milanówku przesiedział i nosa pan na dwór nie wytknął, bo w Warszawie strzelali).

Krystyna Żywulska

Dziś - fraszki

MARIAN PIECHAŁ

NA GROBOWCU OBSZARNIKA

Płaczcie, włościanie moi mili,
nad nieboszczykiem biednym,
bo — sił nie szczędząc ani chwili —
pomagał wam w niejednym.

Niech dzieci wasze, jak należy,
skłonią się przed grobowcem:
gdyż ten, kto w tym grobowcu leży,
być może, był ich ojcem.

(z Roberta Burnsa)

EPIGRAM

Wciąż palcem w głowę stuka i puka,
szukając nazwy jakiegoś tomu.
Lecz po cóż pukać w drzwi, u kaduka,
kiedy nikogo nie ma w tym domu?

(z Roberta Burnsa)

BOGUSŁAW CHOIŃSKI I JAN GAŁKOWSKI

„COŚ DO SŁUCHU..."

W sprawie umasowiania o wszystkich możliwych porach dzieł Fr. Chopina przez Polskie Radio

My, owszem, na to —
jak na lato,
ale panowie!!!
— Mo-de-ra-to (!)...

SKARGA FILHARMONII STOŁECZNEJ w związku z nowym lokum (Hala Mirowska)

— Stąd, to już chyba — panie tego —
poślą na Bazar Różyckiego...

W SPRAWIE RUHRY

Zmiękła Bismarcka,
zmiękła Hitlera,
zmięknie i Ruhra
Adenauera!

HORACY SAFRIN

W MIESIĄCU DERATYZACJI

W te dni ostrożność zalecam gorąco
poetom, których wiersze (białą) m y s z k ą trącą.

O PEWNYM DZIENNIKARZU

W walce ze spekulacją, na zew czasu czuły,
produkuje masowo — t a n i e artykuły.

O PEWNEJ „POLIGLOTCE"

Ględząc w kilku językach, z uśmiechem przesłodkim
kolportuje wytrwale różne brednie, plotki.
A więc radzę jej szczerze (i bez dwuznaczników)
by ugryzła się wreszcie — w jeden z swych języków.

BĘC-WALSKI O WYBORACH 1936 R.

Ilekroć wspomnę, łza się w oku kręci:
chłopstwo zakute w posłuszeństwa dyby,
w celach więziennych siedzą oponenci,
a g ł o s wyłącznie mają — g r u b e r y b y.

DO SPEAKERA „GŁOSU AMERYKI"

Mister speakerze, jeśli na tobie
tępiłem pióra mojego ostrze,
to dziś rzeczową się ci odpowiedź:
treść niezawiłą, słowa najprostsze.
Jak to się stało? Na falach krótkich
pojmałem wczoraj głos twój w eterze,
nabrzmiały łzami, skargą i smutkiem —
mister speakerze!

Głos twój, lirycznych pełen odcieni,
wnet złowróżbnymi zazgrzytał słowy:
że od wyborów nic się nie zmieni
w tej naszej biednej Polsce Ludowej.
Słusznie. Przedziwnym zrządzeniem losu
nigdy londyńskiej kliki leaderzy
nie dojdą w kraju naszym d o g ł o s u —
mister speakerze!

Ty dbasz o czystość naszych wyborów,
serce twe troską ojcowską wzbiera,
aby nie było u nas terroru,
gwałtów, szantaży i etcetera.

Żałuję mocno: tu nie Chicago,
a miasta nasze, wyznajmy szczerze,
nie nawiedzone gangsterstwa plagą —
mister speakerze!

Trudno. Tu szkoły rosną jak grzyby,
traktor przeorał szlachecką ziemię,
mącą krajobraz huty i szyby,
lampy, jak gwiazdy, na MDM-ie.
A malownicze, stołeczne chmury
poprują wkrótce strzeliste wieże;
w niebo się wzbije Pałac Kultury —
mister speakerze!

A my, niestety, naród czupurny,
w dziedzinie intryg niedoświadczony.
Przeto pójdziemy sami do urny,
bez anglosaskiej, czułej ochrony.
Bo wierzym w wolność, mówiąc najprościej,
i w demokrację (nie na papierze!)
i w lepsze jutro całej ludzkości —
mister speakerze!

Horacy Safrin

Sprawy czytelnictwa

PRZYKŁAD ROZWOJU CZYTELNICTWA

Życie kulturalne Ziem Zachodnich rozwija się coraz bardziej. Weźmy za przykład okręg Szczecina. Szczególne jest tutaj zainteresowanie prasą. Oprócz gazety wojewódzkiej Stocznia Szczecińska wydaje własne pismo pt. „Port Pokoju", zaś w powiatowym mieście Gryfino miejscowy Radiowęzeł wespół z PRW rozpoczął obecnie wydawać dwutygodniowe pismo pn. „Ziemia Gryfińska". Pismo to omawia sprawy mieszkańców miasta i powiatu i ma poważny wpływ na kształtowanie opinii społecznej tego okręgu.

(B.)

Ostatnio wydany został katalog prasy radzieckiej na rok 1953, zawierający 288 tytułów pism codziennych i czasopism w języku rosyjskim, 20 tytułów w językach republik ZSRR oraz 11 tytułów w innych językach. Katalog podzielony jest na 11 działów. Dział czasopism, poświęconych literaturze pięknej, krytyce, sztuce i bibliografii zawiera ogółem 26 tytułów.

Obecnie katalog ten — zważywszy to, że czytelnictwo prasy radzieckiej w Polsce jest niezwykle ważnym zagadnieniem i to, że wszystkie z wymienionych w katalogu tytułów są dostępne w prenumeracie dla polskiego czytelnika — jest szeroko kolportowany. (Katalog dostępny jest m. in. we wszystkich placówkach „Ruchu" i poczty oraz u kolporterów w zakładach pracy i uczelniach). (wo)

Z życia Z.L.P.

ŁÓDŹ PRZED WYBORAMI

W ramach akcji przedwyborczej literaci łódzcy — prozaicy, satyrycy i poeci — wystąpili z dużą ilością odczytów i wieczorów autorskich w świetlicach fabrycznych i młodzieżowych.

W lokalu Klubu Międzynar. Prasy — dobrze znanym łodzianom z dotąd organizowanych imprez literacko-politycznych — zainicjowano (przy wydatnym poparciu Wydziału Kultury przy Prez. MRN) stałe „czwartki literackie" dla inteligencji pracującej i uczącej się młodzieży.

Dotąd odbyły się zbiorowe wystąpienia na nast. tematy: 1) Łódź wczoraj, dziś i jutro, 2) Walka o pokój, 3) Literatura we Froncie Narodowym, 4) Satyra w natarciu...

„Czwartki" wywołały szerokie zainteresowanie. Należy wyrazić przekonanie, iż będą brali w nich udział i pisarze zaproszeni spoza Łodzi.

◆

Wśród wydawnictw łódzkiego Kom. Wyb. Frontu Narodowego znajdujemy antologię poetycką pt. „Łódź w walce". Zbiór ten obrazuje poprzez odpowiednio dobrane utwory poetyckie dzieje polityczno-społeczne miasta od rewolucji 1905 do czasów dzisiejszych. Antologia zawiera utwory dwudziestu ośmiu poetów, nie tylko zresztą łodzian, świadczące, iż Łódź była i jest doniosłym tematem przeżyć poetyckich. Znajdujemy w antologii również utwory członków Koła Młodych.

J. H.

ZEBRANIA SEKCJI TWÓRCZYCH

Oddział ZLP w Łodzi zawiadamia, że: tematami najbliższych posiedzeń Sekcyj Twórczych będą: dyskusja nad teorią przekładu (ref. E. Słobodnikowa), dyskusja o poezji (referenci: St. Brucz i St. Czernik), zagadnienie reportażu (ref. L. Gomolicki).

J. H.

◆

Zarząd Warszawskiego Oddziału ZLP komunikuje, że najbliższe zebrania Sekcji Twórczych odbędą się:

dnia 28 października o godz. 17 — zebranie Sekcji Dramatu, temat: „Lalka Z. Leśnodorskiego i jej krytycy" referat J. Kotta, koreferat J. Kreczmara,

dnia 28 października o godz. 17 — zebranie Sekcji Literatury dla dzieci, temat: „O sztukach teatralnych dla młodzieży", referat kol. Krymkowej.

SKŁAD ZARZĄDU ODDZIAŁU ZLP W LUBLINIE

Wdniu 28 września 1952 roku odbyło się walne zebranie wyborcze Lubelskiego Oddziału ZLP. Na zebraniu wybrano nowy zarząd w składzie następującym: Konrad Bielski — prezes, Kazimierz Andrzej Jaworski — wiceprezes, Wacław Gralewski — sekretarz, Helena Platta — skarbnik, Maria Bechczyc-Rudnicka — członek zarządu.

PLANY PRACY ODDZIAŁU ZLP W GDAŃSKU

Z powodu małej ilości członków — Oddział Gdański ZLP postanowił utworzyć tylko jedną łączną Sekcję Twórczą, której zebrania będą poświęcane omawianiu prozy, poezji i dramatu, zależnie od ustalonego planu pracy. Przewodniczącą sekcji wybrano kol. Malwinę Szczepkowską.

Prócz tego Zarząd Oddziału ma zamiar zorganizować w najbliższym czasie Sekcję Literatury Kaszubskiej (pisanej w gwarze). Prowadzenie przyszłej sekcji powierzono kol. Lechowi Bądkowskiemu.

Na zebraniach Sekcji Twórczej w najbliższym okresie przewiduje się pracę warsztatową nad następującymi utworami: 15.X. — „Operacja wąż" — S. Siereckiego. 22.X. — „O Gdańsku" — W. Szremowicza, 25.X. — „Długie morze" — F. Fenikowskiego, 5.XI. — Opowiadania L. Bądkowskiego, 12.XI. — Fragment nowej powieści I. Przewłockiej, 19.XI — Reportaże o Ziemi Mazurskiej W. Wnuka, 26.XI. — Fragment dramatu — kol. J. Lipińskiego.

J. P.

Konkurs na utwór literacki o tematyce pokojowej

W związku z Kongresem Narodów w Obronie Pokoju, który odbędzie się w Wiedniu w grudniu b. roku, Polski Komitet Obrońców Pokoju oraz Związek Literatów Polskich ogłaszają konkurs otwarty na utwór literacki (wiersz, krótki utwór prozą, nowela, opowiadanie) o tematyce współczesnej poświęconej walce o pokój.

Prace nie drukowane opatrzone godłem, wraz z załączoną zalakowaną kopertą, zawierającą imię i nazwisko autora oraz jego adres, należy nadsyłać w terminie do dn. 20 listopada 1952 r. do Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, Warszawa, Krakowskie Przedmieście 87/89, zaznaczając na przesyłce „Konkurs Pokoju".

Za najlepsze prace przewidziane są następujące nagrody, dotyczące łącznie wszystkich rodzajów utworów. I nagroda zł. 4.000 dwie II-gie po zł. 3.000, trzy III-cie po zł. 2.000.

Sądowi Konkursowemu przysługuje prawo nieprzyznania, względnie podziału poszczególnych nagród.

Polski Komitet Obrońców Pokoju zastrzega sobie prawo tłumaczenia na języki obce nagrodzonych utworów oraz przedłożenia ich na Międzynarodowym Konkursie w Wiedniu.

Skład Sądu Konkursowego stanowią:

Zofia Nałkowska (delegat P.K.O.P.)
Anna Kamieńska (delegat Z.L.P.)
Ryszard Matuszewski (delegat Z.L.P.)
Hieronim Michalski (delegat Z.L.P.)

Wyniki konkursu zostaną ogłoszone w prasie w dniu 1 grudnia 1952 r.

W 10-tą rocznicę śmierci Moricza

4-go września minęła 10-ta rocznica śmierci wybitnego węgierskiego pisarza-realisty Zsigmonda Moricza.



Moricz urodził się w r. 1879. Pierwszym jego utworem była wydana w 1908 r. nowela „Siedem grajcarów". W noweli tej, jak i w wielu późniejszych utworach daje Moricz wstrząsający obraz nędzy ludu węgierskiego. Moricz ostrze swego pióra kieruje przeciw sprawcom niedoli ludu — bogaczom wiejskim i obszarnikom. Najwybitniejszy ówczesny poeta węgierski, Endre Ady pisał o Moriczu: „Zsigmond Moricz jest wart tyle, co oddział rewolucyjny".

Moricz w jednej ze swoich ostatnich powieści na tematy współczesne „Krewni" demaskuje i poddaje ostrej krytyce egoistyczną i proamerykańską politykę obszarniczo-kapitalistycznego rządu Horthy'ego.

Demaskatorski charakter „Krewnych" ściąga na ich autora prześladowanie ze strony rządu. Pod presją policyjną i pod naciskiem cenzury, Moricz przestawia się na tematykę historyczną.

Dzieła historyczne, które stworzył, to trylogia obrazująca feudalne stosunki panujące na Węgrzech w XVII w. i niedokończony cykl powieściowy z okresu wiosny ludów.

W momencie śmierci autora, dorobek jego składał się z 70-ciu tomów powieści. Chociaż Moricz w swojej twórczości dał przekrój całego społeczeństwa węgierskiego, to przede wszystkim był on pisarzem ludu i dlatego w 10-tą rocznicę jego śmierci naród węgierski oddaje cześć temu wielkiemu pisarzowi postępu.

Literatura w NRD

TEGOROCZNE NAGRODY PAŃSTWOWE

Tegoroczne nagrody państwowe w Niemieckiej Republice Demokratycznej w dziale literatury otrzymali:

Pierwszą nagrodę — Eryk Weinert za całokształt twórczości ze szczególnym uwzględnieniem książek „Memento Stalingrad" i „Camaradas". Trzecią nagrodę — Eryk Arendt za utwory poetyckie oraz Maria Langner za powieść „Stal".

z (mr.)

KSIĄŻKI POLSKICH AUTORÓW W NRD

W Niemieckiej Republice Demokratycznej ukazują się coraz częściej książki współczesnych autorów polskich. Ostatnio wydano opowieść Janiny Broniewskiej o życiu gen. Świerczewskiego, „O człowieku, który się kulom nie kłaniał". Książka ta ukazała się nakładem wydawnictwa „VVN-Verlag" pod tytułem „Der Arbeiter-General". Równocześnie „Kształt miłości" Jerzego Broszkiewicza ukazał się nakładem wydawnictwa „Neues Leben" pod tytułem „Frédéric Chopin". Najwięcej omówień krytycznych i uwag poświęciła prasa literacka NRD powieści Aleksandra Ścibora-Rylskiego „Węgiel", która w przekładzie niemieckim ukazała się na początku b.r.

Przekłady licznych dalszych książek współczesnych autorów polskich m. in. „Pamiątki z Celulozy" Newerlego i „Pokolenia" Czeszki — są w przygotowaniu.

Sprawa miłości

Pod takim tytułem w jednym z sierpniowych numerów „Literaturnej Gaziety" ukazała się kolumna wypowiedzi czytelników o aktualnych zagadnieniach literatury.

W wypowiedziach czytelników odczuwa się wpływ znanego artykułu „Prawdy" z 7. IV. b.r. w sprawie dramaturgii. „Prawda" podkreśliła konieczność wszechstronnego odtwarzania człowieka radzieckiego i jego życia. Echo tych postulatów brzmi w pytaniach, jakimi zasypała pisarzy czytelniczka „Literaturnej Gaziety" Z. Pawłowa: „Po co i dlaczego autorzy tak skąpo, tak bezbarwnie odtwarzają najwspanialsze z uczuć ludzkich — miłość? Czyż życie naszego człowieka radzieckiego składa się tylko z codziennej pracy? Czyż nie można ukazać go wyraziście i plastycznie, kiedy sprawa dotyczy miłości do kobiety, do mężczyzny, do dzieci? Dlaczego autorzy w takich wypadkach rysują nam swoich bohaterów jako niezręcznych, tępych, śmiesznych ludzi, którzy nagle stracili całą swoją pomysłowość, rozsądek, prostotę i urok?..."

W omawianej dyskusji wielu czytelników polemizuje z artykułem M. Gerasimowej, który uprzednio drukowany był w „Literaturnej Gaziecie" p.t. „Wielka miłość".

Gerasimowa — oprócz innych utworów, radzieckich i klasycznych — zanalizowała powieść „Daleko od Moskwy" i wyraziła pogląd, że nawet tak wybitny pisarz jak Ażajew nie sprostał zadaniu indywidualizacji miłości. Gerasimowa uważa na przykład, że w powieści Ażajewa można by bez trudu przestawić losy bohaterów, zmienić dobór partnerów. Zdaniem Gerasimowej — postawa Aleksieja wobec zakochanej w nim Żeni oznacza... „triumf abstrakcyjnej idei obowiązku" wobec znajdującej się na froncie Ziny i rzekomo nie wzrusza czytelnika, który nie całkiem jest przekonany o wyższości Ziny nad Żenią. Wypowiedź Gerasimowej wywołała sprzeciwy wielu czytelników, a zwłaszcza czytelniczek.

U PRZYJACIÓŁ

Jedna z nich E. Skworcowa tak reprezentuje odmienne stanowisko:

„...Uważam, że miłość Aleksieja jest głęboko i wnikliwie zindywidualizowana, że Zina — taka Zina, jaką widzimy oczyma Kowszowa — ma moralne prawo do jego miłości i wierności..."

Analizując problem miłości i obowiązku E. Skworcowa pisze: „Obowiązek człowieka radzieckiego jest wyższy, wznioślejszy niż miłość jednostki. Obowiązek nie tylko wobec Ojczyzny, wobec społeczeństwa, ale i wobec rodziny, wobec człowieka — stanowi najważniejszą cechę nowej, komunistycznej moralności.

Gdy prawdziwie radziecki człowiek wybiera między miłością a obowiązkiem — zwycięża obowiązek. Niestety, temat ten nie znalazł jeszcze należytego odbicia w naszej literaturze.

Dyskusja ta wysunęła więc ważne zagadnienia moralno - obyczajowe, zasadnicze i podstawowe w pracy twórczej pisarza. Przykładem szczególnej czujności — nie tylko pisarzy, ale i szerokich rzesz czytelników w sprawach moralno - obyczajowych — może być dyskusja, jaka rozgorzała wokół sztuki F. Panfiorowa „Kiedy jesteśmy piękni", **opublikowanej w czerwcowym numerze miesięcznika „Oktiabr". Treść sztuki przedstawia się tak: Główna postać dramatu Ilja Kurbatow (sekretarz miejskiego komitetu partyjnego) ochłódł w stosunku do swojej żony Wiery, która od 9 lat nie pracuje zawodowo, lecz zajmuje się gospodarstwem i wychowaniem dziecka. Dopiero kiedy Wiera wraca do czynnego życia i pracy, gdy zaczyna dbać o siebie, a jej zainteresowanie wzbudza inny mężczyzna, w Kurbatowie odżywa miłość do żony, między nimi następuje pojednanie.**

Sztuka Panfiorowa spotkała się z ostrą krytyką — zarówno podczas dyskusji na zebraniu sekcji dramaturgicznej Związku Pisarzy Radzieckich, jak i w recenzjach prasowych. Znamienny jest fakt, że — wypowiedzieli się w tej sprawie czytelnicy już w kilka tygodni po wydrukowaniu utworu Panfiorowa — na łamach pisma „Sowietskoje Iskusstwo" **Nr 51 z 25. VI. b. r.).**

Analizując postacie sztuki S. Kurzienkow **pisze:...** „Nie chodzi o to, że nie są to postacie „pozytywne". Różni są wśród nas ludzie, nikt więc nie stawiałby pisarzowi zarzutów, gdyby pokazał i zajętą gospodarstwem kobietę, i uwikłanego w swoim osobistym życiu funkcjonariusza partyjnego, i trywialnego pseudo - artystę. Istotne jest to, z jakich pozycji należy pokazać tych ludzi, ich życie, ich losy..."

Zdaniem tego czytelnika — podziela je wielu uczestników dyskusji — autor sztuki nie potępił wyraźnie i jasno tych postaci, nie ocenił ich działalności, co czytelnicy uważają za błąd ze strony wybitnego pisarza.

Na inny aspekt zagadnienia zwrócili uwagę czytelnicy M. Timofiejewa i W. Nejgoldberg we wspólnej wypowiedzi. Piszą oni, że: „rozkład w rodzinie Kurbatowów nie wywołuje niczyjej aktywnej interwencji i wobec tego w sztuce Panfiorowa osobiste życie komunistów Kurbatowów pozostaje od początku do końca wyłącznie sprawą prywatną".

Tak to czytelnicy radzieccy śmiało i z całym poczuciem odpowiedzialności zabierają głos w sprawach i problemach literatury, albowiem w Kraju Zwycięskiego Socjalizmu naród jest nie tylko odbiorcą, ale i współtwórcą literatury realizmu socjalistycznego.

„Woprosy filosofii" o Edwardzie Dembowskim

W N-rze 3 dwumiesięcznika „Woprosy Filosofii" ukazał się artykuł historyka filozofii I. Narskiego: „Edward Dembowski — polski filozof postępowy XIX wieku".

Omawiając wpływy różnych filozofów na kształtowanie się filozoficznych poglądów Dembowskiego, Narski uwypuklił wpływ Engelsa i jego pracy: „Schelling a objawienie". Autor artykułu stwierdza, że polski „myśliciel w miarę rozwoju poglądów rewolucyjno - demokratycznych coraz bardziej zbliżał się do materializmu. Tragiczna śmierć przerwała rozwój filozoficzny Dembowskiego na najważniejszym etapie".

Dłuższy ustęp omawianego artykułu autor poświęcił omówieniu poglądów estetycznych Dembowskiego. „Na równi z Mickiewiczem — **pisze Narski** — Dembowski stworzył podstawy rewolucyjno - demokratycznej estetyki w Polsce". **Opanowując idealizm swoich wczesnych poglądów na zadania sztuki Dembowski w pracy** „Piśmiennictwo polskie w zarysie" **jasno powiązał ideowy rozwój literatury z politycznymi dziejami narodu, podkreślił jej wpływ na życie polityczne i społeczne.** „Jednocześnie — **wywodzi Narski** — Dembowski wystąpił z krytyką zwolenników „czystej sztuki"; wypowiedzi te współbrzmiały z wystąpieniami Mickiewicza w tej sprawie zamieszczanymi na stronicach pisma „Pielgrzym polski".

W dalszym ciągu artykułu Narski omówił społeczno - polityczne poglądy Dembowskiego, podkreślając, że „...rewolucyjny demokratyzm Dembowskiego zespolił się z socjalizmem utopijnym". **Powołując się na prace Juliana Marchlewskiego uczony radziecki pisze:** „Socjalizm Dembowskiego — jak i teorie Worcela i Ściegiennego — różniły się od poglądów francuskich socjalistów utopijnych tym, że polscy socjaliści nawoływali masy ludowe do walki zbrojnej"...

sp.

Takich nie wybieramy

NARZEKACZ



rys. K. Ferster

— Co słychać, co słychać. Jeszcze się pan pyta. Wracam z tego spisu. Listy wyborców sprawdzałem, bo, na pewno mnie nie ma — myślę sobie. Przy tym bałaganie — panie. Przede mną stała ta Młyńska. Zobaczę — myślę sobie za chwilę — czy ja jestem na liście. Bo co do tej baby, wie pan, zupełnie nie miałem wątpliwości. Taka się wszędzie wkręci. A najlepsze, że ten szczeniak — jej syn — co to jeszcze nie dawno szyby na podwórku piłką wybijał, też sprawdzał. To jest, wie pan bezczelność. Taki bęcwał, żeby miał prawo głosu. Tylko u nas taka rzecz może się zdarzyć. Czy byłem wpisany? Poniekąd. Ale ślepy traf, mówię panu.

Dostałem wie pan, premię. No i co z tego? Kiedy poszedłem po ten tapczan, o którym panu mówiłem — to już go nie było, ale za to było biurko rozkładane. Kupiłem to biurko bo — myślę sobie — później nie będzie biurka też. No i co teraz, pytam się pana, czy ja mam na biurku spać? Takie, wie pan, porządki. Teraz nie mam pieniędzy na tapczan. A są, cholery!

No i pensje wie pan marne. A przecież ci, co mają po sześcioro dzieci, mają o wiele lepszą pensję. Gdybyśmy żyli w innym kraju, dawno by już tak było zorganizowane, żeby wszyscy mieli po sześcioro dzieci, ale u nas...

Zamiast o tym myśleć, to u nas wciąż się tylko buduje i reguluje. Kto to widzia, żeby taką Wisłę regulować. Czy nie lepiej jakąś nową rzekę?...

Ale u nas to zawsze...

Krystyna Żywulska

Redaguje Zespół. Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I piętro, tel. 4-01.80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 7-52-50 Wydaje RSW „Prasa".
Prenumerata i kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 4.—, kwartalnie zł 12.—, półrocznie zł 24.—, rocznie zł 48.—. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy. Cena ogłoszeń: 9 zł za 1 cm². Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa" W-wa, Poznańska 33, konto PKO I-5589/111, tel. 7-38-05.
Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklęsłodrukowe RSW „Prasa", Warszawa, Marszałkowska 3/5. 3-B-27197